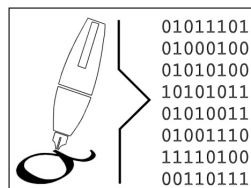


Agatha Christie

Noc w bibliotece

Przełożyła Edyta Sicińska-Gałuszkowa



Tytuł oryginału: The Body in the Library

Copyright 1941, 1942

Wydanie polskie: 1993

Rozdział pierwszy

I

Pani Bantry miała sen. Jej groszki pachnące uzyskały pierwszą nagrodę na wystawie kwiatów. Pastor w sutannie i stule rozdzielał nagrody w kościele. Obok przechadzała się jego żona, ubrana tylko w kostium kąpielowy. Ale, jak to we śnie bywa, fakt ten bynajmniej nie wzbudził zgorszenia, co miałyby niewątpliwie miejsce w rzeczywistości...

Pani Bantry rozkoszowała się przeważnie porannymi snami, przerwanych przyniesieniem śniadania. Gdzieś w podświadomości słyszała przy tym znane szmery budzącego się domu. Szczęk kółek od firanek na schodach, gdzie pokojówka podnosiła story. Kroki drugiej pokojówki, krzątającej się ze szczotką i łopatką po korytarzu. A w oddali głuchy dźwięk ciężkiej zasuw, otwieranej przy drzwiach wejściowych.

Nowy dzień. Ale ona postanowiła użyć jak najwięcej na owej wystawie kwiatów, gdyż już zdawała sobie sprawę, że to tylko sen...

Z niższego piętra dochodził teraz hałas otwieranych okiennic w bawialni. Pani Bantry słyszała go i zarazem nie słyszała. Te znane szmery potrwiają jeszcze z dobre pół godziny, dyskretne, przytłumione i bynajmniej nie rażące, gdyż ucho przywykło do nich.

W końcu rozlegnie się szybki, lekki krok na korytarzu szelest nakrochmalonej sukni, cichy brzęk filiżanek — potem dyskretne pukanie — wejdzie Mary i podniesie story.

Pani Bantry zmarszczyła czoło. W jej półsen wdarło się coś niezwykłego, czyjeś kroki na korytarzu, o wiele za szybkie, o wiele za wczesne. Podświadomie nasłuchiwała brzęku filiżanek — ale filiżanki nie zabrzęczały.

Pukanie. Wracając z trudem do rzeczywistości, pani Bantry zawołała machinalnie: „Proszę”. Drzwi otworzyły się — zaraz zadzwonią kółka przy frankach i w pokoju zrobi się jasno.

Ale kółka nie zadzwoniły. W zielonym półmroku rozległ się zdyszany, histeryczny głos Mary:

— Och, proszę pani, proszę pani, w bibliotece leży trup!

Potem Mary wybuchnęła histerycznym łkaniem i wypadła z pokoju.

II

Pani Bantry usiadła na łóżku.

Albo sen jej przybrał bardzo dziwny obrót, albo też... albo też naprawdę wpadła Mary i powiedziała, że (to niewiarygodne, niemożliwe!) jakiś trup leży w bibliotece.

— To niemożliwe — uznała pani Bantry — musiało mi się przyśnić.

Ale mówiąc to do siebie, zdawała sobie coraz jaśniej sprawę, że nic jej się nie przyśniło. Że Mary, jej rozsądna, opanowana Mary, naprawdę wypowiedziała te niewiarygodne słowa.

Pani Bantry zastanowiła się chwilę. Potem szturchnęła łokciem śpiącego małżonka.

— Arturze! Arturze! Zbudź się!

Pułkownik Bantry stęknął, zamamrotał coś i obrócił się na drugi bok.

— Zbudź się, Arturze! Czy słyszałeś, co Mary powiedziała?

— Prawdopodobnie — zabrzmiał niewyraźny bełkot. — Masz zupełną rację, Dolly.

— I pułkownik spał dalej. Pani Bantry potrząsnęła nim.

— Słuchajże! Musisz słuchać! Mary weszła i powiedziała, że trup leży w bibliotece.

— Że — co?

— Trup w bibliotece!

— Kto tak powiedział?

— Mary.

Pułkownik Bantry próbował oprzytomnieć i ogarnąć sytuację. Orzekł:

— Brednie, moja kochana. Przyśniło ci się.

— Nie, nie przyśniło mi się. Najpierw też myślałam, że to sen. Ale to prawda. Naprawdę weszła i tak powiedziała..

— Ale to przecież niemożliwe — zapewnił pułkownik Bantry.

— Właśnie, to niemożliwe — przytaknęła jego żona niepewnym głosem. Po czym ciągnęła dalej: — Ale wobec tego, dlaczego Mary tak powiedziała?

— Nie mogła tego powiedzieć.

— Ale powiedziała.

— Zdawało ci się.

— Wcale mi się nie zdawało.

Pułkownik Bantry rozbudził się wreszcie na dobre i postanowił opanować sytuację. Perswadował swej żonie łagodnie:

— Śniło ci się Dolly. To z tego romansu kryminalnego, który czytałaś: *Tajemnica złamanej zapalki*. Pamiętasz? Lord Edgbaston znajduje trupa, śliczną blondynkę, na dywanie przed kominkiem w bibliotece. W powieściach trupy zawsze leżą w bibliotekach.

W rzeczywistości jeszcze nie spotkałem się z czymś podobnym.

— Może spotkasz się teraz. W każdym razie musisz wstać, Arturze, i zbadać to.

— Ależ doprawdy, Dolly, to musiał być sen. Sny są czasem nieprawdopodobnie żywe. Nawet po przebudzeniu wierzy się jeszcze, że to wszystko prawda.

— Ale z całą pewnością śniło mi się coś innego: wystawa kwiatów i pani pastorowa w kostiumie kąpielowym, czy coś takiego.

Z nagłym wybuchem energii pani Bantry wyskoczyła z łóżka i podniosła story. Blask pięknego jesiennego dnia zalał pokój.

— Nie śniłam — oświadczyła stanowczo. — Arturze, wstań w tej chwili, zejdz i dowiedz się.

— Żądasz ode mnie, żebym zszedł i zapytał, czy nie leży przypadkiem jakiś trup w bibliotece? Mam się ośmieszyć?

— Wcale nie potrzebujesz się pytać. Jeśli jest trup — możliwe oczywiście, że Mary nagle zwariowała i widzi rzeczy, które w ogóle nie istnieją — więc jeśli rzeczywiście jest jakiś trup, powiedzą ci o tym zaraz. Obejdzie się bez pytań.

Z gniewnym pomrukiem pułkownik Bantry otulił się szlafrokiem i wyszedł. Poszedł przez korytarz schodami w dół. Tam zastał zbitą garstkę drżącej służby. Niektórzy płakali. Kamerdyner wystąpił.

— Dobrze, że pan przyszedł, sir. Zarządziłem, żeby nic nie robić, dopóki pan nie przyjdzie. Czy zadzwonić zaraz po policję?

— Po policję? A dlaczego?

Kamerdyner spojrział z wymówką na wysoką młodą niewiastę, która oparta o ramię kucharki zanosila się histerycznym szlochem.

— Myślałem, że Mary zawiadomiła już pana. Tak przynajmniej twierdziła.

Mary wybuchnęła:

— Jestem tak roztrzęsiona, że nie wiem, co powiedziałam, a czego nie. Ciągle ją widzę przed sobą... kolana mi drżą... i w głowie mi się mąci! Jak ją znalazłam... och, och, och! — Osunęła się znowu na ramię kucharki, która próbowała ją uspokoić.

— Mary jest naturalnie trochę zdenerwowana. Ona zrobiła to straszne odkrycie — objaśniał kamerdyner. — Szła jak co rano do biblioteki, aby podnieść story i... i... niemal potknęła się o trupa.

— Czy chcecie przez to powiedzieć, że trup leży w bibliotece? W mojej bibliotece? Kamerdyner odkaszlnął.

— Może pan sam zajrzy, sir...

III

— Halohalohalo! Tu posterunek policji. Tak, kto mówi?

Komisarz policji Palk jedną ręką zapinał mundur, drugą trzymał słuchawkę.

— Tak, tak. Gossington Hall. Tak? O, dzień dobry, sir. — Ton Palka zmienił się o kilka odcieni. Był już mniej oficjalny, mniej niecierpliwy. Komisarz Palk poznał szczerogo protektora policyjnych świąt sportowych, przełożonego dystryktu.

— Tak, sir? Czym mogę panu służyć? Przepraszam pana, nie zrozumiałem... t r u p, pan mówi? Tak? Tak, proszę bardzo — tak, sir. Młoda kobieta, nie znana panu, powiada pan? Tak, rozumiem. Tak, może pan polegać na mnie.

Komisarz Palk położył słuchawkę, gwizdnął przeciągle i nakręcił numer swojego przełożonego.

Pani Palk wsunęła głowę przez drzwi kuchenne. Równocześnie zawiąło smakowitym zapachem smażonego boczku.

— Co się stało?

— Najnieprawdopodobniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem — odparł mąż.

— We dworze znaleziono trupa młodej kobiety. W bibliotece pułkownika Bantry'ego.

— Zamordowana?

— Uduszona, jak mówił pułkownik.

— Kto to taki?

— Pułkownik powiada, że w życiu jej nie widział.

— Skąd się wobec tego wzięła w jego bibliotece?

Komisarz Palk spojrzeniem pełnym wyrzutu nakazał jej milczenie, po czym tonem służbowym począł mówić do telefonu:

— Inspektor Slack? Tutaj komisarz policji Palk. W tej chwili złożono meldunek, że dzisiaj rano o godzinie siódmej piętnaście znaleziono trupa młodej kobiety...

IV

U panny Marple zadzwonił telefon. Właśnie się ubierała. Telefon rozgniewał ją. Niezwykła to pora na telefon. Jej prosty staropanieński żywot był tak spokojny i uregulowany, że nieprzewidziany telefon stanowił źródło najdziwniejszych domysłów.

— Mój ty Boże — mruknęła, patrząc ze zdumieniem na ciągle dzwoniący aparat.

— Któż to może być?

Między godziną dziewiątą a dziewiątą trzydzieści odbywały się zwykle sąsiedzkie pogawranki przez telefon. Umawiano się na spotkania, omawiano zaproszenia i tym podobne. Rzeźnik wiedział, że ma zatelefonować tuż przed dziewiątą, jeżeli coś nie w po-

rządki z dostawą mięsa. W ciągu dnia bywały jeszcze różne telefony, ale uchodziło za nietakt telefonować jeszcze po godzinie wpół do dziesiątej wieczorem. Prawda, że siostrzeniec panny Marple, literat i ekscentryk, znany był z tego, iż dzwonił o najniemożliwszych porach dnia i nocy. Kiedyś ośmielił się nawet zatelefonować do panny Marple dziesięć minut przed północą. Ale choć Ryszard West miał mnóstwo dziwacznych przyzwyczajęń, wczesne wstawanie nie należało do nich. Ani jego, ani kogokolwiek ze znajomych nie można było posądzić o to, by telefonowali przed godziną ósmą rano. Dokładnie mówiąc, była za kwadrans ósma.

Godzina za wczesna nawet na telegram. Poczte otwierano dopiero o ósmej.

Panna Marple zadecydowała:

— To musi być omyłka. — Po czym podeszła do niecierpliwującego się aparatu, zdjęła słuchawkę i powiedziała: — Tak?

— Czy to ty, Jane?

Panna Marple zdziwiła się bardzo.

— Tak, tu Jane. Jakże wcześnie wstałaś, Dolly.

W słuchawce rozległ się dyszący i zdenerwowany głos pani Bantry.

— Stało się coś strasznego.

— Ach, moja droga...

— Właśnie znaleźliśmy trupa w bibliotece.

W pierwszej chwili panna Marple pomyślała, że jej przyjaciółka zwariowała.

— Co znaleźliście?

— Tak, wiem. To nie do uwierzenia, prawda? Myślałam, że takie rzeczy zdarzają się tylko w książkach. Godzinami musiałam namawiać Artura, zanim w ogóle zdecydował się zejść i sprawdzić tę wiadomość.

Panna Marple starała się opanować. Zapytała bez tchu:

— Ale co to za trup?

— Blondynka.

— Co takiego?

— Blondynka. Śliczna blondynka, też jak z powieści. Leży po prostu w bibliotece i nie żyje. Musisz zaraz przyjść.

— Chcesz, żebym do ciebie przyszła?

— Tak, posyłam samochód po ciebie.

Panna Marple wahała się.

— Naturalnie, moja droga, jeśli uważasz, że mogę cię w jakiś sposób pocieszyć...

— O, mnie nie potrzeba pociechy. Ale ty się świetnie znasz na trupach.

— Och, nie. Doprawdy nie. Moje drobne sukcesy były przecież tylko teoretyczne.

— Ale jeśli chodzi o morderstwa, jesteś niezawodna. Bo ta blondynka została zamordowana, rozumiesz, uduszona. Skoro już zdarzy się we własnym domu wypadek

morderstwa, należy, moim zdaniem, mieć z tego też jakąś przyjemność — rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć. Dlatego chciałabym, żebyś przyszła i pomogła mi znaleźć sprawcę i odsłonić tajemnicę, i w ogóle zorientować się w tym wszystkim. Przecież to naprawdę ciekawe!

— No, oczywiście, moja droga, jeśli mogę ci być w czymkolwiek pomocna...

— Świetnie! Artur jest trochę niezadowolony. Mam wrażenie, że uważa, iż ten wypadek w ogóle nie powinien mnie zaciekawiać. Oczywiście wiem, że to wszystko jest bardzo smutne. Ale koniec końców nie znam tej dziewczyny — a gdy ją zobaczysz, zrozumiesz, dlaczego mówię, że ona w ogóle nie wygląda realnie.

V

Trochę zaaferowana panna Marple wysiadła z samochodu państwa Bantry. Pułkownik Bantry zszedł ze schodów z lekko zdziwioną miną.

— Panna Marple? Ach... bardzo się cieszę, że panią widzę...

— Żona pana dzwoniła po mnie — wyjaśniła panna Marple.

— Świetnie, świetnie. Potrzeba jej kogoś, kto by się nią zajął. Inaczej załamie się. Chwilowo jeszcze nadrabia miną, ale pani przecież wie, jak to bywa...

W tym momencie zjawiała się pani Bantry, wołając:

— Idźże do jadalni i zjedz śniadanie, Arturze! Boczek wystygnie.

— Myślałem, że to inspektor przyjechał.

— Przyjedzie na czas. Ale koniecznie musisz przedtem skończyć śniadanie. Przyda ci się.

— Tobie też. Chodź, Dolly, i zjedz coś...

— Tak, zaraz. Idź teraz, Arturze!

Zapędzała pułkownika do jadalni jak krnąbrną kure.

— No więc! — powiedziała pani Bantry z triumfem — chodź.

Pospiesznie zaprowadziła przyjaciółkę długim korytarzem do wschodniego skrzydła domu. Przed drzwiami biblioteki czuwał Palk. Próbował okazać trochę autorytetu.

— Przepraszam panią, ale nikomu nie wolno wejść, taki rozkaz inspektora.

— Bzdury, Palk — orzekła pani Bantry. — Przecież pan zna doskonale pannę Marple.

Palk przyznał, że istotnie zna pannę Marple.

— To bardzo ważne, żeby ona zobaczyła trupa. Niechże się pan nie upiera. Ostatecznie biblioteka należy do mnie, prawda? — krzyknęła pani Bantry.

Palk nie upierał się dłużej. Respektowanie życzeń ludzi należących do arystokracji weszło mu w krew. Inspektor nie musiał się o tym dowiedzieć.

— Ale nie wolno niczego ruszać ani zmieniać — ostrzegł panie.

— No, naturalnie — odparła pani Bantry zniecierpliwiona. — Jakbyśmy o tym nie wiedziały! Może pan zresztą wejść z nami i pilnować nas, jeśli pan chce.

Urzędnik skorzystał z zaproszenia. I bez tego to samo by uczynił.

Pani Bantry z dumą zaprowadziła przyjaciółkę przed wielki staroświecki kominek. Z dramatycznym wzburzeniem oznajmiła:

— Tu!

Panna Marple zrozumiała natychmiast, co pani Bantry chciała powiedzieć, mówiąc, że dziewczyna nie wygląda realnie. Biblioteka była typowa dla właścicieli. Był to duży pokój, trochę nieporządkny i zniszczony. Stały w nim olbrzymie miękkie fotele. Na stole walały się fajki, książki i gazety. Dwa dobre stare portrety rodzinne wisiały na ścianach, poza tym kilka kiepskich akwarel i parę niby to śmiesznych scen myśliwskich. W rogu stał duży flakon z margerytkami. Cały pokój był mroczny, ciepły i przytulny. Świadczył o długoletnim używaniu go, swym wyglądem zaś opowiadał o przyzwyczajeniach właścicieli i ich starej tradycji.

Ale na niedźwiedziej skórze przed kominkiem leżało teraz coś nowego — coś brutalnego i dramatycznego: jasna postać dziewczyny. Nienaturalnie jasne włosy okalały kunsztownymi loczkami jej twarz. Szczupłe ciało ubrane było w suknię wieczorową, wydekoltowaną na plecach. Suknia była biała z błyszczącej *crepe satin*, haftowana pająkami. Twarz dziewczyny była silnie wymalowana. Puder na sonej skórze sprawiał groteskowe wrażenie. Tusz do rzęs leżał grubą warstwą na policzkach, purpura ust wyglądała jak rana. Paznokcie u rąk były wymalowane ciemnokrwistym lakierem, tak samo paznokcie u nóg, wyglądające z tandetnych srebrnych sandałków. W ogóle cała ta błyszcząca tandeta stanowiła ostry kontrast z solidną, staroświecką zaciszą biblioteki pułkownika Bantry'ego. Pani Bantry szepnęła:

— Rozumiesz, co mam na myśli: to po prostu *n i e r e a l n e*!

Stara panna odpowiedziała skinieniem głowy. Długo przyglądała się w zamyśleniu zamordowanej dziewczynie.

W końcu powiedziała cicho:

— Ona jest bardzo młoda.

— Tak, mnie się też tak zdaje. — Pani Bantry zdawała się zdumiona tym rewelacyjnym odkryciem.

Panna Marple schyliła się. Nie dotknęła dziewczyny. Patrzyła na palce wczepione w suknię nad piersią, jakby w ostatecznej, rozpaczliwej walce o nabranie tchu.

Na żwirze parkowym zachrzęściły koła samochodu. Palk oznajmił wzburzonym głosem:

— To pewno inspektor...

Zgodnie z jego głęboko zakorzenionym przeświadczeniem, że arystokracja nigdy człowieka nie zawiedzie, pani Bantry pobiegła natychmiast do drzwi. Za nią panna

Marple. Pani Bantry orzekła:

— Wszystko w porządku, Palk.

Palk odetchnął z ulgą.

VI

Pułkownik Bantry popił szybko łykiem kawy ostatni kęs grzanki z marmoladą i wybiegł do holu. Odetchnął, kiedy ujrzał wysiadającego z samochodu pułkownika Melchetta, szefa policji hrabstwa, w towarzystwie inspektora Slacka. Melchett był przyjacielem Bantry'ego. Starszy pan nie przejmował się Slackiem. Slack był człowiekiem bardzo energicznym. Swoje niedbałe zachowanie lubił podkreślać brakiem szacunku względem każdego, kto mu się wydawał mało ważny.

— Dzień dobry, Bantry — odezwał się szef policji. — Uważałem, że będzie lepiej, jeśli sam przyjadę. Jakaś niezwykła sprawa, co?

— To... to po prostu... — pułkownikowi Bantry'emu brakowało słów. — To po prostu nie do wiary, nieprawdopodobne!

— Pan nie ma pojęcia, kto to jest?

— Najmniejszego. Nigdy jej nie widziałem.

— A kamerdyner? — zapytał inspektor Slack.

— Lorrimer także nic nie wie.

— Ach, tak... — mruknął inspektor Slack.

— W jadalni czeka śniadanie. Pozwoli pan?

— Nie, dziękuję. Najpierw zajmijmy się sprawą. Lada chwila zjawi się Haydock — o, już jest!

Znowu zajechało auto. Wsiadł z niego wysoki, barczysty doktor Haydock, lekarz policyjny. Z drugiego auta policyjnego wysiadło dwóch cywilów z aparatem fotograficznym.

— Wszystko gotowe? — zapytał szef policji. — Dobrze. Chodźmy. Do biblioteki, prawda?

Pułkownik Bantry jęknął:

— To nieprawdopodobne! Wie pan, gdy moja żona powiedziała mi dziś rano, że pokojówka weszła i oznajmiła, iż w bibliotece leży trup, nie chciałem po prostu uwierzyć!

— Oczywiście, rozumiem doskonale. Mam nadzieję, że pani otrząsnęła się już z tego przykrego wrażenia?

— Trzyma się wspaniale — po prostu wspaniale. Stara panna Marple dotrzymuje jej towarzystwa. Panna Marple ze wsi. Pan ją chyba zna?

— Panna Marple? — Szef policji zdziwił się. — Po co pańska żona ją wezwała?

— Cóż, w takich wypadkach kobieta lubi mieć przy sobie przyjaciółkę, prawda?

Pułkownik Melchett uśmiechnął się pod nosem.

— Moim zdaniem żona pana próbuje swych sił jako detektyw. Panna Marple jest miejscowym Sherlockiem Holmesem. Już nam raz pokazała, co potrafi, prawda, Slack?

Slack odparł:

— To było co innego.

— Jak to co innego?

— Wówczas chodziło o sprawę lokalną. Ta stara panna wie wszystko, co się dzieje we wsi, to prawda. Ale obecna sprawa nie wchodzi w orbitę jej wiadomości.

— Pan sam jeszcze niewiele wie o tej nowej sprawie — zauważył Melchett oschle.

— Niech pan tylko poczeka. Zgłębię ją niedługo.

VII

Pani Bantry i panna Marple jadły śniadanie w jadalni,

Poczęstowawszy gościa, pani Bantry zapytała z naciskiem:

— No i cóż, Jane?

Panna Marple spojrzała na nią z lekkim zdziwieniem.

Pani Bantry rzekła z nadzieją w głosie:

— Czy nie przypominasz sobie niczego?

Panna Marple była bowiem znana z tego, że przy okazji wszystkich wielkich i ważnych problemów umiała zawsze przytoczyć analogiczny wypadek z codziennego życia wiejskiego, co nieraz wyświeślało błyskawicznie taki problem lub nawet go rozwiązywało.

Teraz oświadczyła zamyślona:

— Nie, nie mogę powiedzieć. Przynajmniej nie w tej chwili. Ta historia przypomniała mi trochę najmłodszą córkę pani Chetty, Eddie, ale chyba tylko dlatego, że tamta biedna dziewczyna też obgryzała paznokcie i miała z lekka wystające zęby. Nic poza tym. No i — ciągnęła panna Marple, usiłując wydobyć dalsze analogie — Eddie też lubiła tak zwaną tandetną elegancję.

— Myślisz o tej sukni?

— Tak. Jedwab wyszywany świecidełkami, kiepski gatunek.

— Rozumiem. Z takiego wstrętnego, małego magazynu, gdzie wszystko kosztuje gwineę. — Nie tracąc nadziei, pani Bantry pytała dalej: — A co wyrosło z małej Eddie?

— Dostała właśnie drugą posadę i zdaje się, że niezle jej się powodzi.

Pani Bantry była trochę rozczarowana. Ta analogia nie zdawała się dawać wielkich szans na wyjaśnienie tajemnicy.

— Nie umiem sobie wyobrazić — zastanawiała się — co ona robiła w bibliotece Ar-

tura. Palk powiada, że wylamano okno. Może weszła z włamywaczem i pokłócili się, a potem... Ale to na pewno nonsens, prawda?

— Nie była ubrana na włamanie — zauważyła panna Marple w zamyśleniu.

— Nie, ubrana do tańca, na bal. Ale nie było żadnego balu u nas, ani też w okolicy.

— N-n-nie? — mruknęła panna Marple powątpiewająco.

Pani Bantry drgnęła.

— Ty coś masz na myśli, Jane!

— Ach, zastanawiałam się właśnie...

— Nad czym?

— Bazyli Blake.

— Nie! — krzyknęła pani Bantry porywczo, dodając, poniekąd jako wytłumaczenie:
— Znam przecież jego matkę!

Kobiety spojrzały na siebie.

Panna Marple westchnęła, potrząsając głową.

— Doskonale rozumiem twoje uczucia.

— Selina Blake jest najbardziej uroczą kobietą, jaką sobie można wyobrazić. Jej obwódki z barwinku są zachwycające. Żółknę zawsze z zazdrości, gdy je widzę. I Selina tak chętnie daje sadzonki.

Panna Marple pominęła rozważanie przyjaciółki.

— Bądź co bądź, pamiętasz, że było bardzo dużo gadania.

— Ach, wiem, wiem. I Artur po prostu wścieka się, gdy tylko wspomnieć Bazylego Blake'a. Bazyli był naprawdę bardzo bezczelny wobec Artura i od tej pory Artur nie chce o nim słyszeć. Bazyli ma taki głupi, lekceważący sposób mówienia — jak większość dzisiejszych młodzików: kpi z ludzi, którzy szanują swoją szkołę, Imperium i w ogóle cokolwiek. No i oczywiście — jak on się ubiera! Słyszysz się często, że obojętnie, jak się człowiek na wsi ubiera. Co za głupstwo! Właśnie na wsi ludzie wszystko obserwują.

Przerwała na chwilę, po czym rozmarzyły ją wspomnienia:

— Jaki on był rozkoszny w waniencie — jako niemowlę.

— W ostatniej gazecie niedzielnej było urocze zdjęcie mordercy Cheviota jako niemowlęcia — wtrąciła panna Marple.

— Och, Jane, chyba nie przypuszczasz, żeby on...

— Nie, nie, moja droga. Absolutnie nie przypuszczam. Znaczyłoby to, że wyciągamy zbyt pochopne wnioski. Próbuję jedynie jakoś wytłumaczyć obecność tej młodej osoby w naszej okolicy. St. Mary Mead jest całkowicie nieodpowiednim miejscem dla niej. I przyszło mi po prostu na myśl, że jedynym możliwym wytłumaczeniem jej przybycia w te strony mógłby być Bazyli Blake. On wydaje przyjęcia. Przyjeżdżają do niego ludzie z Londynu i z wytwórni filmowych. Przypominasz sobie ostatni dzień lipca? Wrzask i śpiewy, okropny hałas i wszyscy, obawiam się, byli pijani. I ten bałagan, te rozbite kie-

liszki, to wszystko straszne. Na drugi dzień, jak mi opowiadała starsza pani Blake, jakaś młoda osoba leżała w wannie i spała, będąc — że tak powiem — zupełnie goła!

Pani Bantry zauważyła pobłaźliwie:

— To prawdopodobnie ludzie z filmu.

— Bardzo prawdopodobne. A potem — słyszałaś chyba o tym — przywoził na ostatnie weekendy taką młodą dziewczynę, platynową blondynkę.

— Chyba nie myślisz, że to ona?!

— Cóż, zastanawiam się właśnie. Oczywiście... nie widziałam jej nigdy z bliska... tylko przy wsiadaniu i wysiadaniu z samochodu... i raz w ogrodzie, gdy się opalała i była tylko w szortach i staniku. Twarz jej nigdy dokładnie nie widziałam. A wszystkie te dziewczęta mają taką samą szminkę i włosy, i paznokcie, toteż jedna podobna do drugiej.

— Tak. Ale jednak to mogłaby być ona. To w każdym razie pomysł, Jane.

Rozdział drugi

I

Był to pomysł roztrząsany w tym samym czasie również przez pułkownika Melcheta i pułkownika Bantry'ego.

Po oględzinach zwłok i zleceniu każdemu z podwładnych odpowiedniego działu śledztwa szef policji udał się z pułkownikiem Bantrym do innego skrzydła domu.

Pułkownik Melchett wyglądał na pasjonata i lubił skubać swoje krótkie rude wąsy. Czynił to również teraz, rzucając niespokojne spojrzenia na gospodarza. W końcu wybuchnął:

— Niech pan posłucha, muszę wypowiedzieć, co mi leży na sercu. Czy to istotnie prawda, że pan tej dziewczyny nigdy nie widział?

Zdawało się, że Bantry odpowie wybuchem, ale szef policji uspokoił go.

— Dobrze, dobrze, drogi panie. Ale musimy trzeźwo spojrzeć na tę sprawę. Oczywiście, że to może być bardzo niemiła afera dla pana. Człowiek żonaty — który kocha żonę, i tak dalej, i tak dalej. Ale — między nami mówiąc — jeśli jednak miał pan cokolwiek wspólnego z tą dziewczyną, niech mi pan to lepiej powie od razu. Całkiem naturalne, że pan wolałby to zatuszować — ja bym pewno tak samo postąpił. Ale to nie pomoże. Chodzi o morderstwo. A więc wszystko, co ma jakikolwiek związek z dziewczyną, musi wyjść na jaw. Do diabła, nie sądzę oczywiście, że to pan zadusił to biedactwo — nigdy by pan czegoś takiego nie zrobił. O tym ja wiem najlepiej. Ale ostatecznie, przyszła do pańskiego domu. Przypuśćmy, że wtargnęła tu i czekała na pana. Jakiś drab wszedł za nią i zamordował ją... To przecież możliwe, prawda? Pan mnie rozumie?

— Do diabła, Melchett, mówię panu, że tej dziewczyny na oczy nie widziałem! Nie należę do tego rodzaju mężczyzn.

— Wobec tego wszystko w porządku. Nie robiłbym panu wyrzutu z tego powodu. Światowiec! — Ale skoro pan mówi, że sprawa tak się przedstawia... Pytanie: co ona tu robiła? Nie pochodzi stąd. To pewne.

— To wszystko razem wygląda jak koszmary sen — stwierdził gospodarz z gniewem.

— Chodzi teraz o jedno: co ona robiła w pańskiej bibliotece?

— Skądże ja mam to wiedzieć? Ja jej nie zaprosiłem!

— Z pewnością nie, ale ona mimo to przyszła. Odnosi się wrażenie, że chciała z panem mówić. Czy nie otrzymał pan ostatnimi czasy jakichś dziwnych listów czy czegoś takiego?

— Nie.

Melchett badał ostrożnie dalej:

— Co pan robił wczoraj wieczór?

— Byłem na posiedzeniu konserwatystów. O godzinie dziewiątej, w Much Benham.

— I kiedy pan wrócił do domu?

— Zaraz po dziesiątej wyjechałem z Much Benham. W drodze powrotnej miałem mały defekt, zmiana gumy. Kwadrans przed dwunastą byłem w domu.

— Do biblioteki pan już nie zajrzał?

— Nie.

— Szkoda.

— Byłem zmęczony. Poszedłem prosto na górę i położyłem się spać.

— Czy w domu czekał ktoś na powrót pana?

— Nie. Zabieram zawsze klucz od bramy. Lorrimer chodzi spać o jedenastej, chyba że mu dam inne zlecenie.

— Kto zamyka bibliotekę?

— Lorrimer. O tej porze roku przeważnie o wpół do ósmej.

— A czy nie wchodzi do niej czasem wieczorem?

— Nie, gdy mnie nie ma w domu, nigdy. Tackę z whisky i szklanką przygotowywał dla mnie w holu.

— Aha! A żona pana?

— Nie wiem. Gdy wróciłem, była już w łóżku i spała. Wczoraj wieczorem siedziała może w bibliotece albo w salonie. Zapomniałem spytać.

— Dobrze, dobrze. Wkrótce dowiemy się tych wszystkich szczegółów. Naturalnie niewykluczone, że ktoś ze służby jest w to zamieszany?

Pułkownik Bantry potrząsnął głową.

— Nie przypuszczam. To wszystko bardzo porządni ludzie. Są już od wielu lat u nas.

Melchett zgodził się z tym.

— Tak, to mało prawdopodobne, żeby ktoś z nich był wplątany w tę sprawę. Wygląda raczej, że ta dziewczyna przyjechała z miasta — może z jakimś chłopcem. Ale dlaczego włamała się właśnie do pańskiego domu?

Bantry przerwał mu.

— Londyn. To wygląda prawdopodobniej. Tu u nas nie ma nikogo, kto by... a przynajmniej...

— No, co pan ma na myśli?

— Do licha — wybuchnął Bantry. — Bazyli Blake.

— Kto to taki?

— Ten młokos z przemysłu filmowego. Zdemoralizowany typ. Moja żona broni go zawsze, ponieważ jego matka jest jej koleżanką szkolną. Ale to wykolejony nicpoń. Należałoby mu dać porządnie w skórę. Kupił willę przy Lansham Road — wie pan, takie nowoczesne paskudztwo. Tam urządziła przyjęcia dla rozwrzeszczanej, rozbrykanej hołoty. A na weekendy przywozi sobie dziewczęta.

— Dziewczęta?

— Tak, w zeszłym tygodniu przywiózł sobie znowu taką... taką platynową blondynkę...

Pułkownik otworzył usta.

— Platynową blondynkę, hm, hm — powtórzył Melchett w zamyśleniu.

— Tak. Ale pan chyba nie przypuszcza...

Szef policji odparł krótko:

— Zawsze istnieje możliwość. W każdym razie może to być wytłumaczenie, skąd się tego rodzaju dziewczyna wzięła w St. Mary Mead. Sądzę, że trzeba by pojechać i zamienić parę słów z tym młokosem. Braid, Blake czy jak pan powiedział?

— Blake, Bazyli Blake.

— Nie orientuje się pan, czy zastaniemy go w domu?

— Zaraz, zaraz. Co to dzisiaj — sobota? Zwykle przyjeżdża w sobotę rano.

Melchett mruknął z zaciętością:

— Ano zobaczymy, czy go zastaniemy.

II

W willi Bazylego Blake'a uwzględniono wszystkie najnowocześniejsze wynalazki. Dziwnie kontrastowały one ze stylem Tudorów, w którym pierwotnie zbudowano dom. Poczta i budowniczcy znali willę pod nazwą „Chatsworth”. Bazyli i jego przyjaciele nazywali ją „kochaną budą”, a mieszkańcy wsi St. Mary Mead po prostu „nowym domem pana Bookera”.

Willa była oddalona o jakieś ćwierć mili od wsi i należała do małego nowego osiedla, stworzonego przez przedsiębiorcę, pana Bookera. Przed oknami domu rozciągał się jeszcze całkowicie wiejski pejzaż. Przy tym samym gościńcu o milę dalej leżał Gossing-

ton Hall.

Wielkie zaciekawienie wzbudziła w St. Mary Mead wieść, że jakaś gwiazda filmowa zakupiła „nowy dom pana Bookera”. Z zainteresowaniem oczekiwano pierwszego pojawienia się legendarnej osobistości we wsi. Jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny, Bazyli Blake spełnił te oczekiwania w stu procentach. Ale powoli prawda wyszła na wierzch. Bazyli Blake nie był gwiazdą filmową — nie był nawet aktorem filmowym. Był jednym z najmłodszych spośród piętnastu innych urzędników, odpowiedzialnych za dekoracje w wytwórni Lemville. Młode dziewczęta we wsi przestały się nim interesować, a krytyczne stare panny, rządzące „śmietanką”, gorszyły się jego trybem życia. Tylko właściciel gospody „Pod Niebieskim Niedźwiedziem” był nadal zachwycony Bazylim i jego przyjaciółmi. Albowiem od chwili przybycia Bazylego w te strony dochody gospody wzrosły znacznie.

Samochód policyjny stanął przed bramą o dziwacznie powykręcanej kracie, świadczącej o szczególnym guście pana Bookera. Pułkownik Melchett rzucił niechętnie spojrzeń na rzeźbione drewniane ozdoby willi „Chatsworth”, po czym energicznie zapukał kołatką.

O wiele szybciej niż się spodziewał, otwarto drzwi. Ukazał się w nich młody człowiek o gładkich, przydługich, czarnych włosach, ubrany w pomarańczowe spodnie i jaszkrawoniebieską koszulę.

— Czego pan sobie życzy? — zapytał zuchwale.

— Czy pan Bazyli Blake?

— No oczywiście, a kimże miałbym być?

— Chciałbym zamienić z panem parę słów.

— Kim pan jest?

— Pułkownik Melchett, szef policji hrabstwa.

Pan Blake wykrzyknął bezczelnie:

— Co pan mówi! A to bardzo ciekawe!

Wchodząc za nim do domu, Melchett zrozumiał uprzedzenie Bantry’ego do tego młodzieńca. Melchetta też świerzbiałały dłonie.

Wreszcie opanował się i powiedział, próbując być uprzejmym:

— Wcześniej pan wstaje, panie Blake.

— Bynajmniej. W ogóle jeszcze się nie położyłem.

— Doprawdy?

— Ale nie sądzę, by pan przyszedł tu, aby się dowiedzieć, o której godzinie kładę się albo wstaje. Byłaby to strata pańskiego czasu i pieniędzy hrabstwa. O czym chciał pan ze mną mówić?

Pułkownik Melchett odchrząknął.

— Jak słyszałem, miał pan w ostatni weekend gościa — młodą osobę, blondynkę.

Bazyli Blake wpatrzył się osłupiałym wzrokiem w szefa policji, po czym odrzucił głowę w tył i ryknął śmiechem.

— To te stare plotkary ze wsi pana nasłwały? Z powodu mojej moralności? Do diabła, moja moralność policji nie obchodzi. O tym pan wie tak samo jak ja!

— Pańska moralność mnie nic nie obchodzi, jak pan trafnie zauważył — odparł Melchett oziębło. — Przychodzę do pana, ponieważ znaleziono zwłoki młodej blondynki o z lekka — jakby to powiedzieć — ekscentrycznym wyglądzie.

— O! — Blake otworzył szeroko oczy. — Gdzie?

— W bibliotece, w Gossington Hall.

— W Gossington? U starego Bantry'ego? No, no, to rzeczywiście! Trzeba przyznać! Stary Bantry! Co za świntuch!

Pułkownik Melchett zaczerwienił się z gniewu. Z całą stanowczością usiłował przeszkodzić nowemu wybuchowi wesołości Bazylego.

— Niech pan łaskawie poskromi swój język. Przyszedłem się pana zapytać, czy pan mógłby pomóc wyjaśnić tę sprawę.

— Przyszedł pan się zapytać, czy mi przypadkiem nie zginęła blondynka? Prawda? Czemu miałbym... halo, halo!... co jest...?

Przed dom zajechał ze zgrzytem hamulców samochód. Wyskoczyła zeń młoda kobieta w lekkiej czarno-białej piżamie. Miała purpurowe wargi, czernione rzęsy i platynowe włosy. Podbiegła do drzwi, rozwarła je i krzyknęła ze złością:

— Czemu mi uciekłeś, ty potworze?

Bazyli Blake wstał.

— Aha, więc jesteś. Chciałbym wiedzieć, czemu nie miałbym odejść. Mówiłem ci przecież, żebyś poszła ze mną, ale nie chciałaś.

— Do diabła! Ja mam iść tylko dlatego, że ty r o z k a z u j e s z ? Bawiłam się!

— Tak, z tym brudasem! Wiesz przecież, co to za jeden.

— Byłeś zazdrosny, to wszystko!

— Tylko bez megalomanii! Nienawidzę dziewcząt, które nie potrafią się opanować przy picciu i pozwalają się głaskać pierwszym lepszym łapom!

— Kłamiesz! Ty sam porządnie piłeś — i zadawałeś się z tą czarną hiszpańską czarownicą.

— Skoro zabieram cię ze sobą na przyjęcia, oczekuję od ciebie, żebyś wiedziała, jak się masz zachować.

— A ja nie pozwolę sobą dyrygować, zapamiętaj to sobie! Powiedziałaś, że pójdziemy na przyjęcie, a potem przyjedziemy tu. Nie myślę odchodzić wcześniej, niż mi przyjdzie ochota.

— Dobrze — i dlatego sobie poszedłem. Miałem ochotę przyjechać tutaj i przyjechałem. Ani mi w głowie stać i czekać na wariatkę.

- Jesteś czarująco uprzejmy!
- Mimo to wcale chętnie przygnałaś za mną!
- Chciałam ci tylko powiedzieć, co o tobie myślę!
- Jeśli myślisz, że możesz mnie wodzić za nos, to się grubo mylisz!
- A jeśli ty myślisz, że możesz mi rozkazywać, to się też bardzo mylisz!

Wpatrywali się w siebie bez tchu.

Tę chwilę wykorzystał pułkownik Melchett. Chrząknął głośno.

Bazyli Blake odwrócił się.

— Halo! Całkiem zapomniałem, że pan tu jest. Pora, żeby zniknąć, co? Państwo pozwolą... Dinah Lee — pułkownik Blimp z policji. A teraz, pułkowniku, skoro pan się przekonał, że moja blondynka jest żywa, cała i zdrowa, może zabierze się pan znowu do roboty i zajmie się raczej świństwami starego Bantry'ego niż mną. Do widzenia!

— Radzę panu poskromić nieco język, bo łatwo może pan mieć jakieś przykrości, młody człowieku!

Pułkownik Melchett oddalił się zaczerwieniony i wściekły.

Rozdział trzeci

I

Na posterunku policji w Much Benham pułkownik Melchett odbierał raporty swoich podwładnych.

— Wszystko wydaje się zatem całkiem jasne — reasumował inspektor Slack. — Pani Bantry siedziała po kolacji w bibliotece. Tuż przed dziesiątą poszła spać. Opuszczając pokój, zgasiła światło. Po niej nikt już nie wszedł do biblioteki. Służba poszła spać o wpół do jedenastej. Lorrimer o trzy po jedenastej zaniósł jeszcze do holu whisky. Nikt nie słyszał nic niezwykłego, z wyjątkiem trzeciej pokojówki, a ta znowu słyszała za dużo! Jęki, krwiożercze okrzyki i niesamowite kroki, i nie wiedzieć co jeszcze. Druga pokojówka, sypiająca w tym samym pokoju, zeznała, że dziewczyna spała całą noc jak suseł. Właśnie ta kategoria ludzi, która sobie różne różności zmyśla i wmawia, sprawia nam największe trudności.

— Co z wyłamanym oknem?

— Robota amatorska, powiada Simmons. Zwykle dłuto — obeszło się przy tym bez hałasu. W domu było zresztą kiedyś dłuto, ale nie można go znaleźć. To rzecz bez znaczenia, często się tak dzieje z narzędziami.

— Czy sądzi pan, że ktoś ze służby może coś wiedzieć?

Slack odpowiedział z niezadowoleniem:

— Nie, sir, nie sądzę. Oni wszyscy są najwidoczniej bardzo przerażeni. Początkowo Lorrimer wydawał mi się trochę podejrzany — taki powściągliwy, pan rozumie — ale zdaje mi się, że nic się za tym nie kryje.

Melchett przytaknął. Powściągliwości Lorrimera nie przypisywał najmniejszego znaczenia. Nazbyt energiczny inspektor Slack często wywoływał taką powściągliwość u osób przesłuchiwanym.

Drzwi otwarły się i wszedł doktor Haydock.

— Wstąpiłem na chwilę, aby podzielić się z panem kilkoma ważnymi szczegółami.

— Świetnie. No i co?

— Nic szczególnego. Tylko to, czego się i tak można domyślić. Śmierć nastąpiła wskutek uduszenia. Zarzucono jej na szyję jedwabny pasek jej sukni, krzyżując go na karku. Bardzo proste i łatwe. Nie potrzeba do tego wielkiego wysiłku — oczywiście, jeśli dziewczyna była zaskoczona. Śladów jakiejś walki w każdym razie nie widać.

— A kiedy nastąpiła śmierć?

— No, powiedzmy, między godziną dziesiątą a północą.

— Dokładniejszej godziny nie może pan podać?

Haydock potrząsnął głową, uśmiechając się drwiąco.

— Nie chcę narażać mojej opinii fachowca. Nie wcześniej jak o dziesiątej i nie później jak o północy.

— A tak według pańskiego osobistego wyczucia — o której?

— Trudno powiedzieć. W kominku palił się ogień... w pokoju było ciepło... wszystko to mogło wpłynąć na opóźnienie zeszywnienia włosów.

— Czy może pan jeszcze coś powiedzieć o tej dziewczynie?

— Niewiele. Była młoda: siedemnaście lub osiemnaście lat, jak sędzę. Pod niektórymi względami jeszcze bardzo nierozwinięta, ale miała dobrze wyrobione mięśnie. Bardzo zdrowe dziecko. Zresztą *virgo intacta*.

Doktor skinął głową i wyszedł.

Melchett zwrócił się znowu do inspektora:

— A więc całkiem pewne, że nigdy nie była w Gossington?

— Służba potwierdziła to jednomyślnie. Są tego najzupełniej pewni. Pamiętaliby, gdyby ją kiedykolwiek widzieli, choćby nawet w sąsiedztwie.

— Przypuszczam. Taki typ musiałby w naszej okolicy wzbudzić nie lada sensację. Niech sobie pan przypomni blondynkę Bazylego Blake'a.

— Szkoda, że to nie ona — mruknął Slack — posunęlibyśmy się już trochę naprzód.

— Mam wrażenie, że ona przyjechała z Londynu. Tu na miejscu nie znajdziemy chyba żadnego punktu zaczepienia. W tym wypadku należałoby powiadomić Scotland Yard. To ich sprawa, nie nasza.

— Musiała mieć jednak jakiś powód, żeby tu przyjść — zauważył Slack. W zamyśleniu dodał: — Wydaje mi się, że pułkownik i pani Bantry powinni jednak coś o tym wiedzieć... Oczywiście, wiem, że to pana przyjaciele, sir...

Melchett obrzucił go zimnym spojrzeniem. Odpowiedział sztywno:

— Może pan być przekonany, że rozważyłem wszystkie możliwości. Każdą możliwość. — Ciągnął dalej: — Przejrzał pan chyba spis osób zaginionych?

Slack przytaknął. Wyjął jakiś papier.

— Oto spis: pani Saunders. Jej zaginięcie zgłoszono przed tygodniem. Czarne włosy, oczy niebieskie, lat trzydzieści sześć. To nie ona. A zresztą wszyscy wiedzą, z wyjątkiem

jej męża, że uciekła z chłopakiem z Leeds; pani Bernard, lat sześćdziesiąt pięć; Pamela Reeves, lat szesnaście, zaginęła wczoraj wieczór, brała udział w zebraniu harcerek, ciemna szatynka, włosy splecione w warkocze, pięć stóp wzrostu...

Melchett wybuchnął zdenerwowany:

— Niechże mi pan nie czyta idiotycznych szczegółów. Przecież w naszym wypadku nie chodzi o uczennicę. Moim zdaniem...

Zadzwonił telefon.

— Halo... tak... tak. Szef policji w Much Benham. Co?... Chwileczkę, proszę...

Słuchał, robiąc notatki. Zmienionym głosem ciągnął dalej:

— Ruby Keene, lat osiemnaście, oczy niebieskie, nos spłaszczony, prawdopodobnie ubrana w białą suknię z pajetkami i srebrne sandały. Jak? Tak, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Poślę natychmiast Slacka. — Położył słuchawkę i spojrzał na inspektora ze wzrastającym zdenerwowaniem. — Teraz wiemy coś. Dzwonił posterunek policji z Glenshire (Glenshire było sąsiednim hrabstwem). Zaginęła dziewczyna, i to z hotelu „Majestic”, Danemouth.

— Danemouth, to już wygląda prawdopodobnie.

Danemouth była to wielka, modna miejscowość kąpielowa nad morzem niedaleko St. Mary Mead.

— Jakieś osiemnaście mil stąd — mówił szef policji. — Dziewczyna była fordanserką czy czymś podobnym w hotelu „Majestic”. Wczoraj wieczór nie było jej na występie i dyrekcja była wściekła z tego powodu. Kiedy do dziś rana się nie zjawiała, któraś z koleżanek zgłosiła na policji jej zaginięcie. A może zgłosił je ktoś inny, tego jeszcze nie wiem. Wszystko na razie trochę niejasne. Najlepiej, żeby pan od razu pojechał do Danemouth. Niech się pan tam zgłosi u superintendenta Harpera i pracuje razem z nim.

II

Inspektor Slack rzucał się zawsze z rozkoszą w wir zajęć. Pognać samochodem, ofuknąć ludzi, którzy marzyli o tym, aby mu coś ważnego donieść, ograniczyć każdą rozmowę do niezbędnego minimum — oto żywioł inspektora Slacka.

Dlatego też w nieprawdopodobnie krótkim czasie skończył rozmowę z wystraszo-
nym i zdenerwowanym zarządcą hotelowym, pozostawiając biedakowi wątpliwą pociechę, że „najpierw sprawdzimy, czy to rzeczywiście ta dziewczyna, zanim poruszymy całą sprawę”, i powrócił do Much Benham w towarzystwie kuzynki Ruby Keene.

Przed wyjazdem z Danemouth zatelefonował do szefa policji, tak że Melchett był uprzedzony o przybyciu inspektora, ale nie był uprzedzony o lakonicznej formie prezentacji:

— To jest Josie, sir.

Pułkownik Melchett patrzył na inspektora z szeroko otwartymi ustami. Slack widocznie zwariował.

Młoda kobieta wysiadła z samochodu, ratując sytuację.

— Josie jest moim pseudonimem artystycznym — oświadczyła, błyskając pięknymi białymi zębami. — Mój partner nazywa się Raymond, a ja Josie i naturalnie wszyscy w hotelu nazywają mnie Josie. Moje prawdziwe nazwisko brzmi Józefina Turner.

Szef policji poprosił pannę Tuner, żeby usiadła. Musnął ją przy tym szybkim, wprawnym spojrzeniem.

Była to ładna młoda kobieta — lat dwudziestu kilku. Swój przyjemny wygląd zawdzięczała raczej troskliwej pielęgnacji cery niż istotnej piękności. Sprawiała wrażenie osoby pewnej siebie i wesołej i zdawała się posiadać dużo zdrowego rozsądku. Nie była typem kobiety olśniewającej, ale była niezwykle pociągająca. Jej makijaż był bardzo dyskretny. Miała na sobie ciemny wełniany kostium. Choć wyglądała na wystraszoną i zasmuconą, nie była specjalnie boleśnie dotknięta, jak stwierdził pułkownik Melchett. Usiadła i powiedziała:

— To zbyt straszne, aby było prawdziwe. Pan naprawdę myśli, że to Ruby?

— Obawiam się, że właśnie p a n i ą będziemy musieli o to zapytać. Będzie to niestety dość przykre dla pani.

Panna Turner zapytała nieśmiało:

— Czy... czy wygląda... bardzo strasznie?

— Obawiam się, że to będzie pewien wstrząs dla pani. — Poczęstował ją papierosem, który przyjęła z wdzięcznością.

— Czy chciałby pan, żebym... żebym ją od razu zobaczyła?

— Myślę, że tak byłoby najlepiej. Widzi pani, nie ma sensu wypytywać panią, dopóki nie mamy pewności. Najlepiej mieć to za sobą, prawda?

— Dobrze.

Pojechali do kostnicy.

Kiedy Josie wróciła z niej po krótkiej chwili, była dość blada.

— To Ruby — orzekła drżącym głosem. — Biedactwo! Mój Boże, w głowie mi się kręci. Pewno nie mogłabym... — rozejrzała się tęsknym okiem — nie mogłabym dostać trochę dżinu?

Dżinu nie było, ale brandy była pod ręką i po wypiciu jednego łyku panna Turner się opanowała. Oświadczyła szczerze:

— To jednak robi wrażenie, prawda? Biedna mała Ruby! Co za świnię ci mężczyźni!

— Więc myśli pani, że to mężczyzna?

Josie zdziwiona podniosła głowę.

— To nie był mężczyzna? Myślałam... byłam pewna...

— Czy pani myśli o kimś określonym?

Potrząsnęła gwałtownie głową.

— Nie. Nie mam najmniejszego pojęcia. Naturalnie, Ruby nie zwierzałyby mi się, gdyby...

— Gdyby co?

Josie zawahała się.

— No... gdyby... gdyby chodziła z kimś.

Melchett skierował na nią bystre spojrzenie. Milczał, dopóki nie znaleźli się z powrotem w jego biurze. Wtedy zaczął:

— Niech pani posłucha, panno Turner. Chciałbym usłyszeć od pani wszystko, co pani wie.

— No, oczywiście. Od czego zacząć?

— Niech mi pani poda nazwisko tej dziewczyny, jej adres, stopień pokrewieństwa z panią i wszystko, co pani wiadomo o pannie Keene.

Józefina Turner skinęła głową. Melchett utwierdził się w przekonaniu, że nie odczuwa specjalnego żalu. Była przestraszona i zdenerwowana, ale nie zrozpaczona. Bardzo chętnie udzielała informacji.

— Jej nazwisko brzmiało Ruby Keene. To znaczy, jej pseudonim artystyczny. W rzeczywistości nazywała się Rosy Legge. Jej matka była kuzynką mojej matki. Znam ją, odkąd jesteśmy na świecie, ale niezbyt dobrze, pan mnie rozumie. Mam bardzo dużo kuzynek. Kilka z nich pracuje w biurach, inne na scenie. Ruby kształciła się, że tak powiem, na tancerkę. Już zeszłego roku miała kilka dobrych *engagements*. Nic szczególnego, ale bądź co bądź przyzwoite przedsiębiorstwa na prowincji. Potem była fordanserką w „Palais de Danse” w Brixwell — South London. Miły, porządny lokal. Tam bardzo dobrze odnoszą się do dziewcząt. Ale nie zarabia się dużo. — Przerwała na chwilę.

Pułkownik Melchett skinął głową na znak, że rozumie.

— Teraz muszę mówić o sobie. Od trzech lat jestem tancerką i partnerką do brydża w hotelu „Majestic” w Danemouth. Jest to niezła posada, dobrze płatna i bardzo przyjemna. Trzeba dbać o gości, gdy przyjeżdżają — towarzyszyć im. Niektórzy oczywiście wolą być sami, inni znowu czują się osamotnieni i szukają towarzystwa. Próbuję odpowiadających sobie ludzi zebrać do brydża, zachęcam młodych do tańca i tym podobne. Wymaga to naturalnie odrobiny taktu i doświadczenia.

Melchett skinął znowu głową. Odnosił wrażenie, że ta osoba na pewno dobrze wypełnia swoje obowiązki. Ma taki przyjemny, uprzejmy sposób bycia i jest najwidoczniej mądra, nie będąc bynajmniej intelektualistką.

Josie ciągnęła dalej:

— Poza tym mamy co wieczór kilka występów tanecznych z Raymondem. Raymond Starr jest naszym fordanserem i trenerem tenisowym. Tego lata poszłam jak zwykle na

plażę, pośliznęłam się na skale i uszkodziłam sobie porządnie kostkę.

Melchett zauważył, że utykała z lekka.

— Naturalnie, nie mogłam jakiś czas tańczyć i to było bardzo przykre. Nie chciałam, żeby hotel angażował kogoś innego na moje miejsce. To zawsze niebezpieczne. — Przez moment jej dobroduszne niebieskie oczy nabrały ostrego i twardego wyrazu — wyrazu kobiety, która walczy o swój byt. — Łatwo być zepchniętym. Pomyślałam więc o Ruby i zaproponowałam zarządcy hotelu, żeby ją sprowadził. Byłabym dalej partnerką do brydża i do towarzystwa, Ruby zaś tańczyłaby za mnie. W ten sposób wszystko zostałooby w rodzinie, rozumie pan?

Melchett zrozumiał.

— Dyrektor zgodził się. Zadepeszowałam do Ruby i przyjechała. Była to dla niej duża szansa. Hotel o wiele wyższej klasy niż wszystkie te lokale, w których dotychczas pracowała. To było mniej więcej przed miesiącem.

Pułkownik Melchett zapytał:

— A czy miała powodzenie?

— Owszem — odparła Josie obojętnie. — Spisała się całkiem dobrze. Nie tańczy tak dobrze jak ja, ale Raymond pomagał jej. Poza tym była dość ładna, smukła, jasnowłosa i dziecinna. Malowała się trochę za dużo. Zawsze jej to wytykałam. Ale pan przecież wie, jakie są te dziewczęta. Miała dopiero osiemnaście lat, a w tym wieku przesadza się we wszystkim. To niestosowne w hotelu tej klasy co „Majestic”. Musiałam jej stale pilnować, aby się nie malowała zbyt jaskrawo.

— Czy lubiano ją?

— Owszem. Wie pan, Ruby nie była bardzo inteligentna. Była trochę dziecinna. Miała większe powodzenie u starszych panów niż u młodych.

— Czy miała przyjaciela?

Oczy dziewczyny zetknęły się porozumiewawczo ze wzrokiem szefa policji.

— Nie w tym znaczeniu, jak pan myśli. Ja w każdym razie nic o tym nie wiem. Zresztą nie zwierzyłyby mi się.

Przez okamgnienie Melchett zapytywał siebie, dlaczego nie. Josie bynajmniej nie sprawiała wrażenia srogiej westalki. Ale powiedział tylko:

— Proszę mi teraz opowiedzieć, kiedy pani widziała kuzynkę po raz ostatni.

— Wczoraj wieczór. Ruby i Raymond mieli zawsze dwa występy, jeden o wpół do jedenastej, drugi o północy. Skończyli pierwszy. Potem widziałam, że Ruby tańczy z jednym z młodych gości hotelowych. Grałam w holu w brydża. Hol dzieli od sali dansingowej szklana ściana. Wtedy po raz ostatni widziałam Ruby. Tuż po północy przyszedł do mnie strasznie zdenerwowany Raymond, pytając, gdzie jest Ruby. Nie mógł jej nigdzie znaleźć, a już była pora zacząć. Byłam wściekła, powiadam panu! Takimi głupstwami psują sobie dziewczęta wszystko. Dyrekcja się rozgniewa i od razu ma się zwolnie-

nie! Poszłam z Raymondem na górę do pokoju Ruby, ale nie było jej tam. Zauważyłam, że się przebrała. Suknia, w której tańczyła — różowa sukienka z ryszkami — wisiała na krześle. Zazwyczaj zostawała w tej samej sukni, chyba że to był wieczór jakichś specjalnych występów, na przykład środa.

Nie miałam pojęcia, gdzie mogła pójść. Kazaliśmy orkiestrze jeszcze zagrać fokstrota — ciągle ani śladu Ruby. Wobec tego powiedziałam Raymondowi, że ja z nim wystąpię. Wybraliśmy numer niespecjalnie męczący dla mojej chorej nogi i skróciliśmy go, jak się tylko dało. Ale mimo to dokuczył mi bardzo. Cała noga mi dzisiaj spuchła. A Ruby jak nie było, tak nie było. Siedzieliśmy do drugiej, czekając na nią. Byłam naprawdę bardzo zła.

Głos jej drżał z lekka. Melchett wyczuł w nim szczere rozgoryczenie. Przez chwilę się zdziwił. Wobec faktów, które miały miejsce, taka reakcja wydała mu się nieuzasadniona. Miał wrażenie, jakby Josie zatajała coś umyślnie. Zapytał:

— A dzisiaj rano, kiedy okazało się, że Ruby Keene nie ma i że jej łóżko było nie-
tknięte, poszła pani na policję?

Wiedział z raportu telefonicznego Slacka z Danemouth, że tak nie było. Ale chciał się dowiedzieć, co Józefina Turner odpowie na to.

Nie zawahała się. Powiedziała:

— Nie, nie poszłam na policję.

— A dlaczego nie, panno Turner?

Spojrzała mu otwarcie w oczy.

— Pa n też nie zrobiłby tego na moim miejscu!

— Myśli pani?

— Musiałam pamiętać o mojej posiadzie. Hotel nie cierpi skandalu. Zwłaszcza, gdy jest weń wmieszana policja. Nie przypuszczałam, żeby się Ruby coś stało. Nie przeszło mi przez głowę! Myślałam, że strzeliła głupstwo z jakimś młodym człowiekiem. Byłam przekonana, że wróci — i wtedy chciałam jej powiedzieć, co o tym sądzę! Te osiemna-
stolatki są takie głupie!

Melchett udawał, że czyta notatki.

— Ach tak, widzę, że niejaki pan Jefferson doniósł o tym policji. Czy to ktoś z gości hotelowych?

Józefina Turner odparła krótko:

— Tak.

— Co skłoniło Jeffersona do tego?

Josie przejechała ręką po klapie żakietu. Stała się nagle powściągliwa. Pułkownik Melchett odniósł znowu wrażenie, że coś przed nim tai. Odezwała się ponuro:

— To kaleka. On... on się bardzo łatwo denerwuje. Myślę, że to właśnie dlatego, iż jest kaleką.

Melchett zmienił temat.

— A kto to jest ten młody człowiek, z którym kuzynka pani ostatnio tańczyła?

— Nazywa się Bartlett. Mieszka u nas od jakichś dziesięciu dni.

— Czy łączył ich jakiś szczególnie serdeczny stosunek?

— Nic specjalnego, mam wrażenie! W każdym razie nic, o czym bym wiedziała.

— Znowu odcień złości zadźwięczał w jej głosie.

— Czy ten młody człowiek nie opowiadał niczego? — zapytał Melchett.

— Powiedział, że Ruby poszła po tańcu na górę, aby przypudrować nos.

— Przy tej sposobności zapewne się przebrała?

— Przypuszczam.

— I to jest ostatnia wiadomość o niej? Potem po prostu...

— Zniknęła — dokończyła Josie. — Tak.

— Czy panna Keene знаła kogoś w St. Mary Mead? Albo w sąsiedztwie?

— Nie wiem. Możliwe. Widzi pan, do „Majesticu” przychodzi mnóstwo młodych ludzi z okolicy. Ja nic o nich nie wiem, chyba że któryś z nich powie wyraźnie, skąd jest i gdzie mieszka.

— Czy słyszała pani kiedy od kuzynki nazwę Gossington?

— Gossington? — Josie miała minę zdziwioną.

— Gossington Hall.

Potrząsnęła głową.

— Pierwszy raz słyszę tę nazwę. — Ton jej był przekonujący, dźwięczało w nim też pewne zaniepokojenie.

— W Gossington Hall znaleziono zwłoki — objaśnił pułkownik Melchett.

— Gossington Hall? — Wlepiła w niego osłupiałe oczy. — To niewiarygodne!

Melchett pomyślał: „Niewiarygodne jest jedynym określeniem na to”. Głośno dodał:

— Czy zna pani pułkownika Bantry’ego lub jego żonę?

Josie znowu potrząsnęła głową.

— Albo pana Bazylego Blake’a?

Zmarszczyła brwi.

— Zdaje mi się, że to nazwisko już kiedyś słyszałam. Tak, z pewnością..., ale nie przypominam sobie twarzy.

Gorliwy inspektor Slack podsunął szefowi karteczkę wyrwaną z notesu. Na niej widniały słowa:

Pułkownik Bantry jadł w zeszłym tygodniu obiad w „Majesticu”.

Melchett podniósł głowę i zetknął się ze wzrokiem inspektora. Szef policji poczerwieniał. Slack był urzędnikiem gorliwym i nazbyt służbistym. Melchett nie znosił go. Ale trudno było pominąć to wyzwanie. Jasne było, że inspektor czynił mu nie wypowiedziany głośno zarzut, iż próbuje oszczędzić ludzi ze swej sfery i że osłania kolegę z ła-

wy szkolnej.

Zwrócił się znowu do Josie:

— Panno Turner, jeśli pani się zgodzi, chciałbym prosić, aby pani pojechała ze mną do Gossington Hall.

Przeszedł zimno i wyniośle koło Slacka. Prawie nie dosłyszał wyszeptanej zgody Josie.

Rozdział czwarty

I

St. Mary Mead dawno nie przeżyło tak denerwującego dnia.

Miss Wetherley, zgorzkniała stara panna o spiczastym nosie, pierwsza rozniosła sensacyjną nowinę między ludzi. Zjawiła się u przyjaciółki i zarazem sąsiadki, panny Hartnell.

— Wybacz, kochanie, że przychodzę tak wcześnie, ale pomyślałam, że może jeszcze nie wiesz, co się stało.

— Co się stało? — zapytała panna Hartnell. Mówiła głębokim basem i niezmordowanie odwiedzała biednych, którym mimo wszelkich usiłowań nie udało się uchylić od dobroczynności starej panny.

— Trup w bibliotece pułkownika Bantry'ego — trup dziewczyny...

— W bibliotece pułkownika Bantry'ego?

— Tak. Czy to nie straszne?

— Biedna żona! — Panna Hartnell próbowała ukryć swój nieopisany zachwyty.

— Masz rację! Zdaje mi się, że ona nie ma pojęcia o niczym!

Panna Hartnell zauważyła surowo:

— Bo za dużo zajmuje się ogrodem, a za mało mężem. Męża trzeba stale pilnować — bez przerwy.

— Wiem, wiem. To naprawdę okropne.

— Ciekawam, co Jane Marple na to powie. Czy myślisz, że coś wiedziała? Ona ma bardzo bystry wzrok w tych sprawach.

— Jane Marple pojechała do Gossington.

— Co? Dziś rano?

— Wczesnym rankiem. Jeszcze przed śniadaniem.

— No wiesz! Trzeba przyznać, że to już trochę za dużo dobrego! Wiadomo wszystkim, że Jane chętnie wtyka nos w sprawy bliźnich, ale to po prostu nieakt!

— Ależ pani Bantry po nią posłała!

— Posłała po nią?

— Tak, szofer przyjechał po nią autem.

— Mój ty Boże! To bardzo dziwne...

Przez chwilę milczały obie, aby przetrwać nowinę, po czym panna Hartnell zapytała:

— Jaki trup?

— Znasz tę straszną osobę, która zawsze przyjeżdża z Bazylim Blake'iem?

— Tę okropną tlenioną blondynkę? — Panna Hartnell nie szła z postępem czasu. Nie znała jeszcze różnicy między tlenioną blondynką a platynową. — Tę, która zawsze leży w ogrodzie... goła, że tak powiem?

— Tak, moja droga. I to właśnie ona leżała przed kominkiem... u d u s z o n a !

— Co ty mówisz? W Gossington?

Panna Wetherley kiwała znacząco głową.

— W takim razie... pułkownik Bantry także ...?

Panna Wetherley znowu skinęła głową.

— Och!

Obie panie rozkoszowały się nowym skandalem.

— Co za niedobra kobieta! — oburzała się panna Hartnell w słusznym gniewie.

— Zupełnie zdeprawowana!

— A pułkownik Bantry... taki spokojny, miły człowiek...

Panna Wetherley tłumaczyła ze znanstwem:

— Te ciche wody są zwykle najgorsze. Jane Marple też tak mówi.

II

Pani Price Ridley była jedną z ostatnich, które dowiedziały się o sensacji.

Była to bogata, dumna wdowa, mieszkająca w dużej willi obok probostwa. Nowinę przyniosła jej Klara, służąca.

— Kobieta, powiadasz? Trup kobiety przed kominkiem pułkownika Bantry'ego?

— Tak, prosz'pa... i powiadają, że była golusienka, prosz'pa... ani niteczki nie miała na sobie, prosz'pa...

— Wystarczy, Klaro. Obejdzie się bez szczegółów.

— Tak, prosz'pa, i powiadają, że najpierw myśleli, że to ta młoda panna pana Blake'a, którą on zawsze przywozi na weekendy. Ale teraz mówią, że to całkiem inna panna. A chłopak od rzeźnika mówi, że nigdy by się tego nie spodziewał po pułkowniku Bantrym, który przecież w niedzielę obnosi tacę po kościele... i w ogóle jest taki, taki...

— Dużo jest zła na świecie, Klaro — orzekła pani Price Ridley. — Niech ci to posłu-

ży za przestrozę!

— Tak, prosz'pa, toteż mama nie pozwala mi wziąć służby w domu, gdzie jest pan.

— To wystarczy, Klaro!

III

Krok tylko dzielił domostwo pani Ridley od probostwa.

Pani Ridley miała szczęście zastać pastora w jego gabinecie.

Pastor Clement, łagodny człowiek w średnim wieku, zawsze ostatni w wiosce dowiadywał się o tego rodzaju nowinach.

— Co za straszna historia! — krzyknęła pani Ridley sapiąc, gdyż szła bardzo szybko.

— Czuję potrzebę pańskiej rady, pańskiej pociechy, panie pastorze!

Clement wyglądał na z lekka zaniepokojonego.

— Czy stało się coś?

— Czy się coś stało? — pani Ridley powtórzyła pytanie z patosem. — Najpotworniejszy skandal! I nikt z nas nie miał pojęcia o tym! Zaduszono jakąś niemoralną kobietę, całkiem nagą, przed kominkiem pułkownika Bantry'ego!

Pastor otworzył szeroko oczy. Potem zapytał:

— Pani czuje się zupełnie dobrze, pani Ridley?

— Nic dziwnego, że pan nie może uwierzyć! Również i ja nie mogłam w pierwszej chwili zrozumieć! Taki hipokryta! Tyle lat!

— Niechże mi pani dokładniej opowie, co się właściwie stało?

Pani Price Ridley przystąpiła z zapalem do szczegółowego opisu. Gdy skończyła, pastor zauważył łagodnie:

— Ale przecież nie ma najmniejszego dowodu, że pułkownik Bantry jest wmieszany w tę sprawę, prawda?

— O, drogi panie pastorze! Pan jest taki naiwny! Ale opowiem panu coś. Ostatniego czwartku... Czy też przedostatniego czwartku?... No, mniejsza o to. Jechałam do Londynu. Pułkownik Bantry siedział w tym samym przedziale. Zauważyłam, że był bardzo roztargniony i cały czas siedział z nosem w „*Timesie*”. Tak, jak gdyby po prostu nie chciał rozmawiać! Pan rozumie?

Pastor przytaknął z głębokim zrozumieniem i sympatią.

— W Paddington pożegnałam się z nim. Chciał mi zawołać taksówkę, lecz pojechałam autobusem na Oxford Street. Ale pułkownik wsiadł do taksówki i słyszałam wyraźnie, jaki adres podał szoferowi — jaki adres, myśli pan?

Clement spojrzał na nią pytająco.

— Adres w St. Johns Wood!

Pani Price Ridley odsapnęła z triumfem.

Pastor nie rozumiał.

— Mam wrażenie, że to chyba wystarczy jako dowód — oświadczyła pani Ridley.

IV

W bawialni w Gossington siedziały pani Bantry z panną Marple.

— Wiesz — odezwała się pani Bantry — przyznam się, że jestem zadowolona, iż zabrali zwłoki. Nie bardzo przyjemnie mieć zwłoki w domu.

Panna Marple przyznała jej rację.

— Tak, tak, kochanie. Rozumiem cię.

— Nie, nie potrafisz mnie zrozumieć, boś nigdy sama nie miała zwłok w domu. Wiem, miałaś kiedyś trupa obok, ale to nie to samo. Mam nadzieję — dodała — że Artur nie nabierze wstrętu do biblioteki. Tak chętnie przebywaliśmy w niej. Co ty robisz, Jane?

Panna Marple wstała, spojrzawszy uprzednio na zegarek.

— Cóż, chyba pójdę do domu. Już ci w niczym nie mogę pomóc...

— Zostań jeszcze! Wiem, że fachowcy od odcisków palców i fotograf, i prawie wszyscy policjanci już poszli, ale mimo to mam wrażenie, że się jeszcze coś wydarzy. Chyba nie chcesz stracić żadnego szczegółu tej sprawy?

Telefon zadzwonił i pani Bantry podeszła do niego. Wróciła rozpromieniona.

— Mówiłam ci, że się jeszcze coś wydarzy! Telefonował pułkownik Melchett. Przywozi kuzynkę tej biedaczki.

— Po co? — zapytała panna Marple.

— Ach, pewno, żeby zobaczyła, gdzie się to stało.

— Przypuszczam, że ma jeszcze inne powody.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Jane?

— No, myślę, że może chce ją poznać z twoim mężem.

Pani Bantry powiedziała ostrym tonem:

— Aby się przekonać, czy ona go pozna? Przypuszczam, że tak. O tak, pewno muszą podejrzewać Artura.

— Obawiam się, że tak.

— Tak jakby Artur mógł mieć z tym coś wspólnego!

Panna Marple milczała. Pani Bantry zwróciła się do niej z wyrzutem:

— Tylko nie wspominaj starego generała Hendersona — ani żadnego innego rozpustnika, który zadawał się z pokojówką! Artur nie jest taki.

— Nie, nie. Naturalnie, że nie.

— Nie, on n a p r a w d ę nie jest taki! On się tylko czasem troszkę wygłupia z młody-

mi pannami przyjeżdżającymi na tenisa. Wiesz, robi z siebie takiego ważnego wujaszka. Ale w tym nie ma nic złego. I zresztą czemu nie miałby tak postępować — dodała trochę zagadkowo — ja mam ogród.

Panna Marple uśmiechnęła się.

— Nie trap się o to, Dolly.

— Nie, wiem, ale mimo to martwię się trochę. I Artur też. Jest zdenerwowany. Ci policjanci wszędzie wsadzą swój nos... Artur poszedł na folwark. Gdy jest zdenerwowany, uspokaja go zagładanie do świń i tym podobne zajęcia. O, przyjechali!

Zajechał samochód szefa policji.

Wszedł pułkownik Melchett w towarzystwie eleganckiej młodej kobiety.

— Panna Turner, pani Bantry. Kuzynka ofiary.

Pani domu podała Josie rękę.

— Dzień dobry. To straszne dla pani!

Józefina Turner oznajmiła szczerze:

— Tak, straszne. Wszystko wydaje mi się takie nierzeczywiste jak koszmarne sen.

Pani Bantry przedstawiła pannę Marple.

Melchett zapytał mimochodem:

— Czy małżonka nie ma gdzieś w pobliżu?

— Musiał pójść na folwark. Wróci wkrótce.

— O... — Melchett wydawał się bezradny.

Pani Bantry zwróciła się do Josie:

— Czy chciałaby pani zobaczyć miejsce zbrodni? Czy też woli pani nie?

Po chwili wahania Josie oświadczyła:

— Chciałabym je zobaczyć.

Pani Bantry zaprowadziła ją do biblioteki. Panna Marple i Melchett szli za nimi.

— Tu leżała — objaśniła pani Bantry uroczystym tonem — na dywanie przed kominkiem.

— Och! — Josie wzdrygnęła się. Ale wydawała się również bardzo zdziwiona. Marszcząc brwi, mówiła do siebie: — Nie rozumiem tego! Nie mogę po prostu zrozumieć!

— My jeszcze mniej — zauważyła pani Bantry.

Josie powiedziała wolno:

— W tym miejscu... — urwała.

Panna Marple kiwała poważnie głową, jak gdyby przytakując nie dokończonemu zdaniu Josie. Szepnęła:

— To właśnie najciekawsze w tym wszystkim.

— No, panno Marple — zawołał Melchett kordialnie — niechże nam pani opowie, czy pani już znalazła jakieś wytłumaczenie?

— O tak, znalazłam wytłumaczenie, i to całkiem przekonujące. Ale to oczywiście

tylko pomyśl. Tommy Bond i panna Martin, nasza nowa nauczycielka. Chciała nakręcić zegarek i wyskoczyła z niego żaba.

Józefina Turner wydawała się bardzo poruszona. Gdy wszyscy opuścili pokój, zapytała panią Bantry szeptem:

— Czy ta starsza pani ma dobrze w głowie?

— Zupełnie dobrze — odparła pani Bantry zgorszona.

— Przepraszam. Myślałam tylko, że może wmawia w siebie, że sama jest żabą lub coś takiego.

W tej chwili bocznym wejściem wszedł pułkownik Bantry. Melchett przywitał się z nim i przedstawiając ich sobie obserwował Józefinę Turner. Ale na twarzy Józefiny nie odbiło się ani zainteresowanie, ani błysk poznania. Melchett odetchnął z ulgą. — Do diabła ze Slackiem i jego podejrzeniami!

Zapytywana przez panią Bantry, Josie opowiedziała jeszcze raz o zniknięciu Ruby Keene.

— Pani musiała się strasznie martwić, moja kochana — powiedziała pani Bantry.

— Byłam raczej zła niż zmartwiona. Widzi pani, przecież ja nie wiedziałam, że jej się coś stało.

— A mimo to poszła pani na policję — wtrąciła panna Marple. — Czy to nie było — pani wybaczy — za pochopnie?

Josie odparła żywo:

— Och, to nie ja. To pan Jefferson!

Pani Bantry krzyknęła:

— Jefferson!

— Tak, gość naszego hotelu...

— Ale chyba nie Conway Jefferson, którego bardzo dobrze znam. To nasz stary przyjaciel. Arturze, słuchaj. Conway Jefferson! Mieszka w „Majesticu” i to on zawiadomił policję! Czy to nie dziwny zbieg okoliczności?

Józefina Turner objaśniła:

— Pan Jefferson był już zeszłego lata u nas.

— No, pomyśl! A myśmy nic o tym nie wiedzieli. Już go dawno nie widziałam.

— Zwróciła się znowu do Josie: — A jak... jak mu się obecnie powodzi?

Józefina odparła, z namysłem:

— Uważam, że powodzi mu się świetnie, naprawdę świetnie. Oczywiście, biorąc pod uwagę okoliczności. Jest zawsze wesoły, zawsze dowcipny.

— Czy jest z rodziną?

— Z Gaskellem? Z młodą panią Jefferson i z Piotrusiem? Tak, oczywiście.

Miły, szczerzy sposób mówienia Józefiny Turner zmienił się teraz. Gdy mówiła o Jeffersonach, głos jej nie brzmiał naturalnie. Wyczuć można było pewną rezerwę.

Pani Bantry powiedziała:

— Oni są bardzo mili, ci młodzi, prawda?

A Josie odparła z roztargnieniem:

— O tak, owszem, są bardzo mili. Ja... my... owszem... bardzo mili.

V

— Co też ona miała na myśli? — Pani Bantry wyglądała oknem za samochodem szefa policji. — Są naprawdę bardzo mili... Jane, czy nie myślisz, że tu coś...

Panna Marple podjęła żywo:

— Oczywiście, że myślę! To nie ulega wątpliwości! Zmieniła się natychmiast, jak tylko wspomniano o Jeffersonach. Do tej pory wydawała się całkiem szczerą.

— Ale co ty przypuszczasz, co się za tym kryje?

— Moja droga, ty ich znasz — nie ja. Mam tylko wrażenie, że pannę Turner irytuje coś, co jest w związku z tymi Jeffersonami. I druga rzecz: czy zauważyłaś, gdy ty jej powiedziałaś, że musiała się okropnie martwić z powodu kuzynki, odpowiedziała, że była zła! I miała wściekłą minę przy tym. Po prostu wściekłą! To mi się wydaje bardzo ciekawe. Mam takie wrażenie — może się mylę — że na śmierć dziewczyny zareagowała przede wszystkim złością. Nie lubiła jej, tego jestem pewna. Absolutnie się nie martwi. Jestem przekonana, że sama myśl o Ruby Keene ją gniewa. I oto decydujące pytanie — dlaczego?

— Znajdziemy odpowiedź na nie! — oświadczyła pani Bantry. — Pojedziemy do Danemouth i zamieszkamy w „Majesticu”. Tak, Jane, ty także. Moje nerwy potrzebują odmiany po wszystkim, co tu zaszło. Kilka dni w „Majesticu” dobrze nam zrobi. I poznasz Conwaya Jeffersona. On jest czarujący. Doprawdy czarujący! Ma najsmutniejsze życie, jakie sobie można wyobrazić. Kochał ogromnie syna i córkę. Córka była zamężna, syn żonaty, ale spędzali bardzo dużo czasu u rodziców. Również jego żona była czarująca i ich małżeństwo było bardzo szczęśliwe. Ale pewnego dnia samolot, którym lecieli do Francji, uległ katastrofie. Wszyscy się zabili: pilot, pani Jefferson, Rosamunda i Frank. Nogi Conwaya były tak okaleczone, że trzeba je było amputować. Trzymał się wspaniale. Ta odwaga, ten optymizm! Był człowiekiem ogromnie ruchliwym, a teraz jest bezradnym kaleką. Ale nigdy się nie skarży. Mieszka z nim jego synowa i jej synek z pierwszego małżeństwa, Piotr Carmody. A Mark Gaskell, mąż Rosamundy, przeważnie też przebywa u niego. To była naprawdę straszna tragedia.

— A teraz znowu ta tragedia... — wtrąciła panna Marple.

— No tak, ale przecież ona nie ma nic wspólnego z Jeffersonami.

— Nie? Pan Jefferson wezwał policję.

— Masz rację, Jefferson... Wiesz, Jane, że to doprawdy dziwne...

Rozdział piąty

I

Melchett miał przed sobą całkowicie zrozpaczonego dyrektora hotelu. Wraz z pułkownikiem przybył super-intendent Harper z policji w Glenshire, jak również nieunikniony inspektor Slack. Slack był mocno niezadowolony z tego, że szef policji tak energicznie zajął się wypadkiem.

Harper chętnie uspokoiłby pana Prestcotta, bliskiego płaczu, ale pułkownik Melchett był nieubłagany i srogi.

— Nie ma sensu biadać nad rozlanym mlekiem — oznajmił surowo. — Dziewczyna nie żyje — została uduszona. Ma pan jeszcze szczęście, że nie stało się to w pańskim hotelu. Dzięki temu główne śledztwo toczy się w innym hrabstwie i opinia pańskiego lokalu nie ucierpi tak bardzo. Ale pewnych informacji trzeba tu zasięgnąć i im prędeż z tym skończymy, tym lepiej. Może pan polegać na nas: będziemy dyskretni i taktowni. Skończmy zatem z przelewaniem z pustego w próżne i chwyćmy byka za rogi. Niech mi pan powie wszystko, co pan wie o tej dziewczynie.

— Nie wiem nic — absolutnie nic. Josie ją sprowadziła.

— Czy Josie już długo u pana pracuje?

— Dwa lata... nie, trzy.

— Czy pan lubi Josie?

— Owszem, to porządna dziewczyna, miła dziewczyna. Bardzo zdolna. Umie postępować z gośćmi. Jest bardzo taktowna, zwłaszcza gdy wybuchną jakieś kłótnie — brydż jest grą drażliwą, jak panu wiadomo. — Pułkownik Melchett przytaknął ze zrozumieniem. Jego żona grała namiętnie w brydża, ale przy tym grała fatalnie. Pan Prestcott ciągnął dalej: — Josie działa tak uspokajająco w przykrych sytuacjach. Ma dobry wpływ na ludzi — taka pogodna, a przy tym stanowcza. Pan mnie rozumie?

Melchett znowu przytaknął. Teraz wiedział, kogo mu panna Turner przypominała. Mimo eleganckiego wyglądu miała w sobie coś z guwernantki.

— Jest dla mnie niezastąpiona. — Ton pana Prestcotta był znowu płaczący. — Ale też po co wspinała się po śliskich skałach? Wariacki pomysł! Mamy przecież taką ładną plażę. Czemu nie mogła się tam kąpać? Musiała się pośliznąć i upaść, i złamać nogę w kostce! Nie wolno jej było tak postąpić wobec mnie. Tancerki muszą uważać na swoje kości. Byłem bardzo zły z tego powodu. To nie w porządku względem zarządu hotelu.

Melchett przerwał jego wywody.

— I wtedy zaproponowała, żeby ta dziewczyna — ta kuzynka — przyjechała?

Prestcott potakiwał niechętnie:

— Tak. Zdawało się, że to niezły pomysł. Nie miałem bynajmniej zamiaru płacić osobnej pensji. Dziewczyna dostawała od nas mieszkanie i wikt. Co się tyczyło wynagrodzenia, to była to sprawa między nią a Josie. Tak się z nimi umówiłem. Ja nic o tej dziewczynie nie wiedziałem.

— Ale sprawowała się zupełnie dobrze?

— Owszem. Była oczywiście młoda, może trochę za wulgarna na wymagania naszego hotelu. Ale zachowywała się porządnie: spokojnie i grzecznie. Dobrze tańczyła. Goście lubili ją.

— Ładna?

Szef policji nie mógł sam odpowiedzieć na to pytanie, gdyż widział tylko siłą, opuchniętą twarz ofiary.

Pan Prestcott zastanawiał się.

— Przeciętnie. Trochę chuda i anemiczna. Bez makijażu nie zwróciłaby niczyjej uwagi. Ale umiała wyglądać pociągająco.

— Czy dużo młodych ludzi flirtowało z nią?

— Wiem, do czego pan zmierza, sir — Pan Prestcott zdenerwował się. — Ja nigdy nic nie zauważyłem. Nic szczególnego. Dwóch młodych ludzi flirtowało z nią, ale całkiem przeciętnie, że tak powiem. W sposób wesoły i miły, ale nie morderczy. Miała również powodzenie u starszych panów. Miała w sobie coś figlarnego. Wydawała się jeszcze zupełnie dzieckiem. Pan mnie rozumie? To bawiło ludzi.

Superintendent Harper wtrącił głębokim, melancholijnym głosem:

— Na przykład pana Jeffersona?

— Tak, właśnie myślałem o panu Jeffersonie. Spędzała bardzo dużo czasu z nim i jego rodziną. Zabierał ją czasem na wycieczki samochodowe. Pan Jefferson lubi młodzież i jest bardzo dobry dla niej. Nie chciałbym, żeby mnie pan źle rozumiał. To kaleka. Nie może się sam ruszać z miejsca — tylko jeździ wózkiem. Ale ogromnie lubi, gdy młodzież się dobrze bawi. Przygląda się im przy tenisie, na plaży i tak dalej — i zaprasza na przyjęcia. Po prostu kocha młodzież i wcale nie jest zgorzkniały, do czego miałby zresztą pełne prawo. Człowiek ogromnie lubiany i, powiedziałbym, bardzo wykwinny charakter.

Melchett zapytał:

- Interesował się tą dziewczyną?
- Prawdopodobnie bawił go jej szczebiot.
- Czy rodzina podzielała jego sympatię dla Ruby Keene?
- Byli zawsze bardzo uprzejmi dla niej.

Harper wtrącił:

- I to on zawiadomił policję o tym, że zaginęła?

Udało mu się nadać słowom brzmienie tak znaczące i pełne wyrzutu, że dyrektor zareagował na nie natychmiast:

— Niechże się pan postawi w moim położeniu! Ani przez chwilę nie przypuszczałem, że się mogło coś stać. Pan Jefferson przyszedł do mnie szalenie zdenerwowany. Dziewczyna nie spała w swoim pokoju. Nie zjawiała się na występ. Musiała pojechać gdzieś autem i spotkała ją katastrofa! Jefferson był w strasznym stanie. Trzeba natychmiast zawiadomić policję i wszcząć śledztwo! I od razu sam zatelefonował na posterunek policji.

- Nie porozumiewając się przedtem z panną Turner?

— Dla Josie z pewnością nie było to miłe, jak zauważyłem. Była bardzo zirytowana tą całą sprawą — to znaczy, zirytowana z powodu Ruby. Ale cóż mogła zrobić?

- Moglibyśmy teraz pomówić z Jeffersonem — zaproponował Melchett. — Co? Superintendent Harper zgodził się z nim.

II

Pan Prestcott wraz z przedstawicielami policji udał się do apartamentu Conwaya Jeffersona. Znajdował się on na pierwszym piętrze; z wszystkich okien roztaczał się wspólny widok na morze.

Melchett zauważył mimochodem:

- Nieźle mu się powodzi, co? Zamożny człowiek?

— Bardzo zamożny, mam wrażenie. Nie oszczędza na niczym. Najładniejsze pokoje, jedzenie przeważnie *a la carte*, drogie wina — jednym słowem, wszystko, co najlepsze.

Melchett pokiwał głową.

Prestcott zapukał. Jakiś głos kobiety zawołał: „Proszę”.

Dyrektor wszedł, za nim reszta.

Pan Prestcott zwrócił się przepaszającym tonem do kobiety, która spoglądała ku nim spod okna.

— Proszę wybaczyć, że przeszkadzamy, ale ci panowie przyszli z policji. Zależy im bardzo na tym, ażeby zamienić parę słów z teściem pani. Pani pozwoli: pułkownik Mel-

chett, superintendent Harper, inspektor — hm — Slack, pani Jefferson.

Pani Jefferson odpowiedziała skinieniem głowy.

Nieładna kobieta — takie było pierwsze wrażenie Melchetta. Ale potem, kiedy na jej ustach pojawił się lekki uśmiech i gdy zaczęła mówić, zmienił zdanie. Miała bardzo sympatyczny i powabny głos, a jej jasnoorzechowe oczy były piękne. Ubrana była skromnie, ale gustownie. Miała około trzydziestu pięciu lat.

— Mój teść śpi — oznajmiła, — Nie jest bardzo silny, a to wydarzenie było strasznym wstrząsem dla niego. Musieliśmy wezwać lekarza, który dał mu proszek nasenny. Gdy tylko się zbudzi, porozmawia z panami. Tymczasem może ja będę mogła udzielić jakichś informacji? Proszę spocząć.

Pan Prestcott, który czekał tylko na to, żeby się wymknąć, szepnął do pułkownika Melchetta:

— Tak, hm, skoro to wszystko, co mogę dla panów uczynić... — Zwolniony przez Melchetta, wycofał się z wdzięcznością.

Ledwo zamknął za sobą drzwi, nastrój stał się o wiele przyjemniejszy, niemal towarzyski. Adelajda Jefferson umiała roztaczać wokół siebie atmosferę spokoju i swobody. Była kobietą, która prawdopodobnie sama nigdy nie mówiła niczego niezwykłego, ale udawało jej się zachęcić innych do mówienia. W jej towarzystwie człowiek musiał się czuć dobrze. Również teraz znalazła odpowiedni ton.

— To nieszczęście bardzo nas wszystkich dotknęło. Przebywaliśmy bowiem dużo z tą biedną dziewczyną. Trudno w to uwierzyć. Teść jest okropnie wytrącony z równowagi. Bardzo lubił Ruby.

Melchett zapytał:

— O ile mi wiadomo, teść pani zawiadomił policję o jej zaginięciu?

Chciał się przekonać, jak ona zareaguje na jego słowa. Lekki odcień, bardzo lekki odcień: gniewu? niepokoju? — nie umiałby dokładnie określić, czego, zamącił przez okamgnienie jej spojrzenie. Zdawało się, że musi się opanować jak przed niemiłym zadaniem, zanim zaczęła mówić dalej:

— Owszem, tak było. Ponieważ nie jest zdrowy, denerwuje się szybko. Próbowaliśmy go przekonać, że wszystko się wyjaśni, że sprawa musi się w jakiś naturalny sposób rozwiązać i że dziewczyna będzie pewnie zrozpaczona, jeśli zawiadomi się policję z jej przyczyny. Ale uparł się. No cóż — uczyniła ruch ręką — on miał rację, a nie my.

— Chciałbym dokładnie wszystko o niej wiedzieć. Czy pani знаła dobrze Ruby Keene? — zapytał Melchett.

Zastanowiła się chwilę.

— To trudno powiedzieć. Teść mój lubi młodzież i chętnie się nią otacza. Ruby była dla niego typem nowym, nieznanym. Jej szczebiot bawił go. Przesiadывała dużo z nami w holu, teść zabierał ją nieraz na wycieczki samochodowe.

Głos jej był znowu zupełnie obiektywny. Melchett pomyślał: „Gdyby chciała, mogłaby więcej powiedzieć”.

Głośno poprosił:

— Proszę mi opowiedzieć wszystko, co pani wie o wczorajszym wieczorze.

— Oczywiście. Ale obawiam się, że nie będzie w tym nic nowego dla pana. Po kolacji Ruby przysłała do nas do holu. Tańce już się rozpoczęły, a ona jeszcze siedziała z nami. Umówiliśmy się, że później zagramy w brydża, ale czekaliśmy jeszcze na Marka — Mark Gaskell to mój szwagier, mąż córki pana Jeffersona. Mark chciał przed tym napisać kilka ważnych listów. I Josie też jeszcze nie było. Miała być naszym czwartym.

— Josie często grywała z państwem?

— Bardzo często. Gra naturalnie pierwszorzędnie i w ogóle jest bardzo miła. Teść mój namiętnie gra w brydża i zawsze prosi Josie na czwartego. Ponieważ jest do dyspozycji wszystkich brydżystów, nie zawsze może grać z nami, ale przychodzi, gdy tylko może, a — w tym miejscu uśmiechnęła się z lekka — ponieważ teść wydaje tu dużo pieniędzy, dyrekcja zgadza się, żeby Josie nas faworyzowała.

— A pani lubi Josie?

— Owszem, nawet bardzo. Jest zawsze w dobrym humorze i pogodna, pracuje ciężko i jest oddana swojemu zawodowi. Jest mądra, choć niewykształcona i — tak — nigdy nie robi z siebie osoby ważnej. Jest naturalna i prosta.

— Proszę, niech pani mówi dalej.

— Jak już powiedziałam, Josie była jeszcze zajęta swoimi brydżystami, a Mark pisał listy. Ruby więc rozmawiała z nami trochę dłużej niż zazwyczaj. Potem przysłała Josie, a Ruby poszła na pierwszy występ z Raymondem. To fordanser i trener tenisowy. Potem wróciła do nas, właśnie w chwili, kiedy nadszedł również Mark. Wtedy wróciła na salę i tańczyła z jakimś młodym człowiekiem, a my siedliśmy do brydża.

Zatrzymała się z bezradnym gestem.

— I to wszystko, co wiem! Widziałam ją po raz ostatni, gdy tańczyła. Ale brydż jest grą wymagającą skupienia. Już nie patrzyłam na salę. Koło północy Raymond bardzo zdenerwowany przyszedł po Josie i zapytał ją, gdzie jest Ruby. Josie próbowała go oczywiście uspokoić, ale...

Superintendent Harper przerwał jej spokojnym głosem:

— Dlaczego o c z y w i ś c i e ?

— Ponieważ... — zawahała się i zmieszała trochę, jak się Melchettowi zdawało. — Josie przecież nie chciała, żeby ktoś zauważył nieobecność Ruby. Czuła się do pewnego stopnia odpowiedzialna za kuzynkę. Wyraziła przypuszczenie, że dziewczyna będzie prawdopodobnie u siebie, gdyż skarżyła się przed chwilą na ból głowy. Zdaje mi się, że to zresztą nie było prawdą. Josie powiedziała to tylko jako usprawiedliwienie. Raymond poszedł zatelefonować do pokoju Ruby, ale widocznie nikt się nie zgłosił, bo

wrócił po prostu wściekły. Josie poszła z nim, próbując go uspokoić. W końcu zatańczyła zamiast Ruby. Było to dzielnie z jej strony, gdyż widać było po niej, że noga ją boli. Po skończonym tańcu wróciła do nas i uspokajała mego teścia, który się już bardzo denerwował. Ostatecznie uspokoiiliśmy go na tyle, że zgodził się pójść spać. Powiedzieliśmy mu, że Ruby pewno pojechała gdzieś samochodem i po drodze miała defekt. Bardzo stroskany położył się spać i dziś rano zawiadomił od razu policję. — Zatrzymała się, — Resztę pan zna.

— Dziękuję pani. Teraz muszę panią zapytać, czy ma pani pojęcie, kto mógł popełnić tę zbrodnię?

Odpowiedziała natychmiast:

— Najmniejszego. Nie mogę udzielić żadnych wskazówek.

Melchett nalegał:

— Nie posądza pani nikogo? Czy dziewczyna nie napomknęła nigdy o czymś, co mogłoby rzecz wyjaśnić? O zazdrości? O jakimś człowieku, którego by się bała, a z którym łączyłby ją jakiś bliższy stosunek?

Przy każdym pytaniu Adelajda zaprzeczała ruchem głowy. Zdawało się, że rzeczywiście niczego więcej nie wie.

Superintendent zaproponował, żeby przesłuchać teraz Jerzego Bartletta i powrócić później do Jeffersona. Melchett zgodził się.

Przedstawiciele policji pożegnali się, a pani Jefferson przyrzekła zawiadomić ich, gdy tylko teść się obudzi.

— Sympatyczna osoba — zauważył pułkownik, gdy drzwi zamknęły się za nimi.

— Bardzo sympatyczna — przyznał Harper.

III

Jerzy Bartlett był młodzieńcem chudym i niepozornym o wystającej grdyce. Miał duże trudności z ujęciem swoich myśli w słowa. Był tak zdenerwowany i roztargniony, że wydobycie od niego rzeczowego zeznania było prawie niemożliwe.

— Trzeba przyznać, że to okropne, prawda? Zwykle czyta się o takich rzeczach tylko w gazetach — ale trudno uwierzyć, że coś takiego może się naprawdę zdarzyć!

— Niestety, nie ulega wątpliwości, że się to naprawdę z d a r z y ł o — podkreślił Harper.

— Nie, no oczywiście, że nie, ale to niebywałe... po prostu niebywałe. I w dodatku tak daleko stąd. W jakimś dworze... prawda? Strasznie po wielkopańsku... i tak w ogóle. Wywarło to pewnie ogromne wrażenie w okolicy, co?

Melchett przejął inicjatywę rozmowy w swoje ręce.

— Pan dobrze znał ofiarę?

Bartlett przeraził się.

— O, w-w-wcale nie, sir! Nie, prawie w ogóle nie... pan rozumie? Tańczyłem z nią raz czy dwa razy... graliśmy trochę w tenisa... żeby zabić czas... wie pan?

— Pan był ostatnim człowiekiem, który wczoraj wieczór widział Ruby Keene jeszcze przy życiu.

— Tak, zdaje się, że ostatnim... jak to okropnie brzmi, co? Była wtedy całkiem zdrowa... zdrowa, żywa, no i... w ogóle.

— O której godzinie to było?

— Ach, wie pan, nigdy nie wiem, która godzina... nie było bardzo późno.

— Pan z nią tańczył?

— Tak... poniekąd tak, a więc faktycznie tańczyłem z nią. Ale od razu na początku wieczoru. O, zaraz po jej występie z tym tenisistą. A więc o dziesiątej czy też o wpół do jedenastej, czy o jedenastej, nie pamiętam.

— Mniejsza w tej chwili o dokładną godzinę, ustalimy to potem. Niech mi pan wszystko opowie.

— A więc tańczyliśmy, wie pan. Nie można powiedzieć, żebym bardzo dobrze tańczył.

— To nas w tej chwili nie interesuje.

— Nie... e... nie interesuje, tak, mnie się też tak zdaje. A więc tańczyliśmy. Dookoła i dookoła, i ja coś powiedziałem, ale Ruby nie mówiła dużo i ziewała tylko. Jak już wspomniałem, nie tańczę świetnie i dlatego dziewczęta... no cóż... chętnie kończą taniec, pan rozumie? Skarżyła się na ból głowy... Orientuję się, kiedy jestem zbyt czyny. Więc powiedziałem: „Koniec na dziś”... i już.

— Wtedy ją pan widział po raz ostatni?

— Poszła na górę.

— Czy nie wspomniała o jakimś spotkaniu? O wycieczce autem? Albo randce?

Bartlett potrząsnął głową.

— Przy mnie nie. — Był zasmucony. — Po prostu zostawiła mnie i poszła sobie.

— W jakim była nastroju? Czy wydawała się wylękniona, roztargniona, a może przygnębiona?

Bartlett zastanawiał się chwilę, po czym znowu potrząsnął głową.

— Nie, tylko znudzona. Ziewała... i w ogóle... nic poza tym.

Melchett zapytał:

— A co pan robił, panie Bartlett?

— Hę?

— Co pan robił po rozstaniu się z Ruby Keene?

Bartlett wpatrzył się w niego osłupiałym wzrokiem.

— Zaraz, zaraz... no i co pan na to... co ja właściwie robiłem...?

— Tego właśnie chcemy się dowiedzieć od pana.

— Tak, oczywiście... wcale nie tak łatwo sobie przypomnieć, wie pan? Zaraz, zaraz. Niewykluczone, że poszedłem do baru i piłem.

— A czy pan istotnie poszedł do baru i napił się czegoś?

— Ano właśnie, coś piłem. Ale nie sędzę, żeby zaraz po rozstaniu z nią. Zdaje mi się, że poszedłem się trochę przejść, wie pan? Na świeże powietrze. Taki ciepły wrzesień. Bardzo ładny wieczór. Tak... tak było. Przechadzałem się chwilę, potem wróciłem... wypilem coś, potem zajrzałem na salę dansingową. Ale nic się tam nie działo. Zwróciłem tylko uwagę, że ta — no jakże jej tam — ta Josie znowu tańczy. Z tenisistą. Jakiś czas uchodziła za chorą... coś z nogą... i w ogóle.

— A więc wrócił pan na dansing o północy. Czy chce pan przez to powiedzieć, że pan przeszło godzinę spacerował po ciemku?

— No, piłem też trochę, wie pan. I... no cóż... rozmyślałem o różnych rzeczach.

Zeznanie Bartletta było najmniej wiarygodne ze wszystkich.

Melchett zapytał surowo:

— O czym pan rozmyślał?

— O, nie pamiętam. O wszystkim — odparł pan Bartlett niepewnym tonem.

— Czy ma pan auto?

— Owszem, mam.

— Gdzie ono stoi? W garażu hotelowym?

— Nie. Stało na dziedzińcu. Myślałem, że może się trochę przewietrzę, wie pan.

— Może się pan naprawdę przewietrzył?

— Nie, nie, na pewno nie. Na to mogę przysiąc.

— I nie zabrał pan przypadkiem panny Keene na przejażdżkę?

— O do licha... do czego pan zmierza? No, wie pan! Nie zabrałem jej... przysięgam panu. Naprawdę nie.

— Dziękuję panu. Zdaje mi się, że to na razie wszystko. Na razie — powtórzył Melchett znacząco.

Pan Bartlett został sam. Na jego mało inteligentnej twarzy malował się dziecienny strach.

— Całkowity idiota — orzekł Melchett — nie uważa pan?

Harper pokiwał głową.

— Mamy jeszcze długą drogę przed sobą — stwierdził.

Rozdział szósty

I

Portier nocny, jak również barman w barze, nie zeznali niczego istotnego. Portier nocny przypomniał sobie, że zaraz po dwunastej telefonował do panny Keene, ale nikt się nie zgłosił. Nie wiedział, czy pan Bartlett wyszedł z hotelu lub wrócił. W ciągu pogodnej nocy mnóstwo osób wychodziło ciągle na spacer i wracało.

Poza głównym wyjściem w holu istniało zresztą jeszcze kilka bocznych wyjść z korytarza. Portier był raczej pewny, że panna Keene nie wyszła głównym wyjściem. Ze swego pokoju na pierwszym piętrze mogła schodami zejść na drugi koniec korytarza i stamtąd wydostać się na boczny taras. W ten sposób mogła niepostrzeżenie opuścić hotel.

Barman pamiętał, że pan Bartlett był wieczorem w barze, ale nie umiał powiedzieć, o jakim czasie. Jego zdaniem nie było to ani wcześniej, ani późno. Pan Bartlett siedział w kącie z miną dość melancholijną. Jak długo tam siedział, tego barman nie pamiętał. Przez cały wieczór przewinęło się wiele osób.

II

Gdy wychodził z baru, zaczepił ich mały chłopczyk. Miał około dziewięciu lat. Natychmiast zaczął szczebiotać.

— To wy jesteście detektywami? Nazywam się Piotr Carmody. Mój dziadek zawołał policję z powodu Ruby. Czy jesteście ze Scotland Yardu? Pan się chyba nie gniewa, że mówię do pana, prawda?

Zdawało się, że Melchett odprawi malca krótko, ale Harper wdał się z nim w rozmowę. Odezwał się tonem życzliwym i zachęcającym:

— Nie szkodzi, chłopcze. To cię oczywiście wszystko bardzo interesuje?

— Jeszcze jak! Lubi pan powieści kryminalne? Ja bardzo! Czytam wszystkie. I mam

już autografy Dorothy Sayers i Agathy Christie, i Dicksona Carra. Czy gazety napiszą o tym morderstwie?

— Spodziewam się — potwierdził Harper.

— Wracam w przyszłym tygodniu do szkoły. Wtedy opowiem kolegom, że ją znałem — nawet bardzo dobrze ją znałem.

— A jak ci się podobała?

Piotr zastanawiał się chwilę.

— No, niewiele mnie obchodziła. Mnie się zdaje, że ona była dość głupia. Mamusia i wujek Mark też jej nie cierpieli. Tylko dziadzio. Dziadzio chciał się zresztą zobaczyć z wami. Edwards szuka was.

Harper szepnął zachęcającym tonem:

— A więc twoja mama i wuj nie cierpieli Ruby? Czemu?

— A bo ja wiem. Robiła zawsze taką ważną z siebie i mamusia z wujkiem nie mogli znieść, że dziadzio wyprawia z nią takie historie. Zdaje mi się — stwierdził Piotr wesoło — że oni się cieszą, że Ruby nie żyje.

Harper przyglądał mu się w zamyśleniu.

— Czy słyszałeś, że tak mówią?

— To nie, ale wujek Mark powiedział: „No, to przynajmniej jakieś wyjście z sytuacji”, a mamusia dodała: „Tak, ale straszne”, a wujek, że nie ma co udawać.

Harper i Melchett zamienili z sobą spojrzenie. W tym momencie ukazał się dostoyny, schludnie ubrany człowiek.

— Przepraszam panów najmocniej. Jestem służącym pana Jeffersona. Obudził się i posłał mnie do panów, gdyż chętnie zobaczyłby się z panami.

Udali się znowu do apartamentów pana Jeffersona. W salonie zastali Adelajdę Jefferson rozmawiającą z wysokim człowiekiem, który przechadzał się nerwowo i niespokojnie po pokoju. Na widok wchodzących odwrócił się gwałtownie.

— Ach tak. Dobrze, że panowie przyszli. Teść już pytał o panów. Obudził się teraz. Proszę go możliwie nie denerwować, dobrze? Z jego zdrowiem nie jest najlepiej. Do prawdy cud, że go ten wstrząs nie zabił.

Harper wtrącił:

— Nie wiedziałem, że jest taki chory.

— On sam o tym nie wie — objaśnił Mark Gaskell — serce takie kiepskie. Lekarz zwrócił Addie uwagę na nie i przestrzegał przed zdenerwowaniem i przestracaniem. Dał do zrozumienia, że lada chwila może nastąpić koniec — prawda, Addie?

Pani Jefferson potwierdziła jego słowa.

Melchett orzekł oschle:

— Morderstwo, niestety, nie jest lekiem uspokajającym. Postaramy się być ostrożni.

Podczas rozmowy przyglądał się Markowi Gaskellowi. Nie podobał mu się. Dzika,

drapieżna twarz bez skrupułów. Człowiek przyzwyczajony robić, co mu się podoba, i którego kobiety ubóstwiają.

„Ja bym mu nie ufał” — pomyślał pułkownik.

Bez skrupułów — oto jedyne określenie.

Taki człowiek był zdolny do wszystkiego...

III

W dużej sypialni z widokiem na morze, siedział przy oknie w fotelu na kółkach Conway Jefferson.

Ledwo przedstawiciele policji weszli, odczuli już wpływ jego silnej indywidualności. Zdawało się, że nieszczęście, czyniące go kaleką, podnieciło jeszcze silniej płomień życia w jego okaleczonym ciele.

Miał doskonale ukształtowaną głowę. Jego rude włosy siewiały z lekka. Z gruba ciosana, wyrazista twarz opalona była na ciemny brąz, a oczy lśniły głębokim szafirem. Ani śladu choroby czy cherlactwa. Głębokie bruzdy na twarzy świadczyły o cierpieniu, ale nie o słabości. To był człowiek, który nie podejmował bezcelowej walki z losem, lecz przyjmując to, co mu los dawał, pozostawał mimo to zwycięzcą.

— Dobrze, że panowie przyszli — przemówił. Szybkim wzrokiem zlustrował ich.
— Pan jest szefem policji w Radfordshire? Dobrze. A pan jest superintendentem Harperem? Proszę spocząć. Papierosy są tam na stole.

Podziękowali i usiedli. Melchett zaczął:

— Jak słyszałem, interesował się pan zmarłą?

Z lekka ironiczny uśmiech przemknął po twarzy.

— Tak. Kochani bliźni nie omieszkali panów poinformować o tym. Cóż, to nie żadna tajemnica. A czego dowiedzieli się panowie od mej rodziny?

W tym miejscu spojrzął szybko na nich.

Melchett odpowiedział:

— Pani Jefferson mówiła nam, że dziewczyna bawiła pana swoim szczebiotem i że była poniekąd pupilka pana. Z panem Gaskellem nie mieliśmy jeszcze sposobności dłużej porozmawiać.

Conway Jefferson uśmiechnął się.

— Addie jest dyskretna. Mark wyraziłby się inaczej. Mam wrażenie, że nie zawadzi, jeśli podam panom jasno i otwarcie kilka faktów. Zależy mi na tym, żebyście zrozumieli moje stanowisko w tej sprawie. W tym celu muszę wrócić do tragedii mego życia. Przed ośmiu laty straciłem w katastrofie lotniczej żonę, syna i córkę. Od tej pory zostało ze mnie pół — nie mówiąc o moim stanie fizycznym. Rodzina była dla mnie wszystkim! Zięć i synowa byli dla mnie bardzo dobrzy. Robili, co mogli, aby zastąpić mi rodzone

dzieci. Ale zdawałem sobie sprawę — zwłaszcza ostatnimi czasy — że ostatecznie każde z nich musi żyć własnym życiem.

W gruncie rzeczy jestem sam. Panowie to rozumieją. Lubię młodzież. Jej widok sprawia mi przyjemność. Raz czy dwa razy zastanawiałem się już, czy nie zaadoptować jakiejś dziewczyny lub chłopca. Podczas ostatnich miesięcy polubiłem to biedne dziecko, które zamordowano. Była taka prosta, taka naiwna. Opowiadała mi o swoim życiu, o swoich przeżyciach. Mówiła o mamusi i o tatusiu, o dzieciństwie spędzonym w ubogim domu... Dzięki niej poznałem świat zupełnie różny od tego, w którym dotychczas żyłem! Nigdy się nie skarżyła, nigdy nie czuła się pokrzywdzona. Było to dziecko skromne, dzielne, ciężko pracujące, nie zepsute i urocze. Może nie była damą. Ale na szczęście nie była wulgarna ani też nie udawała niczego.

Sympatia moja dla Ruby wzrastała. Postanowiłem ją zaadoptować. Ruby miała być prawnie moją córką. Mam nadzieję, że to tłumaczy mój stosunek do niej i kroki podjęte przeze mnie, gdy dowiedziałem się o jej zagadkowym zniknięciu.

Przerwał na chwilę. Harper zapytał swoim spokojnym, obiektywnym głosem:

— Czy może nam pan powiedzieć, jak pański zięć i synowa przyjęli ten projekt?

Jefferson odpowiedział natychmiast:

— Cóż mogli rzec? Może nie byli bardzo zachwyceni tym pomysłem. W tego rodzaju sprawach istnieje zazwyczaj dużo przesądów. Ale zachowywali się bardzo porządnie — tak, nawet bardzo porządnie. Nie są bynajmniej zależni ode mnie. Kiedy mój syn się ożenił, oddałem mu połowę mego majątku. Uważałem to za słuszne. Nie należy dzieciom kazać czekać na swoją śmierć. Potrzeba im pieniędzy, póki są młodzi, a nie dopiero w średnim wieku. Tak samo postąpiłem z córką Rosamundą. Kiedy uparła się, że wyjdzie za biednego człowieka, dałem jej wielki posag w gotówce. Tę kwotę odziedziczył Mark Gaskell po jej śmierci. Jak panowie zatem widzą, sprawa z punktu widzenia finansowego była całkiem prosta.

— Tak, jest całkiem prosta — przyznał Harper, lecz w jego głosie dźwięczała pewna powściągliwość.

Conway Jefferson zareagował natychmiast.

— Pan jest innego zdania?

— Nie wypada mi zabierać głosu, ale na podstawie doświadczenia wiem, że członkowie rodziny zachowują się nieraz bardzo dziwnie.

— Ma pan oczywiście rację, ale musi pan zauważyć, że Gaskell i pani Jefferson właściwie nie stanowią mojej rodziny. Nie są moimi krewnymi.

— To oczywiście różnica — przyznał Harper.

Conway Jefferson zmrużył oczy.

— To nie znaczy, żeby oboje nie uważali mnie za starego wariata. Każdy normalny człowiek myślałby tak o mnie. Ale nie jestem wariatem. Znam życie. Przy odrobinie wy-

kształcenia i wychowania Ruby Keene mogłaby się wszędzie pokazać.

Teraz przemówił Melchett:

— Obawiam się, że pan będzie nas uważał za ludzi niedyskretnych i natrętnych. Ale poznanie wszystkich faktów jest ogromnie ważne dla nas. Pan zamierzał zaadoptować dziewczynę, ale pan tego jeszcze nie uczynił? Nie wydał pan jeszcze żadnych dyspozycji finansowych?

— Domyślam się, do czego pan zmierza. Szuka pan kogoś, kto miałby jakąś korzyść z powodu śmierci tej dziewczyny? Lecz tutaj ten motyw odpada. Formalności prawne potrzebne do adopcji były rozpoczęte, ale jeszcze nie zakończone.

Melchett powiedział wolno:

— Gdyby zatem panu się coś stało...?

Jefferson odparł szybko:

— To mało prawdopodobne, żeby mnie się coś mogło stać! Jestem kaleką — ale nie jestem chory, chociaż lekarze lubią się mądrzyć i przestrzegają przed przemęczeniem. Przemęczenie! Jestem silny jak koń! Mimo to zdaję sobie sprawę z tego, że życie każdego człowieka jest rzeczą kruchą. Mój Boże, któż może lepiej o tym wiedzieć niż ja! Najsilniejszy człowiek może nagle umrzeć. Ale pomyślałem o tym zawczasu. Mniej więcej tydzień temu zrobiłem nowy testament.

— Tak? — Harper przechylił się zaciekawiony.

— Zapisałem Ruby Keene pięćdziesiąt tysięcy funtów. W chwili uzyskania pełnoletności otrzymałaby tę kwotę.

Melchett i Harper byli zdumieni. Harper zauważył niemal z przejęciem:

— To bardzo dużo pieniędzy.

— Tak, na dzisiejsze czasy dużo.

— I taką kwotę chciał pan zapisać dziewczynie, którą pan znał zaledwie kilka tygodni?

Żywe oczy Jeffersona rozbłysły gniewem.

— Czy stale muszę powtarzać jedno i to samo? Nie mam krewnych — ani siostrzeńców, ani bratanków, ani nawet dalekich kuzynów. Mogłem tę kwotę zapisać jakiemuś towarzystwu dobroczynnemu. Ale wolę zawsze jednostkę, którą znam. — Roześmiał się. — Kopciuszek stał się przez noc królową. Dobry wróż zamiast dobrej wróżki. Czemu nie? To moje pieniądze. Ja je zarobiłem.

Melchett zapytał:

— Czy poza tym wyznaczył pan jeszcze jakieś legaty?

— Małą kwotę przeznaczyłem dla Edwardsa, służącego. Resztę podzielono by między Marka i Addie.

— A ta reszta — przepraszam za pytanie — byłaby duża?

— Prawdopodobnie nie. Trudno mi dokładnie określić. Po wszystkich potrąceniach

i podatkach zostałyby pewno z pięć do dziesięciu tysięcy funtów.

— Hm.

— Niech pan nie myśli, że skrzywdziłem tym postępowaniem Marka i Addie. Jak już panom powiedziałem na wstępie, podzieliłem majątek, gdy dzieci założyły własne ogniska domowe. Sobie zatrzymałem względnie małą kwotę. Ale po... po tragedii potrzebowałem dużo pracy. Rzuciłem się w wir interesów. Kazałem sobie założyć telefon między sypialnią i biurem. Pracowałem niemal dzień i noc. Pomogło mi to w moim wielkim nieszczęściu i dawało poczucie, że — mimo kalectwa — jeszcze potrafię coś zdziałać. Rzuciłem się w wir wielkich interesów... — ton jego zmienił się, jakby mówił raczej do siebie niż do słuchaczy — i przez jakąś ironię losu udawało mi się po prostu wszystko. Najbardziej ryzykowne spekulacje kończyły się sukcesem. Cokolwiek zaryzykowałem, wszystko dawało dobre rezultaty. Czego się tknąłem; zamieniało się w złoto. W ten sposób opatrność chciała mi pewnie wynagrodzić moje straty.

Usta jego zacięły się z goryczą. Bruzdy na twarzy pogłębiły się.

Opanował się i uśmiechnął.

— Jak panowie zatem widzą, pieniądze zapisane Ruby były moją wyłączną własnością. Mogłem z nimi zrobić, co mi się żywnie podobało.

Melchett przyznał szybko:

— Niewątpliwie, panie Jefferson.

— Dobrze. Ale teraz ja chciałbym o coś zapytać, jeśli wolno. Pragnąłbym się dowiedzieć bliższych szczegółów o tym strasznym wypadku. Wiem tylko tyle, że znaleziono małą Ruby uduszoną w jakimś domu, odległym stąd o dwadzieścia mil.

— Tak jest. W Gossington Hall.

Jefferson zdumiał się.

— W Gossington? Ależ to...

— Dwór pułkownika Bantry'ego.

— Bantry! Artur Bantry! Znam go doskonale. Jego i jego żonę. Poznałem ich parę lat temu w czasie podróży. Nie wiedziałem, że oni tu mieszkają. Przecież to... — . Urwał.

Harper wtrącił mimochodem:

— Pułkownik Bantry był zeszłego wtorku na kolacji w „Majesticu”. Nie spotkał się pan z nim?

— We wtorek? Wtorek? Nie, wróciliśmy bardzo późno. Wybraliśmy się na całodzienną wycieczkę i jedliśmy kolację po drodze.

— Czy Ruby Keene nie wspomniała nigdy o pułkowniku?

Jefferson potrząsnął głową.

— Nie. Nie sądzę, żeby ich znała. Na pewno nie. Znała tylko artystów i ludzi z tej branży. — Zastanowił się chwilę, po czym zapytał nagle: — Cóż Bantry na to?

— Nie wie, jak to wytłumaczyć. Był wczoraj na zebraniu konserwatystów. Zwłoki od-

kryto dziś rano. Pułkownik Bantry twierdzi, że nigdy tej dziewczyny nie widział.

Jefferson kiwnął głową.

— Nieprawdopodobna historia.

Superintendent Harper odchrząknął:

— Czy nie ma pan jakichś podejrzeń, kto mógłby popełnić to morderstwo?

— Chciałbym je mieć! — Na skroni Jeffersona nabrzmiały żyły. — To po prostu niesłychane! Powiedziałbym, że coś podobnego nie może się zdarzyć — gdyby się nie wydarzyło!

— Czy Ruby miała może przyjaciela z okresu poprzedzającego znajomość z panem, który by ją śledził albo jej groził?

— Jestem pewny, że nie. Powiedziała mi o tym. Ruby nie miała rzeczywistego przyjaciela. Sama mi to powiedziała.

— Wierzę, że panu tak powiedziała!

Jefferson ciągnął dalej:

— Przede wszystkim, gdyby jej się ktoś odgrażał, wiedziała o tym Josie. Czy ona nie może dać jakichś wskazówek?

— Twierdzi, że nie wie o niczym.

Jefferson zmarszczył czoło.

— Mam po prostu wrażenie, że to czyn obłąkanego. Ta szczególna brutalność... i następnie to wdarcie się do dworu... To wszystko jakoś się nie wiąże i nie klei. Istnieje przecież taki rodzaj zbrodniarzy, zbrojeńców, którzy porywają dziewczęta — czasem nawet dzieci — i mordują je.

— Oczywiście — przyznał Harper. — Zdarzają się takie wypadki. Ale wiedzielibyśmy o tym, gdyby taki potwór grasował w okolicy.

— Myślałem już o wszystkich, których kiedykolwiek widziałem w towarzystwie Ruby. Goście z hotelu i goście spoza hotelu — ludzie, z którymi tańczyła. Wszyscy wydają mi się niewinni. Przeciętni ludzie. Z żadnym z nich nie była w bliższych stosunkach.

Twarz Harpera była nieprzenikniona. Ale pojawił się na niej niedostrzegalny dla Jeffersona cień wątpliwości. Mimo wszystko Ruby mogła mieć przyjaciela, choć Conway Jefferson o tym nie wiedział. Ale nie powiedział nic. Szef policji spojrzał na niego pytająco, po czym wstał.

— Bardzo dziękujemy, panie Jefferson. To wszystko, co chcieliśmy wiedzieć.

— Czy poinformują mnie panowie o dalszym przebiegu śledztwa?

— Naturalnie, pozostaniemy w kontakcie.

Opuścili pokój.

Jefferson oparł się w fotelu.

Powieki opadły na jasny błękit oczu. Wydawał się nagle bardzo zmęczony.

Po krótkiej chwili zawołał:

— Edwards!

Służący wszedł natychmiast z sąsiedniego pokoju. Edwards znał swego pana lepiej niż ktokolwiek inny. Nawet najbliżsi widzieli Jeffersona tylko w pełni sił. Edwards znał również chwile jego słabości. Znał zmęczenie, przygnębienie i zniechęcenie Jeffersona w chwilach, kiedy przygniatały go samotność i smutek.

— Słucham pana?

— Proszę zatelefonować do sir Henry'ego Clitheringa. Jest w Melborne Abbas. Niech przyjedzie jeszcze dzisiaj, jeśli to możliwe. Proszę powiedzieć, że sprawa bardzo pilna.

Rozdział siódmy

I

Zamknawszy za sobą drzwi pokoju pana Jeffersona, Harper stwierdził:

— Bądź co bądź posunęliśmy się o krok naprzód. Znaleźliśmy m o t y w.

— Hm. Pięćdziesiąt tysięcy funtów?

— Tak, sir. Popelniano morderstwa i dla mniejszych kwot.

— Tak, ale...

Melchett nie dokończył zdania. Harper go mimo to zrozumiał.

— Uważa pan, że w tym wypadku to niemożliwe? Ja właściwie też jestem tego zdania. Musimy to jednak uwzględnić.

— No, oczywiście.

Harper ciągnął dalej:

— Jeśli to prawda, co pan Jefferson mówi, że Gaskell i pani Jefferson są finansowo zabezpieczeni i mają zapewnione dochody — cóż, wtedy przypisywanie im brutalnego morderstwa jest pozbawione sensu.

— Zgadzam się z panem. Musimy wobec tego dokładnie poznać ich sytuację majątkową. Nie mogę powiedzieć, żeby ten Gaskell wywarł na mnie dobre wrażenie. Człowiek drapieżny, pozbawiony skrupułów, ale to jeszcze nie powód, żeby go uważać za mordercę.

— Naturalnie, sir, jak już powiedziałem, nie wydaje mi się, żeby byli zamieszani w tę sprawę. Po zeznaniach Josie nie widzę zresztą żadnej możliwości po temu. Gaskell i pani Jefferson grali w brydża i to właśnie między dziesiątą czterdzieści a północą. Nie, moim zdaniem wchodzi tu w grę coś innego...

— Przypuszcza pan, że Ruby Keene miała przyjaciela...

— Tak jest. Jakiegoś zazdrosnego, szalonego chłopca, może trochę niedorozwiniętego. Znajomość z okresu, zanim przyjechała do hotelu. Dowiedział się o projektowanej adopcji i stracił panowanie nad sobą. Zdawał sobie sprawę, że utraci Ruby, że

ona wejdzie do innej sfery towarzyskiej — i ogarnęła go rozpacz i wściekłość. Wieczorem nakłonił ją, aby wyszła na spotkanie z nim. Dochodzi do kłótni — on traci głowę — i w ten sposób doszło do morderstwa.

— A skąd się wzięła w bibliotece pułkownika?

— Sądzę, że i na to znajdziemy wytłumaczenie. Przypuśćmy, że zabrał ją swoim autem i że zamordował po drodze. Potem oprzytomniał, zobaczył, co się stało, i myślał przede wszystkim o tym, jak się pozbyć zwłok. Przypuśćmy, że stanęli właśnie przed parkiem dworu. Przychodzi mu pomysł do głowy: jeśli znajdą ją w tym dworze, wówczas na nim i na jego mieszkańcach skoncentruje się cała uwaga i zamieszanie, odsuwając podejrzenia od niego. Ona była mała i drobna. Udźwignął ją bez trudu. W samochodzie było dłuto. Wyłamał okno, wszedł do biblioteki i ułożył zwłoki przed kominem. Ponieważ została uduszona, w aucie nie ma śladów krwi, które mogłyby go zdradzić. Co pan o tym sądzi, sir?

— Oczywiście, to zupełnie możliwe. Brak tylko jednego: *cherchez l'homme!*

— Jak, proszę? Ach, tak — oczywiście!

Harper roześmiał się taktownie z żartu przełożonego, aczkolwiek wskutek nieprawdopodobnego akcentu francuskiego z trudem tylko zrozumiał sens jego słów.

II

— Ech... ach... proszę pana... czy m-m-mógłbym chwileczkę pomówić z panami? Zbliżał się ku nim Jerzy Bartlett.

Pułkownik Melchett, który nie żywił wielkiej sympatii dla pana Bartletta i nie mógł się doczekać wieści o tym, co też Slack zdołał, przeszukując pokój Ruby i przesłuchując pokojówki, burknął opryskliwie:

— Czego pan chce? Co się stało?

Bartlett aż się cofnął o parę kroków, otwierając i zamykając usta jak ryba na piasku.

— Tak... ech... pewno to nieważne... wie pan... ale pomyślałem sobie, że muszę to panu powiedzieć... i w ogóle. Nie mogę... ech... nie mogę znaleźć auta.

— Co pan chce przez to powiedzieć? Że pan nie może znaleźć swojego auta?

Harper zapytał:

— Czy pan przypuszcza, że je ktoś ukradł?

Wdzięczny za łagodniejsze odezwanie Bartlett zwrócił się do Harpera:

— Ano właśnie, wie pan. Nie wiadomo przecież... prawda? Mógł ktoś wsiąść i pojechać, tak sobie, po prostu, bez złych zamiarów... wie pan?

— Kiedy pan widział samochód po raz ostatni?

— Tak... już próbowałem sobie to przypomnieć. To zabawne, jak trudno sobie coś przypomnieć, prawda?

Melchett zauważył lodowatym tonem:

— Dla człowieka przeciętnie inteligentnego to chyba nie trudne. O ile pamiętam, wspomniał pan uprzednio, że samochód pański stał wczoraj wieczór na dziedzińcu hotelowym...

Mr Bartlett był na tyle śmiały, że przerwał szefowi policji:

— Ano właśnie... czy to prawda?

— Co to ma znaczyć? Pan nam wyraźnie powiedział, że tak było.

— No, tak... zdawało mi się... to znaczy, zdawało mi się... przypuszczałem, że tak jest, wie pan? To znaczy... ech... nie poszedłem sprawdzić, czy... czy wóz naprawdę tam stoi... i w ogóle... wie pan?

Melchett westchnął. Uzbroidł się w cierpliwość.

— Niech pan uważa. Zastanowimy się nad tym spokojnie i powoli. Kiedy pan widział po raz ostatni swój wóz — naprawdę widział? Co to zresztą za marka?

— Minoan 14.

— I widział go pan po raz ostatni — kiedy?

Grdyka Bartletta poruszała się niespokojnie.

— Próbowałem się nad tym zastanowić. Przed obiadem wyciągnąłem go z garażu. Chciałem się po południu trochę przejechać. Ale jakoś tak... wie pan, jak to bywa... zasnąłem. Po południu po herbacie grałem w tenisa... i w ogóle... a potem poszedłem na plażę.

— Samochód stał wówczas jeszcze na dziedzińcu?

— Prawdopodobnie. Tam go zostawiłem. Wie pan, myślałem, że może zabiorę kogoś na spacer. Po kolacji. Ale nie udało mi się tego wieczoru. Nie było kogo. I już nie pojechałem.

Harper zapytał:

— Ale pamięta pan, że samochód stał jeszcze na dziedzińcu?

— No tak. To znaczy... tam go zostawiłem... prawda?

— Czy zauważyłby pan, gdyby go tam już nie było?

Bartlett zaprzeczył.

— Chyba nie... wie pan. Dużo wozów zajeżdża i wyjeżdża nieustannie... i w ogóle. Prawie same minoany.

Harper skinął głową. Spojrzał właśnie przez okno. W tej chwili na dziedzińcu stało ni mniej, ni więcej tylko osiem minoanów 14. Była to modna, niedroga marka, bardzo wzięta w tym roku.

— Czy zazwyczaj stawia pan wóz na noc w garażu? — zapytał Melchett.

— Nie zajmuję się nim tak bardzo. Ładna pogoda... i w ogóle. Strasznie nudno pamiętać ciągle o samochodzie, wie pan?

Harper zwrócił się do Melchetta:

— Spotkamy się na górze, jeśli pan pozwoli. Zawołam tylko szybko sierżanta Higgin-
sa. Niech spisze szczegółowy protokół z Bartlettem.

— W porządku.

Bartlett mruczał, przejęty swoją ważnością:

— Wiedziałem, że trzeba panom o tym powiedzieć... prawda? Chciałbym przecież
pomóc... wie pan?

III

Pan Prestcott dawał Ruby Keene tylko wikt i mieszkanie. Jaki był wikt, nie wiadomo,
ale mieszkanie było nędzne.

Pokoje Józefiny Turner i Ruby Keene znajdowały się na samym końcu ponurego
i ciemnego korytarza. Były to małe pokoiki wychodzące na północ, z widokiem na ska-
ły wznoszące się zaraz za hotelem. Urządzenie składało się z wysortowanych zniszczo-
nych „okazów”, zdobiących pięćdziesiąt lat temu apartamenty gościnne. Po zmoderni-
zowaniu hotelu, kiedy wbudowano w sypialniach praktyczne szafy ścienne, niezgrabne
wiktoriańskie potwory z mahoni i orzecha stały w pokojach personelu i trzeciorzęd-
nych pokojach gościnnych, wynajmowanych tylko w pełni sezonu.

Melchett zauważył od razu, że położenie pokoju Ruby Keene sprzyjało niepostrze-
żonemu opuszczeniu hotelu. Utrudniało to oczywiście wyjaśnienie tajemniczego znik-
nięcia tancerki.

Na końcu korytarza wąskie schody prowadziły na dół do równie ponurej sieni. Tam
znajdowały się oszklone drzwi wiodące na mało używany boczny taras. Stamtąd było
wyjście na główny taras albo też można było przejść wąską ścieżką na łąkę i skalną dro-
żynę, bardzo zresztą niewygodną i dlatego mało uczęszczaną.

Inspektor Slack przesłuchiwał z zapałem pokojówki i przeszukał pokój Ruby. Miał
szczęście, że zastał pokój w takim stanie, w jakim opuściła go Ruby poprzedniego wie-
czoru.

Ruby Keene nie wstawała wcześniej. Slack ustalił, że spała zwykle do dziesiątej lub
wpół do jedenastej. Wtedy dopiero dzwoniła po śniadanie. Ponieważ Conway Jefferson
mówił wczesnym rankiem z dyrektorem hotelu, policji udało się zamknąć pokój, zanim
pokojówka posprzątała. Nikt z personelu nie był dzisiaj w tej części hotelu. Ponieważ
było po sezonie, otwierano i sprzątało pokoje na korytarzu tylko raz w tygodniu.

— Dobrze, dobrze — odpowiadał Slack mrukiwie. — Czyli gdyby coś było do zna-
lezenia, to niewątpliwie znaleźlibyśmy. Ale nie ma niczego takiego.

Policja z Glenshire zbadała już w pokoju wszystkie odciski palców, ale wszystkie były
wytłumaczone i nie podejrzane. Znaleźli odciski palców Ruby, Josie i dwóch pokojó-

wiek, które zmieniały się rano i wieczór.

Poza tym znaleziono jeszcze parę odcisków pozostawionych przez Raymonda, kiedy — jak wynikało z jego zeznań — przyszedł z Josie szukać partnerki na występ.

W ogromnych szufladach wielkiego biurka znaleziono listy i różne drobiazgi. Slack przeszukał wszystko starannie, ale nie znalazł niczego interesującego. Rachunki, pokwitowania, programy, bilety do kina, wycinki z gazet, miesięczniki, poradniki kosmetyczne. Wśród listów było kilka od niejkiej „Lil”, widocznie jakiejś koleżanki z „Palais de Danse”. Opisywała w nich różne plotki i drobne wydarzenia, zapewniała, że wszyscy ogromnie tęsknią za Ruby... *Pan Findeisen często pyta o ciebie. Bardzo nieszczęśliwy, że wyjechałaś. Odkąd cię nie ma, mały Fred przyczepił się do May. Barny dopytuje się czasem o ciebie. Poza tym nic ciekawego. Pan Grouser jest dla nas taki ordynarny jak zawsze. Wy rzucił Adę, ponieważ miała chłopca...*

Slack zanotował sumiennie podane nazwiska. Trzeba się dowiedzieć, może uzyskać się tą drogą jakieś cenne informacje. Melchett i Harper zgodzili się z nim. Ale na tym koniec.

Na środku pokoju leżała lekka różowa suknia, którą Ruby miała wczoraj wieczór na sobie. Różowe czółenka rzucono niedbale na podłogę. Obok nich leżały gazowe pończochy. W jednej pończosze puściło oczko. Melchett przypomniał sobie, że zamordowana miała gołe nogi. Jak Slack się dowiedział, było to jedno z przyzwyczajzeń Ruby: zamiast chodzić w pończochach, malowała nogi i lakierowała paznokcie. Tylko do tańca zakładała czasem pończochy. Drzwi szafy były otwarte. Wisiało w niej kilka tandetnych sukien wieczorowych i stało kilka par pantofelków. Ślady manikiuru, resztki waty powalane czerwonym lakierem i obcięte kawałki paznokci leżały w koszu na śmieci — a więc nic niezwykłego. Cały pokój świadczył wyraźnie o tym: Ruby Keene przybiegła, przebrała się i wybiegła znowu — ale dokąd?

Józefina Turner, która powinna była najlepiej znać życie Ruby i jej przyjaciół, zawiodła pokładane w niej nadzieje. Zdaniem inspektora Slacka było to zrozumiałe.

— Jeśli to prawda, co pan mówi — myślę o tej historii z adopcją — Josie na pewno uczyniłaby wszystko, aby nakłonić Ruby do zerwania ze starymi przyjaciółmi, którzy mogliby ją kompromitować. Jak słyszałem, to pan Jefferson rozplętywał się nad Ruby, widział w niej słodkie, dziecinne, kochane niewiniątko. Przypuśćmy, że Ruby miała przyjaciela — może nawet kogoś „z branży” — prawdopodobnie nie podobałoby się to starszemu panu. A więc trzeba było kryć się z tym. Josie rzeczywiście niewiele wie o swojej kuzynce i o jej znajomych. Ale na pewno nie chciałyby, aby Ruby, utrzymując stosunki z jakimś niepożądanym wielbicielem, straciła tak wielką szansę życiową. I tym stosunkom na pewno starała się przeszkodzić. A więc zupełnie zrozumiałe, że Ruby (moim zdaniem kuta na cztery nogi) trzymała język za zębami, spotykając się ze swoim starym amantem. Zwłaszcza Josie nie powiedziałyby o tym ani słowa, bo Josie pouczyłaby

ją zaraz: „Nie, dziewczyno, tak się nie robi!” Ale wie pan przecież, jakie te dziewczęta są — dla chłopca popełnią największe głupstwo. Ruby chce się zobaczyć ze swoim ukochanym. On przybywa, słyszy o starym Jeffersonie i o adopcji, dostaje szału i zabija ją.

— Zdaje mi się, że pan ma rację — zauważył Melchett, tłumiąc obrzydzenie, które ogarniało go zwykle, gdy wysłuchiwał brutalnych domysłów Slacka. — W tym wypadku nietrudno będzie ustalić tożsamość tego chłopca „z branży”.

— Niech pan polega na mnie, sir — prosił Slack, pewny siebie. — Ja sobie pogadam z tą „Lil” z „Palais de Danse”. Wydostanę z niej wszystko. Wkrótce dowiemy się prawdy.

Melchett zastanowił się, czy w istocie dowiedzą się wkrótce prawdy? Energia i animusz Slacka nużyły go zawsze.

— Jest tu jeszcze jedna osoba, która mogłaby może dać jakąś wskazówkę — ciągnął Slack dalej. — To ten trener tenisowy i fordanser. Zapewne przebywał bardzo dużo z tą małą i wie może o niej więcej niż Josie. Niewykluczone, że wobec niego puściła farbę i wygadała się z czymś.

— To też już rozważyliśmy z superintendentem Harperem.

— Dobrze, sir. Pokojówki przesłuchiwałem dokładnie! Nie wiedzą o niczym. Mam wrażenie, że pomiatają trochę tancerkami. W każdym razie nie zajmowały się nimi szczególnie. Jedna z nich była po raz ostatni w pokoju o siódmej wieczór, ścieląc łóżko na noc, zapuszczając story i tym podobne. Obok jest jeszcze łazienka. Czy chciałby ją pan zobaczyć?

Łazienka znajdowała się między pokojem Ruby a pokojem Józefiny. Melchett dziwił się w duchu ogromnej liczbie środków upiększających, których kobiety są w stanie używać. Po prostu szeregi słoików z kremem do twarzy, kremem do zmywania, kremem pod puder, kremem odżywczym! Pudełka z pudrami wszelkich odcieni. Sterta rozmaitych kredek do warg. Płyn do farbowania włosów, tusz do rzęs, ołówki do brwi i krem na powieki. Najmniej z dwanaście różnych flaszeczek z lakierem do paznokci, tamponiki waty, puszki do pudru, buteleczki z płynami do czyszczenia, odświeżenia i ściągania cery itd., itd.

Szef policji szepnął z przejęciem:

— Czy myśli pan, że kobiety rzeczywiście używają tego wszystkiego?

Wszystkowiedzący inspektor Slack objaśnił go:

— W życiu prywatnym, że tak powiem, kobieta używa dwóch dyskretnych odcieni pudru, jeden na wieczór, jeden na dzień. Przeważnie wie, w czym jej do twarzy, i trzyma się jednego gatunku. Ale te artystki muszą coraz to inaczej wyglądać. Mają występy taneczne. Jednego wieczoru tango, kiedy indziej walc biedermeierowski, to znów taniec apaszów albo po prostu rumba. Naturalnie, muszą się za każdym razem inaczej ucharakteryzować.

— Mój Boże! Nic dziwnego, że wytwórcy tych kremów i mikstur zbijają fortuny!

— Łatwo zarobione pieniądze, oczywiście, bardzo łatwo. Ale reklama też kosztuje.
Pułkownik Melchett oderwał się od odwiecznego, a zawsze fascynującego problemu sztuki upiększania się. Zwrócił się do Harpera, który właśnie wszedł:
— Został jeszcze fordanser. Weźmie go pan na rozmówkę?
— Tak jest, sir.
Schodząc na dół, Harper zapytał:
— Co pan myśli o tej historii Bartletta?
— Z samochodem? Myślę, że trzeba młodzieńca pilnować. Niejasna sprawa. Przypuścimy, że jednak zabrał wczoraj wieczór Ruby Keene na spacer?

IV

Superintendent Harper miał obojętne, spokojne, uprzejme i bardzo powściągliwe. Wypadki, kiedy policja dwóch hrabstw współpracowała ze sobą, były zwykle trudne. Harper cenił pułkownika Melchetta i uważał go za zdolnego szefa policji. Mimo to był zadowolony, że sam prowadzi przesłuchanie. Harper kierował się zasadą: nigdy za dużo na raz. Uważał, że za pierwszym razem trzeba zadawać pytania w sposób rzeczowy, niemal obojętny. Przesłuchiwany nabiera przez to zaufania, co z kolei skłania go do szczerych wypowiedzi podczas badania następnego.

Harper znał już Raymonda Starra z widzenia. Reprezentacyjna postać. Wysoki, smukły, zgrabny i uroczy, z bardzo białymi zębami i opaloną twarzą. Włosy miał ciemne, a ruchy pełne wdzięku. Zachowywał się grzecznie i uprzejmie i był bardzo lubiany przez hotelowych gości.

— Obawiam się, że niewielki pożytek będzie ze mnie, panie superintendencie. Oczywiście, znałem Ruby dosyć dobrze. Była u nas przeszło miesiąc. Uczyliśmy się razem naszych tańców. Ale, doprawdy, nie mogę o niej powiedzieć nic ciekawego. Była wcale miłą, ale przy tym dosyć głupią dziewczyną.

— Zależy nam bardzo na tym, aby dowiedzieć się czegoś o znajomościach panny Keene. O znajomościach... męskich.

— Wyobrażam sobie. Nic jednak nie wiem. Miała paru wielbicieli w hotelu, ale nic nadzwyczajnego. Ruby przedstawiała prawie wyłącznie z Jeffersonami.

— Tak, z Jeffersonami. — Harper urwał w zamyśleniu. Spojrzał podejrzliwie na Raymonda. — Co pan myśli o tej sprawie, panie Starr?

Raymond Starr zapytał chłodno:

— O jakiej sprawie?

— Czy wiedział pan, że pan Jefferson miał zamiar adoptować Ruby Keene? To było widać nowiną dla tancerza. Gwizdnął przeciągle, po czym zawołał:

— Co za chytra bestyjka! No cóż, nie ma to jak stary wariat!

— Tak się pan na to zapatruje?

— A jakżeż inaczej? Skoro starszy pan chciał już koniecznie kogoś zaadoptować, czemu nie wybrał sobie dziewczyny ze swojej sfery?

— Czy Ruby Keene nigdy o tym panu nie wspomniała?

— Nie, nigdy. Zauważyłem, że ostatnimi czasy była okropnie nadęta, ale nie wiedziałem, dlaczego.

— A Josie?

— Ach, Josie pewnie wiedziała, co się święci. Prawdopodobnie ona cały ten plan wymyśliła. Josie nie jest głupia. To rozgarnięta dziewczyna.

Harper skinął głową. Josie sprowadziła Ruby Keene. Josie niewątpliwie protegowała przyjaźń z Jeffersonami. Nic dziwnego, że się zdenerwowała, kiedy owego wieczoru Ruby nie zjawiła się na występ i stary Jefferson zaniepokoił się tym. Musiała się obawiać, że jej plany się rozbijają.

Superintendent zapytał:

— Czy sądzi pan, że Ruby Keene była w stanie zachować tajemnicę?

— Owszem — tak jak większość dziewcząt. Nie mówiła zbyt dużo o swoich sprawach.

— Czy wspomniała kiedykolwiek — cokolwiek — o jakimś przyjacielu z dawniejszych lat, który chciałby ją tu odwiedzić lub z którym miałyby jakieś przykrości? Pan zapewne rozumie, co mam na myśli.

— Rozumiem doskonale. Ale, o ile mi wiadomo, takiego przyjaciela nie było. W każdym razie nigdy nic takiego nie mówiła.

— Dziękuję panu. Proszę teraz jeszcze opowiedzieć swoje wrażenia z wczorajszego wieczoru.

— Dobrze. O godzinie dziesiątej trzydzieści odtańczyliśmy z Ruby nasz numer...

— Czy zauważył pan wówczas coś niezwykłego w jej zachowaniu?

Raymond zastanowił się chwilę.

— Nie. Co robiła potem, nie wiem. Musiałem dbać o moje klientki, mianowicie o te panie, z którymi miałem zatańczyć. Przypominam sobie tylko, że zauważyłem, iż Ruby nie ma na sali dansingowej. O dwunastej nie zjawiła się. Zirytowałem się i poszedłem do Josie. Josie grała w brydża z Jeffersonami. Nie miała pojęcia, gdzie Ruby może być. Odniosłem wrażenie, że się przestraszyła. Widziałem, jak ukradkiem spojrzała z lękiem na starego Jeffersona. Poprosiłem orkiestrę, żeby zagrali jeszcze jakiś taniec, a sam poszedłem do biura zatelefonować do Ruby. Nikt się nie zgłosił. Wróciłem do Josie. Wyraziła przypuszczenie, że Ruby może zasnąć w swoim pokoju. Oczywiście pomysł idiotyczny! Ale powiedziała tak tylko z powodu Jeffersonów. Wyszła ze mną i powiedziała, że pójdziemy razem na górę.

— Tak. I co powiedziała, kiedy zostaliście sami?

— O ile pamiętam, wyglądała na wściekłą i powiedziała: „Do diabła z tą wariatką. Nie wolno takich rzeczy robić. Zniweczy sobie wszystkie szanse. Czy wiesz, z kim może być?” Powiedziałem, że nie mam najmniejszego pojęcia. Ostatnio widziałem ją z młodym Bartlettem. Josie powiedziała: „Z nim na pewno nigdzie nie ruszyła. Gdzież ona może być? Chyba nie z tym filmowcem, co?”

Harper przerwał gwałtownie:

— Filmowcem? Kto to jest?

— Nie wiem, jak się nazywa. Nigdy tu nie mieszkał. Wygląda bardzo dziwnie: długie czarne włosy i taki teatralny w ubiorze. Ma coś wspólnego z filmem, o ile wiem, a przynajmniej Ruby tak mówiła. Był tu dwa, może trzy razy na kolacji, a potem tańczył z Ruby. Ale nie przypuszczam, żeby go bliżej znała. Powiedziałem, że nie widziałem go chyba dzisiaj. Na to Josie: „No z kimś musiała wyjść. Ale co ja powiem Jeffersonom?” Zapytałem, co to ich obchodzi? Ale Josie upierała się, że ich to bardzo obchodzi. Potem jeszcze powiedziała, że nigdy nie wybaczy Ruby, jeśli popsuka coś tym głupim wyskokiem.

— Weszliśmy do pokoju Ruby. Jej oczywiście nie było, ale musiała wyjść niedawno, bo suknia leżała na krześle. Josie zajrzała do szafy i powiedziała, że Ruby włożyła swoją starą białą suknię. Powinna była włożyć czarną aksamitną, gdyż mieliśmy zatańczyć hiszpański taniec. Teraz byłem już naprawdę wściekły, że mi zrobiła taki kawał. Josie robiła, co mogła, aby mnie uspokoić, i przyrzekła, że sama zatańczy, żeby stary Prestcott nie mógł mieć pretensji do nas. Przebrała się, zeszliśmy na dół i zatańczyliśmy tango — z lekka stylizowane, bardzo efektowne, ale nie meczące. Josie była okropnie rozgniewana, gdyż kostka bolała ją bardzo. Po tańcu prosiła mnie, żeby jej dopomóc w uspokojeniu Jeffersonów. Powiedziała, że to konieczne. Robiłem wobec tego, co mogłem.

Superintendent Harper skinął głową.

— Dziękuję. — A pomyślał sobie: „To było konieczne, nie można zaprzeczyć! Pięćdziesiąt tysięcy funtów!”

Odprowadził wzrokiem Raymonda, który oddalił się sprężystym krokiem. Schodząc z tarasu, zabrał po drodze siatkę z piłkami i rakieta. Pani Jefferson również z rakieta w ręku przyłączyła się do niego i oboje udali się na kort.

— Przepraszam pana! — Sierżant Higgins zjawił się bez tchu. — W tej chwili nadeszła dla pana wiadomość z komisariatu policji. Jacyś robotnicy donieśli, że widzieli dziś rano łunę. Pół godziny temu znaleziono w kamieniołomach wypalone auto. W kamieniołomie Venna — dwie mile stąd. W aucie znajdują się zwęglone zwłoki.

Rubaszna twarz Harpera poczerwieniała. Zawołał:

— Co się dzieje w Glenshire? Epidemia morderstw? Czy ma pan jeszcze jakieś tragedie na składzie? — Następnie zapytał: — Czy można jeszcze rozpoznać numer wozu?

— Nie, ale możemy go ustalić na podstawie numeru motoru. Wydaje się, że to mi-

noan 14.

Rozdział ósmy

Sir Henry Clithering szedł przez hol, nie rozglądając się prawie. Był pogrążony w myślach. Mimo to podświadomość jego notowała pewne spostrzeżenia, które zapadły w nią, aby wyłonić się znowu w odpowiednim czasie.

W windzie sir Henry zastanawiał się, czym się jego przyjaciel mógł tak zdenerwować. Conway Jefferson nie wzywał go dla błażej przyczyny. A więc musiało zajść coś niezwykłego.

Jefferson nie marnował czasu na zbyteczne frazesy. Powiedział tylko:

— Dziękuję ci, żeś przyjechał. Edwards, proszę panu przynieść coś do picia. Przepuszczam, że nic nie wiesz? Jeszcze gazety nie pisały o tym?

Sir Henry zaprzeczył. Jego ciekawość została rozbudzona.

— Co się stało?

— Morderstwo. Jestem w nie wmieszany, tak samo jak twoi przyjaciele, państwo Bantry.

— Artur i Dolly Bantry? — zdziwił się Clithering.

— Tak, trzeba ci wiedzieć, że zwłoki znaleziono w ich domu.

Krótko i zwięźle Jefferson opowiedział całe wydarzenie. Sir Henry słuchał nie przerywając. Obaj przywykli badać każdą sprawę do gruntu. Gdy służył jako komisarz policji w stolicy, sir Henry był znany ze swego bystrego oka, którym od razu dojrzał najistotniejsze momenty każdej sprawy.

— Bardzo niecodzienna historia — stwierdził, gdy przyjaciel skończył. — Jak myślisz, dlaczego pułkownikostwo są wplątani w tę aferę?

— To mnie właśnie martwi. Musiał na to wpłynąć sam fakt, że ich znam. To chyba jedyne wytłumaczenie ani Artur, ani Dolly nie znali tej dziewczyny. Tak zeznał — i nie można wątpić, że tak jest. W ogóle jest nieprawdopodobne, żeby kiedykolwiek widzieli Ruby. Moim zdaniem niewykluczone, że zwłoki dziewczyny podrzuciono umyślnie w domu zaprzyjaźnionej ze mną rodziny.

— Wydaje mi się to nieprawdopodobne — zauważył Clithering.

— Ale możliwe — upierał się Jefferson.

— Możliwe, tak, ale mało prawdopodobne. Ale czego chcesz ode mnie?

Jefferson objaśnił z goryczą:

— Jestem kaleką. To fakt, którego zazwyczaj nie dostrzegam. Tym razem jednak nie uda mi się ta gra w ciuciubabkę. Nie mogę się poruszać, tak jakby chciałem, wypytywać ludzi, śledzić. Skazany jestem na fotel na kółkach i muszę być wdzięczny, jeśli policja rzuci mi łaskawie parę okruchów informacji. Czy znasz przypadkiem pułkownika Melchetta, szefa policji w Radfordshire?

— Owszem, spotkałem go niedawno.

W podświadomości Clitheringa coś się zaczęło zarysowywać. Jakaś twarz, jakaś postać, zauważona mimochodem w holu: wyprostowana starsza pani o znajomych rysach. Dziwnym sposobem przypominała mu ona ostatnie spotkanie z Melchettem...

Odezwał się:

— Czy chcesz może, żebym się zabawił w detektywa amatora? To nie dla mnie.

— Ale ty nie jesteś amatorem. W tym rzecz.

— Porzuciłem już swój zawód. Wiesz, że się wycofałem.

— To sprawę tylko upraszcza — odparł Jefferson.

— Uważasz, że będąc w Scotland Yardzie, nie mógłbym się zajmować tą sprawą? To racja.

— Tak jak rzeczy stoją, jesteś dzięki swojemu stanowisku i doświadczeniu całkowicie uprawniony do zajęcia się sprawą. Każda forma twojej współpracy jest pożądana.

— Przyznaję, że pod względem formalnym nie ma żadnych przeszkód. Ale czego ty naprawdę chcesz? Chcesz znaleźć mordercę?

— Tak jest.

— A sam nie masz pojęcia, kto to może być?

— Najmniejszego.

Sir Henry wycedził powoli:

— Prawdopodobnie mi nie uwierzysz. Ale w holu na dole siedzi w tej chwili osoba, która po mistrzowsku umie wyjaśniać tajemnice. Ktoś, kto jest zdolniejszy niż ja i kto według wszelkiego prawdopodobieństwa zna też pewne różne lokalne szczegóły tej sprawy.

— O kim mówisz?

— W holu siedzi stara panna o uroczej, łagodnej twarzy, jej rozum zna wszystkie tajniki duszy ludzkiej i przyjmuje je jako rzecz codzienną. Osoba ta nazywa się panna Marple. Mieszka we wsi St. Mary Mead, półtorej mili od Gossington. Przyjaciółka pani Bantry. Gdy idzie o wykrywanie zbrodni, dokazuje cudów!

Jefferson patrzył na przyjaciela, marszcząc posępnie czoło. Odezwał się ze złością:

— Żartujesz?

— Nie, nie żartuję. Wspomniałeś Melchetta. Po raz ostatni spotkałem go z okazji małej tragedii we wsi. Jakaś dziewczyna utonęła w stawie, jak powszechnie sądzono. Policja podejrzewała słusznie, że to nie samobójstwo, lecz morderstwo. Sprawca wydawał się nietrudny do wykrycia. Wtedy stara panna Marple roztrzęsiona ze strachu przyszła do mnie. Powiedziała, że boi się, iż powieszą niewinnego. Nie posiada dowodów, ale wie, kto popełnił morderstwo. I miała rację!

Jefferson jeszcze spochmurniał. Mruknął z niedowierzaniem:

— Prawdopodobnie intuicja niewieścia.

— Nie, ona to nazwała inaczej. Określiła to jako wiedzę specjalną.

— Co to znaczy?

— Widzisz, istnieje pewien system, którym posługuje się również policja. Na przykład w razie włamania, wiemy przeważnie, kto go mógł dokonać. Oczywiście, jeśli idzie o włamanie nieskomplikowane. Znamy typy włamywaczy i metody, używane przez każdego z osobna. To daje nam decydujące wskazówki. Panna Marple natomiast posługuje się ciekawymi, choć czasem pospolitymi analogiami z życia wsi. Ma na składzie olbrzymi materiał obserwacyjny. Porównuje różne reakcje i w ten sposób nieraz wpada na właściwy ślad.

Jefferson zauważył sceptycznie:

— Cóż ona może wiedzieć o dziewczynie, wychowanej wśród artystów, która prawdopodobnie nigdy w życiu nie widziała wsi?

— Może jednak mieć jakieś pomysły — upierał się sir Henry.

Panna Marple zarumieniła się z radości, gdy sir Henry zbliżył się do niej.

— O, sir Henry! Co za szczęśliwy zbieg okoliczności, że się spotykamy!

Sir Henry oświadczył z galanterią:

— Cała przyjemność po mojej stronie.

Panna Marple, zarumieniona jak podłotek, szepnęła:

— Jaki pan miły...

— Czy pani tu mieszka?

— Tak, przyjechałyśmy dzisiaj?

— Przyjechałyśmy?

— Tak, pani Bantry też przyjechała. — Spojrzała na niego bystro. — Czy pan już wie? Widzę po pańskiej minie, że tak. Straszne, prawda?

— A cóż Dolly tu robi? Czy jej mąż także przyjechał?

— Nie. Zareagowali w zupełnie odmienny sposób na owo nieszczęście. Gdy się coś nieprzyjemnego wydarzy, biedny pułkownik zamyka się w swoim gabinecie albo zaszywa na folwarku. Jak żółw wciąga głowę, ufając, że go nikt nie widzi. Dolly jest oczywiście inna. Całkiem inna.

— Wierzę! — zawołał sir Henry, znający dobrze swoich starych przyjaciół. — Rozkoszuje się po prostu tym wydarzeniem, prawda?

— No, po trochu tak. Biedaczka.

— A pani musiała przyjechać z nią, ażeby wyczarować dla niej króliki z pustego kapelusza, tak?

Panna Marple wyjaśniła spokojnie:

— Dolly uznała zmianę otoczenia za konieczną, a nie chciała jechać sama. — Oczy ich zetknęły się. Panna Marple mrugnęła na Clitheringa. — Zresztą jest coś z prawdy w tym, co pan powiedział. To mnie trochę zawstydzia, ponieważ nic mi nie przychodzi do głowy.

— Nie ma pani „pomysłów”? Nie zna pani analogicznego wypadku z życia wsi?

— Bardzo mało jeszcze wiem o sprawie.

— Zaraz temu zaradzę. Chodźmy na naradę wojenną.

Opisał jej pokrótce zdarzenie. Panna Marple słuchała go z żywym zainteresowaniem.

— Biedny pan Jefferson — orzekła. — Co za smutne życie! Taka straszna tragedia. Fakt, że sam został przy życiu, w dodatku jako kaleka, wydaje mi się okrutniejszy, niż gdyby wówczas także zginął.

— Tak, ma pani słuszność. Dlatego też przyjaciele podziwiają dzielność, z jaką dźwiga swoje przeznaczenie walcząc z bólem, smutkiem i fizycznym niedołęstwem.

— Tak, to nadzwyczajne.

— Jedyne, czego nie mogę zrozumieć, to tej nagłej sympatii do podrzędnej tancerki. Może, oczywiście, posiadała jakieś niezwykle zalety.

— Nie przypuszczam — odparła panna Marple spokojnie.

— Co pani powiedziała?

— Nie przypuszczam, żeby jej zalety odegrały w tym wypadku jakąś rolę.

Sir Henry spojrział na nią w zamyśleniu.

— Jefferson nie jest starym rozpustnikiem.

— Ależ nie, skądże znowu! — Panna Marple zmieszała się. — Nie o tym myślałam. Źle się po prostu wyraziłam. Chciałam tylko powiedzieć, że Jeffersonowi potrzeba było miłej, pogodnej dziewczyny, która zajęłaby miejsce jego zmarłej córki. A Ruby Keene orientowała się, co na tym może zyskać, i odgrywała swoją rolę, jak umiała! To brzmi może trochę oschle, wiem o tym, ale często widywałam takie wypadki. Na przykład taka młoda służąca u pana Harbottle'a. Bardzo prosta dziewczyna, ale sympatyczna i grzeczna. Wezwano siostrę Harbottle'a do umierającego krewnego. Gdy wróciła, zastała służącą wyzywającą i rozzuchwaloną. Siedziała w bawialni, roześmiana, bez czepka i bez fartuszka. Panna Harbottle zganiła ją surowo, ale dziewczyna odpowiedziała jej bezczelnie. Wkrótce stary Harbottle oznajmił siostrze, że jego zdaniem dosyć

długo prowadziła mu dom i że ma teraz zamiar urządzić się inaczej. Jakby w nią grom uderzył.

— Co za skandal na całą wieś. Ale biedna panna Harbottle musiała opuścić dom brata i mieszka obecnie bardzo niewygodnie w umeblowanym pokoju w Eastbourne. Ludzie różnie mówili. Ale ja nie przypuszczam, żeby pan Harbottle utrzymywał jakieś bliższe stosunki z tą dziewczyną. Po prostu starszemu człowiekowi było o wiele przyjemniej przebywać z młodą, wesołą istotą, która mu ciągle powtarzała, jaki on jest mądry i sympatyczny, aniżeli z siostrą, wytykającą mu stale jego wady — choćby była nie wiem jak dobrą i oszczędną gospodynią.

Nastąpiła chwila milczenia. Panna Marple podjęła znowu:

— A potem była jeszcze taka historia z panem Badgerem, właścicielem drogerii. Szalał na punkcie młodej osoby, prowadzącej dział kosmetyków. Zapowiedział żonie, że będą ją uważali za swoją córkę, i przyjmą ją do domu. Pani Badger była innego zdania.

— Żeby choć była dziewczyną z jego własnej sfery, na przykład córką przyjaciela... — wtrącił sir Henry.

Miss Marple przerwała mu:

— O, to by go bynajmniej nie zadowoliło. To tak jak w bajce o królu i żebracze. Jeśli ktoś jest rzeczywiście samotnym, zmęczonym starcem, zaniedbanym z lekka przez własną rodzinę, wówczas... Zatrzymała się na chwilę. — Cóż, o wiele przyjemniej uszczęśliwić kogoś, kogo ta wspaniałomyślność oszołomi — wyrażam się trochę przesadnie, ale mam nadzieję, że pan mnie rozumie. Człowiek czuje się taki ważny — jak szczodry monarcha! Biedny jest wniebowzięty, a to dla ofiarodawcy zawsze miłe uczucie.

Po przerwie ciągnęła dalej:

— Badger, o którym wspomniałam, kupował dziewczynie zaiste bajkowe prezenty. Bransoletkę wysadzaną brylantami i bardzo drogie radio. W tym celu sięgnął po swoje oszczędności. Cóż, pani Badger była bardziej przebiegła od biednej panny Harbottle (małżeństwo kształci!). Nie żałowała trudu, aby zebrać różne informacje. Gdy pan Badger dowiedział się, że pupilka jego zadaje się z bardzo podejrzanym młodzieńcem, spędzającym czas na torze wyścigowym, że od razu zastawiła bransoletkę, a żeby przyjacielowi dać pieniądze — ogarnęło go zniechęcenie i cała sprawa zlikwidowała się sama. Na następne święta podarował pierścionek z brylantem swojej żonie.

Ładne, mądre oczy panny Marple zetknęły się ze wzrokiem Clitheringa. Zastanawiał się, czy nie ma w jej słowach szukać jakichś wytycznych.

— Czy chce pani powiedzieć, że stosunek mego przyjaciela do Ruby Keene zmieniłby się, gdyby jakiś młodzieniec zjawił się w jej życiu?

— Myślę, że tak. Przez rok czy dwa lata pan Jefferson pragnąłby ją wydać za mąż według własnego uznania. Jeszcze prawdopodobniej wolałby ją zatrzymać przy sobie niezamężną. Mężczyźni są przeważnie egoistami. Ale jestem przekonana, że jeśli Ruby Ke-

ene miała przyjaciela, niewątpliwie kryła się z tym.

— I to nie spodobałoby się młodemu człowiekowi?

— To byłoby najprostsze wytłumaczenie. Uderzyło mnie, że jej kuzynka, która była dzisiaj rano w Gossington, była wyraźnie wściekła na Ruby. Po tym, co mi pan powiedział, rozumiem mniej więcej, dlaczego. Niewątpliwie cieszyła się już, że skorzysta na tej adopcji.

— To dość wyrachowana osoba, prawda?

— To może za ostre powiedzenie. Biedaczka ciężko pracuje. Nie można wymagać od niej sentymentów tylko dlatego, że dwoje zamożnych ludzi — za jakich uchodzą Gaskell i pani Jefferson — traci dużą kwotę pieniędzy, do której nie mają najmniejszych praw moralnych. Uważam pannę Turner za osobę upartą, ambitną, przy tym niezłośliwą, obdarzoną tym, co się nazywa *joie de vivre*. Przypomina z lekka Jessie Golden, córkę piekarza — dodała panna Marple.

— Któż to taki?

— Była wychowawczynią dzieci i wyszła za mąż za syna właściciela domu, który przyjechał właśnie w tym czasie na urlop. Zajmuje ładne stanowisko w Indiach. Na pewno jest dobrą żoną.

Sir Henry pominął milczeniem tę nieciekawą, odbiegającą od tematu historię i powrócił znowu do rzeczy.

— Czy pani zdaniem istnieje jakaś przyczyna, dla której przyjaciel mój okazał nagle ów „kompleks króla i żebraczki”?

— Myślę, że tak.

— A mianowicie?

Panna Marple ociągała się.

— Niewykluczone — to oczywiście tylko przypuszczenie — że jego zięć i synowa chcą zawrzeć nowe węzły małżeńskie.

— Nie mógłby się temu chyba sprzeciwić?

— Oczywiście, że nie — na pewno by się nie sprzeciwił! Ale niech pan spojrzy na tę sprawę z jego punktu widzenia. Przeżył razem z nimi okropny wstrząs, ogromną stratę. Ta osierocona trójka żyje obecnie razem, a łączy ich ból po stracie ukochanych osób. Ale — jak moja matka zawsze mawiała — czas leczy wszystkie rany. Pan Gaskell i pani Jefferson są młodzi. Nie zdając sobie sprawy z tego, zaczęli się buntować i szarpać łańcuchem, przykuwającym ich do minionych smutków. Wskutek tego mogło się łatwo zdarzyć, że starszy pan odczuł nagle ochłodzenie serdeczności i przywiązania swoich przybranych dzieci, nie widząc przyczyny po temu. To przeważnie tak bywa. Mężczyźni tak szybko czują się opuszczeni. Pan Harbottle czuł się skrzywdzony, ponieważ jego siostra wyjechała do krewnych. A pani Badger zajmowała się spirytyzmem i chodziła stale na seanse.

— Muszę przyznać — oświadczył sir Henry zgnębiony — że sposób, w jaki pani sądzi wszystkich wedle jednego kopyta, jest dość przykry.

Panna Marple potrząsnęła głową ze smutkiem.

— Ludzie są wszędzie tacy sami.

Henry Clithering zawołał ze złością:

— Pan Harbottle! Pan Badger! I biedny Conway! Nie chcę być złośliwym, ale czy pani znalazła może również i dla mnie jakiegoś sobowtóra na wsi?

— Ależ naturalnie! Briggs.

— Kto to taki?

— Był pierwszym ogrodnikiem w Old Hall. Najlepszym, jakiego kiedykolwiek mieli. Zawsze wiedział, który z pomocników ogrodniczych w parku pracuje niedbale — to było po prostu niesłychane! Obywał się trzema ludźmi i jednym chłopcem i park był lepiej utrzymany niż później przy sześciu pomocnikach. Uzyskał kilka pierwszych nagród za groszek pachnący swojego chowu. Teraz się wycofał z roboty.

— Tak jak ja.

— Ale niekiedy przyjmuje jeszcze okazijną robotę, jeśli czuje sympatię dla pracodawców.

— O, znowu tak jak ja! Właśnie to robię w tej chwili, aby dopomóc staremu przyjacielowi.

— Dwóm starym przyjaciółom.

— Dwóm...? — zdziwił się sir Henry.

— Pan mówi prawdopodobnie o panu Jeffersonie — wyjaśniła panna Marple. — Ale ja nie o nim myślałam, tylko o pułkowniku Bantrym i jego żonie.

— Ach, tak, rozumiem... — zapytał nagle: — Czy pani dlatego na wstępie naszej rozmowy nazwała Dolly Bantry „biedaczką”?

— Tak. Ona jeszcze nie zdaje sobie sprawy z sytuacji. Ale ja już ją rozumiem, gdyż mam większe doświadczenie od niej. Widzi pan, bardzo możliwe, że tę zbrodnię trzeba będzie zaliczyć do zbrodni nigdy nie wyjaśnionych. Byłoby to wprost katastrofą dla pułkownika i jego żony. Pułkownik, jak zresztą prawie wszyscy wojskowi na emeryturze, jest chorobliwie przeczulony. Zależy mu bardzo na opinii publicznej. Jakiś czas niczego nie zauważy. Ale potem się zacznie. Tu jakieś chłodne słówko, tam niechętnie spojrzenie, na zaproszenia przyjdą odmowne odpowiedzi... Powoli zorientuje się w sytuacji i zrozpaczony wycofa się z życia towarzyskiego.

— Jeżeli dobrze rozumiem, to chce pani powiedzieć, że ludzie będą go posądzać, iż miał coś wspólnego ze zwłokami znalezionymi w jego bibliotece?

— Oczywiście! Nie wątpię, że tak mówią. Ten stan się pogorszy. Ludzie będą się do nich odnosić chłodno i będą ich unikać. Dlatego trzeba koniecznie wydobyć na jaw prawdę i dlatego zgodziłam się towarzyszyć Dolly. Co innego jawne oskarżenie. Nie-

trudno staremu żołnierzowi uporać się z nim. Może się oburzyć, może walczyć. Ale takie ukryte szeptki złamią go — złamią oboje. Jak pan zatem widzi, musimy wydobyć prawdę.

— Czy nie orientuje się pani, dlaczego zwłoki podrzucono właśnie w ich domu? Musi być jakieś wytłumaczenie na to.

— Ach, naturalnie.

— Tancerkę widziano po raz ostatni mniej dwadzieścia minut przed jedenastą. O północy żyła według orzeczenia lekarskiego. Do Gossington jest stąd około osiemnastu mil. Szesnaście mil dobrej drogi, a potem dwie mile główną szosą. Silny wóz pokona tę odległość w niecałe pół godziny. Słabszy nie potrzebuje więcej niż trzydzieści pięć minut. Ale dlaczego zabił ją ktoś tutaj i zawiózł zwłoki do Gossington — czy też zawiózł ją do Gossington i tam udusił — tego nie wiem.

— Nie może pan tego wiedzieć, ponieważ tak nie było.

— Sądzi pani zatem, że została zamordowana przez jakiegoś amanta, który zabrał ją autem, a następnie porzucił w pierwszym z brzegu mijanym domu?

— Nie, nic podobnego. Myślę, że wszystko ułożono dokładnie według z góry obmyślonego planu. Cała rzecz w tym, że plan się nie udał.

Sir Henry patrzył na nią ze zdumieniem.

— Jak to, plan się nie udał?

— Zdarzają się takie rzeczy — wyjaśniła panna Marple tonem niemal przepraszającym. — Gdybym powiedziała, że plan się nie udał z powodu, że dusza ludzka ma więcej tajemniczych, wrażliwych i nieobliczalnych zakamarków, niż się przypuszcza, brzmiałoby to pewnie bardzo nielogicznie, prawda! Ale takie jest moje zdanie i... — Urwała. — Właśnie nadchodzi pani Bantry.

Rozdział dziewiąty

Pani Bantry w towarzystwie Adelajdy Jefferson podeszła do Clitheringa.

— To pan?

— Tak, ja we własnej osobie. — Uścisnął jej dłoń serdecznie. — Nie potrafię pani powiedzieć, jak mi przykro.

— Artur został w domu — mówiła pani Bantry. — On się bardzo przejął. Przyjechaliśmy z panną Marple, aby zabawić się w detektywów. Czy pan zna panią Jefferson?

— Ależ oczywiście.

Przywitali się. Adelajda zapytała:

— Widział się pan już z moim teściem?

— Tak jest.

— To dobrze. Boimy się bardzo o niego. To był straszny cios.

Pani Bantry zaproponowała:

— Chodźmy na taras, tam napijemy się czegoś i omówimy wszystko.

Udali się na taras, gdzie spotkali na najdalszym krańcu Marka Gaskella.

Gdy zamienili kilka obojętnych zdań i zamówili napoje, pani Bantry zaczęła z właściwym sobie ferworem omawiać temat leżący wszystkim na sercu.

— Możemy chyba mówić o tym, prawda? Jesteśmy starymi przyjaciółmi — z wyjątkiem panny Marple, która zna się doskonale na zbrodniach. Chce nam dopomóc.

Mark Gaskell spojrział z niechęcią na pannę Marple. Zapytał niepewnym głosem:

— Czy pani... czy pani pisuje może powieści kryminalne? — Wiedział, że powieści kryminalne pisują czasem osoby, których by nikt o to nie posądził. Panna Marple w staroświeckiej sukni mogła być właśnie pisarką.

— O nie! Nie mam na tyle talentu.

— Ona jest nadzwyczajna — przerwała pani Bantry niecierpliwie. — Nie mam teraz czasu na objaśnianie was, ale jest naprawdę nadzwyczajna! Proszę pani, jaka ona właściwie była?

— Cóż... — Adelajda urwała, patrząc na Marka. Z uśmiechem zwróciła się do pani

Bantry: — Pani tak bez ogródek...

— Czy wydawała się pani sympatyczna?

— Nie, jasne, że nie.

— A jaka była naprawdę? — Dolly Bantry przeniosła teraz śledztwo na Gaskella. Gaskell zastanowił się.

— Była najzwyczajszą „poszukiwaczką złota”. I znała się na swoim rzemiośle. Wcale zręcznie usidliła Jeffa.

Nazywali teścia Jeffem.

Sir Henry spojrzął z naganą na Gaskella, myśląc: „Niedyskretny chłopak. Nie powinien tak mówić”.

Nigdy nie podobał mu się charakter Marka Gaskella. Gaskell był miły... ale nie wzbudzał zaufania. „Mówił za dużo, nieraz przesadzał — właściwie nie można było polegać na nim” — myślał sir Henry. Czasem zastanawiał się, czy Jeff podziela jego zdanie.

— Czy nie mogliście temu przeciwdziałać? — zapytała pani Bantry.

— Może i mogliśmy — odparł Mark oschle — gdybyśmy się w porę zorientowali. — Spojrzał na szwagierkę, która zarumieniła się lekko. Spojrzenie było pełne wyrzutu.

— Mark uważa — wyjaśniła — że powinnam to była przewidzieć.

— Zaniedbałaś go, Addie, lekcje tenisa i to, i owo.

— Musiałam przecież mieć trochę ruchu — broniła się.

— No tak. Nikomu by to przez myśl nie przeszło. Jeff był zawsze tak rozsądny.

Panna Marple zabrała głos.

— Mężczyźni — odezwała się takim tonem, jak gdyby chodziło o stado dzikich zwierząt — przeważnie myślą nie tak rozsądnie, jak się wydaje.

— Ma pani rację — przyznał Mark. — Niestety, nie wzięliśmy tego pod uwagę. Zastanawialiśmy się, co też on widzi w tej przebiegłej i tandetnej piękności. Myśleliśmy, że jest naiwna! Ona i naiwna! Żałuję, że to nie ja skrzyłem jej kark!

— Marku — odezwała się Addie — musisz się naprawdę trochę zastanowić nad tym, co mówisz.

Uśmiechnął się do niej przepaszająco.

— Tak, masz rację. Ludzie gotowi pomyśleć, że jej naprawdę kark skrzyłem. No trudno, tak czy owak, jestem pewnie podejrzany. Jeśli komuś mogło zależeć na śmierci tej osoby, to tylko mnie i tobie.

— Marku — zawołała Addie na wpół ze śmiechem, na wpół z gniewem — doprawdy nie mów tak!

— Dobrze, już dobrze — zgodził się Gaskell — ale lubię mówić tak, jak myślę. Nasz szanowny teść chciał tej ordynarnej małej — nie powiem jakiej — zapisać pięćdziesiąt tysięcy funtów.

— Marku, przestań — ona nie żyje.

— Tak, nie żyje, biedactwo. Ostatecznie, czemu nie miała wyzyskać tego, co jej natura dała? „Kimże jestem, iżby mi wolno było sądzić?” Sam popełniłem niejedno świństwo w życiu. Nie, nie, przyznajmy, że Ruby miała prawo być wyrachowaną, chciwą i przebiegłą. A my byliśmy matolkami, że nie zauważyliśmy tego wcześniej.

— Co pan powiedział, gdy Conway zawiadomił pana o zamiarze zaadoptowania jej?

Mark wzruszył ramionami.

— Cóż mogliśmy powiedzieć? Addie, osoba zawsze wytworna, okazała zdumiewająco opanowanie. Zniosła to dzielnie. Robiłem, co mogłem, aby nadażyć za jej przykładem.

— No, ja zrobiłabym straszną awanturę! — wykrzyknęła pani Bantry.

— Prawdę powiedziawszy, nie mieliśmy najmniejszego prawa do robienia awantury. To były pieniądze Jeffa. Nie jesteśmy z nim spokrewnieni. I tak był zawsze bardzo dobry dla nas. Nie pozostało nam nic innego, jak pogodzić się z losem. — W zamyśleniu dodał: — Ale nie kochaliśmy Ruby zbyt mocno.

Adelajda dorzuciła:

— Żeby była choć trochę inna. Jeff ma dwóch chrześniaków. Gdyby wybrał jednego z nich, byłoby to zrozumiałe. — Z odcieniem urazy dodała: — A zdawało się, że tak lubi Piotra.

— Wiedziałam oczywiście, że Piotr jest synem twojego pierwszego męża, ale nie pamiętałam o tym — przemówiła pani Bantry. — Dla mnie był zawsze wnukiem Jeffa.

— Dla mnie też — przyznała Adelajda. Głos jej miał w tej chwili taki dźwięk, że pani Marple odwróciła się na krześle, aby spojrzeć na młodą kobietę.

— Wszystkiemu winna Josie — uznał Mark. — Josie ją sprowadziła.

— Ale nie przypuszczasz chyba, że zrobiła to z r o z m y s ł e m ! — zapytała Adelajda.
— Prawda, Marku? Zawsze tak lubiłeś Josie.

— Owszem, lubiłem ją! Uważałem ją za dobrego towarzysza.

— Czysty przypadek, że sprowadziła tę małą.

— Josie jest niegłupią dziewczyną, moja droga.

— Tak, ale przecież nie mogła przewidzieć...

— Oczywiście, że nie mogła. Przyznaje. Toteż nie twierdze, żeby sobie wymyśliła cały ten plan, aby usidlić starszego pana przy pomocy Ruby. Ale nie wątpię, że zorientowała się dawno, co się święci, zanim my zauważyliśmy cokolwiek, i nie ostrzegła nas ani słówkiem.

Adelajda westchnęła.

— Z tego też nie można jej czynić zarzutu.

— Nikomu nie można niczego zarzucić.

— Czy Ruby Keene była ładna? — zapytała pani Bantry.

Mark spojrział na nią pytająco.

— Myślałem, że ją pani...

Pani Bantry odparła szybko:

— Owszem, widziałam zwłoki. Ale uduszono ją przecież i wtedy nie widać...

— Wzdrygnęła się.

Mark cedził z namysłem:

— Moim zdaniem w ogóle nie była ładna. Bez makijażu byłaby prawie brzydka. Chuda, drobna twarz, o wiele za krótka broda, maleńkie, krzywe, mysie ząbki, nos nieokreślony...

— Ależ to brzmi odrażająco! — zdziwiła się pani Bantry.

— Nie, odrażająca nie była. Jak już powiedziałem, gdy się odpowiednio umalowała, wyglądała wcale nie najgorzej. Prawda, Addie?

— Owszem, taka biało-różowa uroda z reklam mydła toaletowego.

— O niewinnym spojrzeniu. Rzęsy czerniła tuszem, aby spotęgować jeszcze błękit oczu. Włosy, oczywiście, rozjaśniała. Gdy się tak zastanawiam, to w kolorycie — był to co prawda koloryt sztuczny — ale bądź co bądź kolorytem przypominała moją żonę Rosamundę. Myślę, że przede wszystkim dzięki temu zwróciła na siebie uwagę starszego pana.

Westchnął.

— Tak, tak, okropna historia. Najgorsze to, że Addie i ja nie możemy się zaprzeć uczucia ulgi z powodu jej śmierci... — Nie dopuścił do sprzeciwu szwagierki. — Szkoda twoich słów, Addie, wiem, co czujesz. Ja czuję to samo. I nie chcę udawać. Ale równocześnie — rozumieją mnie, państwo, chyba — boleję nad tą sprawą z powodu starszego pana. To był prawdziwy cios dla niego. Ja...

Mark urwał i wpatrzył się w drzwi wiodące z holu na taras.

— Widzisz, kto idzie? Addie, czy ty masz sumienie?

Pani Jefferson spojrzała przez ramię, po czym krzyknęła lekko i wstała zarumieniona. Szybko przeszła przez taras i zatrzymała się przy wysokim człowieku w średnim wieku, który rozglądał się zmieszany po tarasie.

Pani Bantry zapytała:

— Czy to nie Hugo McLean?

Gaskell przytaknął:

— Tak jest.

— Bardzo wierny, prawda? — szepnęła pani Bantry.

— Oddany Addie jak pies. Wystarczy, że kiwnie palcem, a Hugo przybiegnie choćby z drugiego końca świata. Ciągłe nie traci nadziei, że Addie wyjdzie kiedyś za niego. I mam wrażenie, że w końcu naprawdę wyjdzie za niego.

Panna Marple przyglądała się rozpromieniona.

— Rozumiem! Romans!

— I to w dodatku całkiem staroświecki — zapewnił Mark. — To się ciągnie od lat. Addie jest już taka. Przypuszczalnie telefonowała dziś rano po niego. Ale nic mi o tym nie wspomniała.

Edwards ukazał się na tarasie. Zatrzymał się przy Marku.

— Przepraszam, pan Jefferson prosi pana.

— W tej chwili. — Mark zerwał się. Skinął głową zebrany, mówiąc: — Do widzenia tymczasem! — i wyszedł.

Sir Henry przechylił się ku panie Marple:

— No i co pani sądzi o nich? Oni dzięki zbrodni dużo zyskali.

Panna Marple przyglądała się w zamyśleniu Adelajdzie rozmawiającej ze starym przyjacielem.

— Myślę, że jest bardzo czułą matką.

— To prawda — przyznała pani Bantry. — Ubóstwia małego Piotra.

— Należy do tych kobiet — mówiła panna Marple dalej — które są lubiane przez wszystkich. Kobieta, która może bez końca wychodzić za męża. To nie znaczy, że to jest typ „kobietki” — bynajmniej.

— Rozumiem panią, — rzekł sir Henry.

— A ja rozumiem, o co wam obojgu chodzi — zawołała pani Bantry. — Adelajda po prostu umie słuchać.

Sir Henry roześmiał się.

— A Mark Gaskell?

— O, to ciemny charakter — orzekła panna Marple.

— Proszę o typ analogiczny z wiejskiej kroniki.

— Budowniczy, pan Cargill. Nakłonił wielu ludzi, żeby przerobili swoje domy tak, jak nigdy nie zamierzali. A jakie im potem wystawiał rachunki! Ale umiał im wmówić, że jego żądania są słuszne. Ciemny charakter. Ożenił się dla pieniędzy. Tak jak zresztą Gaskell, o ile mi wiadomo.

— Nie podoba się pani?

— Owszem, podoba mi się. Musi mieć powodzenie u kobiet. Ale ja nie jestem naiwna. Jest bardzo miły, ale trochę nierozsądnie z jego strony, że tak dużo mówi.

— Nierozsądnie — oto trafne określenie — uznał sir Henry. — Mark narobi sobie jeszcze przykrości, jeśli nie będzie pilnował języka.

W tej chwili ukazał się na tarasie smukły młodzieniec w białym flanelowym ubraniu. Przystanął chwilę, ujrawszy Adelajdę Jefferson z panem McLeanem.

— A to jest niewiadoma — rzekł sir Henry znacząco — którą musimy również wciągnąć w krąg naszych zainteresowań. To trener tenisowy i fordanser, Raymond Starr, partner Ruby Keene.

Panna Marple przyglądała mu się z zaciekawieniem.

— Bardzo przystojny.

— Mnie się też tak zdaje.

— Niechże pan nie mówi głupstw, sir Henry — wybuchnęła pani Bantry. — Tu nie ma żadnego „mnie się też tak zdaje”! Po prostu piękny.

Panna Marple zapytała szeptem:

— Pani Jefferson brała lekcje tenisa, jeśli się nie mylę, prawda?

— Co ty masz na myśli, Jane?

Ale panna Marple już nie miała sposobności odpowiedzieć na to niespodziewane pytanie, gdyż zbliżał się mały Piotr Carmody. Zwrócił się do Clitheringa:

— Przepraszam pana, czy pan też jest detektywem? Widziałem, jak pan mówił z superintendentem. Ten grubas to superintendent, prawda?

— Tak jest, chłopcze.

— Ktoś powiedział, że pan jest okropnie ważnym detektywem z Londynu. Pierwszym w Scotland Yardzie.

— Pierwszy detektyw Scotland Yardu jest zwykle matołkiem w powieściach kryminalnych.

— O nie, obecnie już nie. Ośmieszanie policji jest niemodne. Czy pan już wie, kto jest mordercą?

— Nie, niestety, jeszcze nie.

— Ciebie to bardzo bawi, Piotrusiu? — zapytała pani Bantry.

— O tak, bardzo. Chociaż raz jakaś odmiana. Szukałem śladów, ale nie powiodło mi się. Bądź co bądź znalazłem pamiątkę. Mama chciała, żebym ją wyrzucił. Rodzice zupełnie nie znają się na rzeczy.

Wyjął z kieszeni pudełko zapalek i otworzył je, ukazując jego cenną zawartość.

— Widzi pan — to paznokieć! Jej paznokieć! Napisze na pudełku: „paznokieć zamordowanej” i zabiorę do szkoły. Ładna pamiątka — prawda?

— Śliczna! A skąd ją masz? — zapytała panna Marple.

— To rzeczywiście szczęśliwy zbieg okoliczności. Bo wtedy przecież jeszcze nie wiedziałem, że zostanie zamordowana. Wczoraj wieczór przed kolacją Ruby zaczęła paznokciem o szal Josie i zdarła go. Paznokieć, nie szal. Josie obcięła go jej i dała mnie, żebym go wyrzucił do kosza. Chciałem to zrobić, ale zapomniałem i włożyłem go do kieszeni. Dziś rano przypomniałem go sobie, patrzę — jest! — i chowam go sobie na pamiątkę!

— Obrzydliwe! — wybuchnęła pani Bantry, a Piotr zapytał uprzejmie:

— Tak pani uważa?

— Czy masz jeszcze inne tego rodzaju „pamiątki”? — indagował sir Henry.

— No, jeszcze nie wiem. Mam coś, co może nią będzie.

— Wyrażaj się jaśniej, chłopcze!

Piotr zastanawiał się, po czym wyjął z kieszeni kopertę i wydobył z niej jakiś brązowy sznurek.

— Kawałek sznurowadła Jerzego Bartletta. Widziałem dziś rano jego buty na korytarzu — i obciąłem na wszelki wypadek kawałek sznurowadła...

— Na wszelki wypadek?

— A nuż jest mordercą? Przecież on ją ostatni widział, a to zawsze bardzo podejrzane, wie pan! Czy jeszcze długo do kolacji? Jestem okropnie głodny. Czas między herbatą a kolacją wydaje mi się zawsze taki strasznie długi! O, znalazł się wujek Hugo! Wcale nie wiedziałem, że mamusia go wezwała. Mama wzywa go zawsze, gdy tylko ma jakieś przykrości. Josie idzie. Hej, Josie!

Josie, idąc przez taras, przystanęła. Zdziwiła się ogromnie, ujrawszy panią Bantry i pannę Marple.

Pani Bantry przywitała się z nią uprzejmie:

— Dzień dobry pani. Przyjechałyśmy, aby zabawić się w detektywów.

Josie rozglądnęła się z niesmakiem. Odezwała się szeptem:

— To ohydne. Jeszcze nikt o niczym nie wie. Gazety na razie milczą. Teraz prawdopodobnie wszyscy zaczną mnie wypytywać, a to takie niemiłe! Nie wiem, co powiedzieć.

Wzrok jej powędrował, jakby szukając porady, ku pannie Marple, która zauważyła:

— Tak, obawiam się, że to będzie trudna sytuacja dla pani.

Josie przyjęła jej współczucie z ulgą.

— Widzi pani, pan Prestcott powiada do mnie: „Niech pani nie mówi o tym”. Łatwo powiedzieć, ale na pewno każdy będzie mnie o to pytał, a trudno ludzi obrażać, prawda? Pan Prestcott powiedział, że spodziewa się, iż będę mogła dalej pracować jak dotychczas. Był bardzo niezadowolony z tej całej afery, dlatego będę się starała pracować po dawnemu. Ale doprawdy nie wiem, dlaczego wszystkiemu ja mam być winna.

Sir Henry zwrócił się do niej:

— Pozwoli pani, że o coś zapytam?

— O, proszę, niech pan pyta, o co tylko pan zechce — zgodziła się Josie nieszczerze.

— Czy między panią, panią Jefferson i Gaskellem zaszły jakieś nieporozumienia na tle tej sprawy?

— Na tle morderstwa?

— Nie, nie na tle morderstwa.

Josie splótła palce. Cedziła wolno:

— Nieporozumienia? I tak, i nie — nie wiem, czy pan mnie rozumie. Nikt tego tematu nie poruszał. Ale obawiam się, że mają do mnie pretensje o to, że pan Jefferson lubił Ruby. Ale przecież to nie moja wina, prawda? Takie rzeczy zdarzają się... nigdy nie

przypuszczałam, że może tak być... nie... ani na moment! Sama oniemiałam ze zdziwienia!

Słowa wydobywały się z bezsprzeczną szczerością z jej ust.

Sir Henry przemówił życzliwie:

— Wierzę pani. Ale skoro to już zaszło?

Josie podniosła głowę.

— No cóż, wielka wygrana na loterii! Ostatecznie każdemu wolno raz mieć szczęście!

Rozejrzała się zaczepnie, a zarazem pytająco. Potem zawróciła i weszła do holu.

Piotr zauważył krytycznie:

— Nie zdaje mi się, żeby to ona zrobiła.

Panna Marple mruknęła:

— Ciekawy jest ten obcięty paznokieć. Głowiłam się już nad tym, czym wytłumaczyć paznokcie.

— Paznokcie? — zapytał sir Henry.

— Paznokcie zamordowanej — wyjaśniła pani Bantry. — Były krótko przycięte. Skoro Jane już o nich wspomina, przyznam, że się też dziwiłam. Tego rodzaju dziewczęta miewają zwykle istne szpony.

Panna Marple ciągnęła dalej:

— Ale Ruby Keene zadarła paznokieć i dlatego musiała przyciąć wszystkie. Czy odnaleziono obcięte paznokcie w jej pokoju?

Sir Henry spojrział z zainteresowaniem na pannę Marple.

— Zapytam superintendenta Harpera, gdy wróci.

— Wróci? Skąd? Chyba nie pojechał do Gossington?

Sir Henry objaśnił z powagą:

— Nie. Wydarzyła się nowa tragedia. Znalezione w kamieniołomach spalony samochód...

Pannie Marple zabrakło tchu.

— Czy w samochodzie ktoś był?

— Obawiam się, że... tak.

Panna Marple szepnęła w zamyśleniu:

— To prawdopodobnie ta harcerka, która zaginęła — Patience, nie, Pamela Reeves.

Sir Henry osłupiał.

— Skąd pani wpadła na taki pomysł?

Panna Marple zarumieniła się.

— No cóż, ogłoszono przez radio, że zaginęła — że wczoraj wieczór nie wróciła do domu. Mieszkała w Daneleigh Vale. To niedaleko stąd. Po raz ostatni widziano ją na zebraniu harcerek w Danebury Downs. To bardzo blisko stąd. W drodze powrotnej mu-

siała minąć Danemouth. A zatem zgadza się wszystko, prawda? To znaczy, mogła coś widzieć albo usłyszeć, coś, czego nikt nie powinien był ani widzieć, ani słyszeć. Jeśli tak, stanowiła wielkie niebezpieczeństwo dla mordercy i należało ją usunąć. Takie dwa morderstwa jak te muszą mieć jakiś związek ze sobą, nie uważa pan?

Sir Henry zapytał szeptem:

— Myśli pani zatem o drugim morderstwie?

— Czemu nie? — Spojrzała na niego spokojnie. — Gdy ktoś raz popełni morderstwo, nie zawaha się przed drugim. Nawet nie przed trzecim.

— Przed trzecim? Nie sądzi pani chyba, że nastąpi jeszcze trzecie morderstwo?

— Nie wykluczam tej możliwości... Przeciwnie, uważam ją za zupełnie prawdopodobną.

— Panno Marple, boję się pani! — oświadczył sir Henry. — Czy pani wie, kto jeszcze zostanie zamordowany?

— Zdaje mi się, że wiem.

Rozdział dziesiąty

I

Superintendent Harper przyglądał się zwęglonej, wygiętej stercie metalu. Wypalony samochód zawsze wygląda niesamowicie, nawet bez zwęglonych zwłok.

Kamieniołomy Venna były miejscem odludnym. Choć dzieliły je właściwie tylko dwie mile drogą powietrzną od Danemouth, droga prowadząca do nich dłużyła się właściwie. Była to raczej wąska, kręta i kamienista ścieżka, prowadząca wyłącznie do od dawna nieczynnych kamieniołomów. Przechodziły tamtędy czasami jedynie kobiety zbierające jagody. Było to wymarzone miejsce na kryjówkę dla samochodu. Nikt nie wpadłby na trop samochodu, gdyby nie robotnik, Albert Biggs, który idąc do pracy zauważył łunę.

Biggs nie mógł oderwać się od kamieniołomów, mimo że parokrotnie już zeznał wszystko, co wiedział. Ale powtarzał wciąż od nowa pasjonującą historię, dodając do niej różne szczegóły.

— Cóż to, mówię sobie, co to może być? Łuna na niebie? Może to ognisko, mówię sobie, ale kto pali ognisko w kamieniołomach? Nie, mówię sobie, to jakiś wielki pożar. Ale co to może być, mówię sobie? Ani domu, ani gospodarstwa. To tam, w kamieniołomach, mówię sobie, nie ulega wątpliwości. Tylko że nie wiedziałem, co właściwie mam robić. Wtem widzę policjanta na rowerze i mówię mu o tym. Już się przestało palić, ale mogłem jeszcze pokazać, gdzie to było. Tam, mówię, jest wielka łuna na niebie. Na pewno jakiś włóczęga podpalił tam coś. Ale nie myślałem, żeby aż samochód — a tym bardziej żeby się w nim ktoś żywcem spalił. Straszne nieszczęście, mówię sobie.

Policja z Glenshire pracowała gorliwie. Sprowadzono aparaty fotograficzne i zanim lekarz policyjny rozpoczął badania, zanotowano dokładnie ułożenie zwęglonych zwłok. Doktor podszedł do Harpera i ścierając szczerbaki popiół z rąk, zacisnął gniewnie wargi.

— Dokładna robota — stwierdził — noga i trzewik, oto wszystko, co pozostało. Nie

mogę powiedzieć, czy to mężczyzna czy kobieta. Badanie kości wyjaśni nam może coś. Ale trzewik jest czarny, sznurowany — taki, jakie zazwyczaj noszą uczennice.

— Zaginęła uczennica w sąsiednim hrabstwie — wyjaśnił Harper — szesnastoletnia dziewczyna.

— To prawdopodobnie ona. Biedne dziecko.

Harper zawahał się.

— Chyba już nie żyła, kiedy...

— Nie, przypuszczam, że nie. Nie ma śladów wskazujących na to, że usiłowała wy dostać się z samochodu. Ciało osunęło się na siedzenie, jedna noga zwisała na stopień. Prawdopodobnie już nie żyła, kiedy ułożono ją w samochodzie. Potem podpalono wóz, aby pozbyć się dowodów.

Urwał. Po chwili zapytał:

— Czy jestem jeszcze potrzebny?

— Dziękuję, nie.

— Dobrze, wobec tego odjeżdżam.

Lekarz udał się do swojego auta. Harper zbliżył się do sierżanta, eksperta samochodowego, który zajęty był jeszcze badaniem. Teraz podniósł głowę.

— Sprawa zupełnie jasna. Oblano cały wóz naftą i podpalono go. Tam w krzakach leżą trzy puste bańki.

Inny policjant układał starannie jakieś drobiazgi, wydobyte spośród szczątków samochodu: był tam przypalony czarny trzewik skórzany i kilka czarnych, zwęglonych strzępków. Gdy Harper się zbliżył, odezwał się:

— Niech pan spojrzy! Oto dowód!

Harper wziął od niego maleńki przedmiot.

— Guzik mundurka harcierskiego?

— Tak jest.

— No tak, to już mamy pewność.

Harper był człowiekiem wrażliwym i uczuciowym. Czuł się w tej chwili bardzo źle. Najpierw Ruby Keene, a teraz takie dziecko jak Pamela Reeves.

Znowu szepnął do siebie:

— Co się porobiło z Glenshire?

Na razie musiał połączyć się ze swoim przełożonym, a następnie z pułkownikiem Melchettem. Pamela Reeves zniknęła w Radfordshire, ale znaleziono ją w Glenshire. Potem czekał go jeszcze jeden nad wyraz przykry obowiązek: mianowicie zawiadomienie rodziców Pameli Reeves...

II

Harper przyglądał się zadumany domowi rodzinnemu Pameli.

Schludna mała willa z ładnym ogrodem. Dom, jakich powstało dużo w ciągu ostatnich dwudziestu lat na wsi. Lubują się w tego rodzaju domkach emerytowani oficerowie i urzędnicy. Byli to zazwyczaj porządni, uczciwi ludzie. Można by im postawić tylko jeden zarzut, a mianowicie ten, że byli trochę nudni. Wszystko poświęcili dla wychowania dzieci. Wiedli na ogół życie spokojne i skromne, w którym nie było miejsca na jakiegokolwiek tragedie. I w to spokojne życie wdarła się teraz tak straszna tragedia. Harper westchnął.

Zadzwoił do bramy. Wprowadzono go do pokoju, gdzie na jego widok zerwał się człowiek o siwych wąsach i kobieta o zaczerwienionych od płaczu oczach.

— Czy pan ma wiadomości o Pameli?

Kobieta zatoczyła się w tył, ugodzona współczującym spojrzeniem Harpera.

— Niestety, musi się pani przygotować na smutną wiadomość.

— Pamela... — wyjąkała kobieta.

Major Reeves zapytał krótko:

— Czy się dziecku coś stało?

— Tak.

— Nie żyje?

— Nie, nie! O nie! — krzyknęła pani Reeves, wybuchając gwałtownym płaczem.

Major Reeves objął ją ramieniem i przytulił do siebie. Wargi jej drżały, ale oczy spoglądały pytająco na Harpera, stojącego z opuszczoną głową.

— Jakiś wypadek?

— Właściwie nie. Znalaziono ją w spalonym samochodzie, porzuconym w kamieniołomach.

— W samochodzie? W kamieniołomach? — major nie mógł ukryć zdziwienia.

Teraz pani Reeves załamała się całkowicie. Ze szlochem osunęła się na kanapę.

— Czy nie zaczekać chwilę? — zapytał Harper.

Ale major Reeves wybuchnął:

— Co to znaczy? Zbrodnia?

— Tak wygląda. Dlatego chciałbym panu zadać kilka pytań, jeżeli czuje się pan na siłach odpowiadać.

— Nie, nie, ma pan rację. Jeśli to prawda, co pan przypuszcza, nie wolno nam tracić czasu. Ale trudno mi w to uwierzyć. Któż miałby skrzywdzić takie dziecko jak Pamela?

Harper pominął bezradnie powyższe pytanie.

— Zgłosił pan już na policji okoliczności towarzyszące zaginięciu pańskiej córki.

Wyszła z domu na zebranie harcerskie i miała wrócić na kolację, czy tak?

— Tak.

— Miała wrócić autobusem?

— Tak.

— O ile wiem z relacji jej koleżanek, Pamela powiedziała po zebraniu, że uda się do Danemouth do domu towarowego i wróci późniejszym autobusem. Czy, pana zdaniem, nie ma w tym nic dziwnego?

— Nie. Pamela bardzo lubiła zwiedzać dom towarowy. Często jeździła do Danemouth na zakupy. Przystanek autobusowy znajduje się o dziesięć minut drogi stąd.

— Nie wie pan, czy miała jeszcze jakieś inne plany?

— Nie wiem.

— Czy może chciała się z kimś spotkać w Danemouth?

— Nie, na pewno nie. Powiedziałyby o tym. Czekaliśmy na nią z kolacją. Dlatego właśnie zatelefonowaliśmy na policję, kiedy zrobiło się późno, a jej jeszcze nie było. Zwykle przychodziła punktualnie.

— Czy córka pana nie miała jakichś niestosownych znajomości — to znaczy znajomości, na które by pan nie zezwolił?

— Nie, nigdy nie sprawiła nam kłopotu pod tym względem.

Pani Reeves odezwała się z płaczem:

— Przecież to jeszcze dziecko. Była jeszcze całkiem dziecinna na swój wiek. Miała tylko w głowie przyjaciółki, sport i zabawy. Nie była bynajmniej nad wiek dojrzała.

— Czy zna pan może niejakiego Jerzego Bartletta z hotelu „Majestic” w Danemouth?

Major Reeves miał zdziwioną minę.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— I nie przypuszcza pan, żeby go córka знаła?

— Na pewno nie! — zapewniał major, dodając szybko: — A co on ma wspólnego z tą sprawą?

— To właściciel samochodu, w którym znaleziono pańską córkę.

Pani Reeves wyjąkała:

— Ale wobec tego... wobec tego on...

Harper przerwał szybko:

— Doniósł dziś rano, że jego samochód zniknął. Wczoraj w południe zostawił go na dziedzińcu hotelowym. Prawdopodobnie ktoś go stamtąd ukradł.

— Czy nie wiadomo, kto go zabrał?

Harper zaprzeczył.

— Dziesiątki samochodów wyjeżdżają i zajeżdżają przez cały dzień. Bartlett miał mi-noana 14. Jest to marka najczęściej spotykana.

Pani Reeves wybuchnęła:

— Ale niechżeż pan coś robi! Niech go pan znajdzie, niech pan chwyci tego diabła! Moja biedna dziewczynka, och, moja dziewczynka! Chyba nie spaliła się żywcem? Och, Pamelu, Pamelu...!

— Nie cierpiała, pani Reeves. Zapewniam panią, że już nie żyła, zanim podpalono wóz.

Reeves zapytał z drżeniem w głosie:

— A w jaki sposób została zamordowana?

Harper spojrzał na niego znacząco.

— Tego nie wiemy. Ogień zniweczył wszelkie możliwości stwierdzenia tego. — Zwrócił się do zrozpaczonej matki: — Niech mi pani wierzy, robimy wszystko, co w naszej mocy. Musimy wszystko dokładnie zbadać. Prędzej czy później znajdzie się ktoś, kto widział córkę państwa w Danemouth i będzie nam mógł powiedzieć, z kim ją widział. Na to potrzeba czasu. Otrzymamy dziesiątki, a nawet setki zgłoszeń o harcerce widzianej tu i tam. Musimy dokładnie zbadać wszystkie te zeznania — na to potrzeba wiele cierpliwości i staranności. Ale w końcu wydobędziemy prawdę na jaw — tego pani może być pewna.

Pani Reeves zapytała:

— Gdzie... gdzie ona...? Czy mogę iść do niej?

Harper znowu spojrzał na ojca.

— Lekarz policyjny nie ukończył jeszcze badań. Proponuję, żeby mąż pani udał się ze mną w celu załatwienia formalności. Tymczasem proszę sobie przypomnieć wszystko, co Pamela mówiła, rzeczy, na które pani wówczas nie zwróciła uwagi, które jednak mogłyby nam dać pewne wyjaśnienia. Rozumie pani, o co mi idzie — może jakieś mimochodem rzucone słówko. W ten sposób dopomoże nam pani najlepiej.

Zanim wyszli, Reeves wskazał fotografię.

— To ona.

Harper przyjrzał się uważnie fotografii. Była to grupa harcerek grających w hokeja. W środku stała Pamela.

„Jakie miłe dziecko” — pomyślał Harper, patrząc na poważną twarzyczkę w obramowaniu ciemnych warkoczy.

Przypomniały mu się zwęglone zwłoki w samochodzie i jego usta się zacisnęły.

Przysiągł sobie: morderstwo popełnione na Pamelu Reeves musi być wyświetlone!

„Ruby Keene — rozmyślał — może sprowokowała swój los, ale z Pamelą Reeves sprawa przedstawiała się inaczej. Biedne, niewinne dziecko”.

Wiedział, że znajdzie mordercę za wszelką cenę!

Rozdział jedenasty

W dwa dni później pułkownik Melchett i Harper siedzieli przy dużym biurku Melchetta, patrząc sobie w oczy.

Melchett odezwał się posępnie:

— No to teraz przynajmniej wiemy, jak sprawa wygląda, a raczej, jak nie wygląda.

— Raczej to drugie.

— Musimy wziąć pod uwagę dwa morderstwa. Ruby Keene i Pamelę Reeves. Niewiele nam zostało do rozpoznania tej biednej małej, ale wystarczy. Ojciec rozpoznał niewątpliwie jej trzewik, a poza tym jest jeszcze guzik od mundurka harcerskiego. Szatańska historia.

Harper odparł szeptem:

— Zaiste szatańska.

— Chwała Bogu, wiemy przynajmniej na pewno, że nie żyła, zanim podpalono samochód. Dowodzi tego jej ułożenie. Prawdopodobnie ogłuszono ją uderzeniem w głowę.

— Ale może uduszono ją — wtrącił Harper.

Melchett spojrział bystro na niego.

— Tak pan sądzi?

— Istnieje taki rodzaj morderców.

— Wiem o tym. Mówiłem z rodzicami. Biedna matka. To okropny wypadek. Przede wszystkim trzeba postawić pytanie: czy te dwa morderstwa mają jakiś związek ze sobą?

— Uważam, że tak.

— Mnie się też tak zdaje.

— Pamela Reeves uczestniczyła w zbiórce harcerskiej koło Danebury. Jej koleżanki zeznały, że zachowywała się całkiem zwyczajnie. Była wesoła jak zwykle. Nie wróciła ze swoimi koleżankami autobusem do Medchester, tylko oznajmiła im, że pójdzie do Danemouth, a stamtąd wróci do domu autobusem. Głównym gościńcem jest daleko do

Danemouth. Pamela obrała krótszą drogę przez pola i łąkę, tuż koło hotelu „Majestic”. W istocie ścieżka ta wiedzie wzdłuż hotelu od strony zachodniej. Dlatego niewykluczone, że usłyszała lub zobaczyła coś — w związku z Ruby Keene — co mogłoby narazić mordercę. Powiedzmy, że słyszała, jak morderca umawiał się z Ruby Keene na jedenastą wieczór. Zauważył, że dziewczyna słyszała jego rozmowę i chciał ją unieszkodliwić.

Pułkownik Melchett wtrącił:

— Tym samym przypuszcza pan, że morderstwo na Ruby Keene popełniono z premedytacją, a nie w afekcie.

Superintendent Harper odpowiedział twierdząco.

— Tak przypuszczam. Wygląda wprawdzie na to, że czyn popełniono w afekcie, z miłości czy zazdrości, ale zaczynam zmieniać zdanie co do tego. Gdyby bowiem chodziło o morderstwo w afekcie, absolutnie nie można by znaleźć związku ze śmiercią młodej Pameli. Bo nawet gdyby była świadkiem morderstwa, musiałoby to być późno w nocy około godziny jedenastej, a cóż robiłaby w tym czasie w pobliżu hotelu? Niechże pan rozważy, już o dziewiątej rodzice zaczęli się niepokoić, że jej jeszcze nie było w domu.

— Druga możliwość to ta, że spotkała kogoś w Danemouth, kogoś, kogo nie znają ani jej koleżanki, ani jej rodzice, i że jej śmierć nie ma najmniejszego związku z zamordowaniem Ruby Keene.

— Możliwe, ale nie wierzę w to. Widzi pan, nawet ta starsza pani, panna Marple, zwróciła w tej chwili uwagę na to, że musi istnieć jakiś związek. Zapytała od razu, czy zwłoki w wypalonym samochodzie nie są zwłokami zaginionej harcerki. To naprawdę mądra osoba. Bywają takie starsze panie. Od razu zobaczą to, co istotne.

— Pannie Marple udało się to nieraz — przyznał Melchett.

— A poza tym niech pan nie zapomina o samochodzie. Mam wrażenie, że samochód niewątpliwie łączy morderstwo z hotelem „Majestic”. Wóz należał do Jerzego Bartletta.

Znowu spojrzeli sobie w oczy. Melchett mruknął:

— Bartlett? Czemu nie! Jak pan sądzi?

Harper ponownie naświetlił oba punkty widzenia.

— Po raz ostatni widziano Ruby Keene z Bartlettem. Zeznał, że poszła do siebie (potwierdza to suknia, którą miała na sobie tego wieczoru i którą znaleziono w jej pokoju), ale czy poszła się przebrać, aby wyjść z Bartlettem? Czy umówili się już przedtem — dajmy na to, przed kolacją — i czy Pamela podsłuchiwała przypadkiem tę rozmowę?

— Dopiero nazajutrz zgłosił kradzież wozu i nawet wtedy płątał się w zeznaniach. Twierdził, że nie pamięta dokładnie, kiedy widział auto po raz ostatni.

— To może być podstęp. Moim zdaniem jest on albo bardzo przebiegły i udaje głupka, albo też — no cóż, albo jest rzeczywiście głupcem.

— Potrzeba nam motywu — wykrzyknął Melchett. — Tak jak sprawy przedstawiają się obecnie, nie widzę najmniejszego powodu, dla którego miałby zabić Ruby Keene.

— Zgadzam się, tu utykamy za każdym razem. Powód. Jak słyszałem, wszystkie informacje z „Palais de Danse” w Brixwell wypadły ujemnie?

— Całkowicie. Ruby Keene nie miała przyjaciela. Slack zbadał tę sprawę dokładnie. Trzeba przyznać, że Slack jest sumienny w pracy.

— Owszem. Jest uosobieniem sumiennosci. Gdyby było coś do wytropienia, on by to niewątpliwie wytropił. Ale nie ma nic. Przywiózł spis jej najwierniejszych danseurów — śledzono wszystkich. Wszyscy są poza podejrzeniami. Niewinni chłopcy. Każdy z nich ma alibi na tę noc.

Harper zmarszczył czoło.

— No tak, alibi. Trzeba je zbadać z bliska.

Melchett rzucił nań badawcze spojrzenie.

— Tę część śledztwa pozostawiłem panu.

— Tak jest. Toteż załatwiono ją — z dużą dokładnością. Dopomogła nam przy tym policja londyńska.

— A więc?

— Panu Jeffersonowi wydaje się, że jego synowa i Gaskell są w dobrej sytuacji majątkowej. Ale tak nie jest. Oboje mają ogromne kłopoty finansowe.

— Czy to prawda?

— Na pewno. Według własnych zeznań Jefferson wyznaczył synowi i córce sporą część majątku. Ale to było dziesięć lat temu. Młody Jefferson był przekonany, że bardzo dobrze zna się na lokacie kapitału. Ulokował swój majątek co prawda nie w bezsensownych przedsięwzięciach, ale miał nieszczęśliwą rękę i dowiódł parokrotnie, że nie ma zmysłu do interesów. Majątek jego topniał nieustannie. W końcu doszło do tego, że wdowie jego było bardzo trudno utrzymać się i kształcić syna.

— Ale dlaczego nie zwróciła się do teścia o pomoc?

— O ile mi wiadomo, mieszka razem z nim i wskutek tego nie ponosi wydatków na własny dom.

— A stan jego zdrowia jest taki, że nie należy się spodziewać długiego żywota?

— Właśnie. A teraz Mark Gaskell. Jest to ni mniej, ni więcej tylko gracz. Bardzo szybko przepuścił pieniądze swojej żony. Obecnie znajduje się w bardzo krytycznej sytuacji. Potrzeba mu gwałtownie pieniędzy — i to dużo pieniędzy.

— Nie mogę powiedzieć, żeby mi się podobał — zauważył Melchett. — Ma taką drapieżną twarz, prawda? I on ma powód, dostateczny, powód. Jeśli sprzątnie dziewczynę, znaczy to dla niego dwadzieścia pięć tysięcy funtów. Owszem, to jest powód.

— Oboje mieli powód.

— Osobiście jej nie podejrzuwam.

— Tak, wiem o tym. Ale oboje posiadają alibi. Wykluczone, żeby oni popełnili morderstwo.

— Ma pan szczegółowe sprawozdanie o tym, co robili owego wieczoru?

— Owszem. A więc najpierw Gaskell. Jadł kolację z teściem i szwagierką, a potem, gdy doszła do nich Ruby Keene, wypił z nimi kawę. Potem zapowiedział, że musi pisać listy, i opuścił ich. W rzeczywistości wsiadł do samochodu i pojechał trochę na spacer po wybrzeżu. Przyznał mi się szczerze, że nie znosi grać cały wieczór w brydża. Teść jego gra namiętnie. Gaskell wykręcił się zatem pisaniem listów. Ruby Keene została z nimi. Mark Gaskell wrócił, kiedy już tańczyła z Raymondem. Po tańcu Ruby przyszła na koktajl do Jeffersonów, po czym wróciła znowu z Bartlettem na salę. Gaskell i reszta zasiedli do brydża — było to dwadzieścia minut przed jedenastą — i już nie wstał od stołu do północy. To jest absolutnie pewne. Wszyscy zeznali to samo. Rodzina, kelnerzy, jednym słowem wszyscy. Dlatego nie mógł zamordować Ruby. A alibi pani Jefferson jest takie samo. Ona już też nie wstała od brydża. A więc odpadają. Oboje nie wchodzi w rachubę.

Melchett rozparł się wygodniej i stuknął w biurko nożem do rozcinania papieru. Superintendent dodał:

— Przyjmujemy oczywiście stale, że dziewczynę zamordowano przed północą.

— Tak twierdzi doktor Haydock. On się zna na sprawach kryminalnych. Jeśli coś powie, to rzeczywiście tak jest.

— A czy nie może być jakiejś omyłki... z przyczyn natury konstytucyjnej... fizycznej... czy ja wiem zresztą?

— Podesunę mu to. — Melchett spojrział na zegarek, po czym wziął słuchawkę telefoniczną i zażądał połączenia. Zwrócił się znowu do Harpera:

— Haydock powinien być w domu o tej porze. A jeśli została zamordowana po północy?

— Wówczas trzeba by odtworzyć całe zajście — odparł Harper. — Po północy zaczął się ruch. Przyjmijmy, że Gaskell prosił dziewczynę, aby spotkała się z nim gdzieś na powietrzu — dajmy na to o dwunastej dwadzieścia. Znika na moment, wraca i wywozi zwłoki dopiero później — nad ranem.

— I jedzie z nimi na spacer przeszło trzydzieści mil, aby je w końcu złożyć w bibliotece pułkownika Bantry'ego? Do licha, to nie wygląda prawdopodobnie.

— Nie, ma pan rację — przyznał Harper natychmiast.

Telefon zadzwonił. Melchett zdjął słuchawkę.

— Halo, to pan, doktorze? Chodzi o Ruby Keene. Czy możliwe jest, że została zamordowana po północy?

— Powiedziałem panu, że śmierć nastąpiła między godziną dziesiątą a dwunastą w nocy.

— Tak, pamiętam. Ale czy nie można by terminu trochę przedłużyć?

— Nie, nie można go przedłużyć. Skoro mówię, że zmarła przed północą, to zmarła

przed północą. Niech pan nie próbuje naginać faktów do swoich teorii.

— Oczywiście, że nie, ale czy nie może zaistnieć jakaś niewiadoma natury fizycznej, czy ja wiem zresztą co? Rozumie pan, o co mi chodzi?

— Rozumiem, że pan nie wie, o czym pan mówi. Dziewczyna była zupełnie zdrowa i normalna — i ani mi w głowie orzec coś innego po to jedynie, żeby panu dopomóc w wieszaniu jakiegoś Bogu ducha winnego nieszczęśnika, którego pan wytropił psami policyjnymi. Niech mi pan nie przerywa! Znam pana. Nawiasem mówiąc, ofiara była nieprzytomna, kiedy ją uduszono, to znaczy, odurzono ją przedtem za pomocą silnego narkotyku. Zmarła na skutek uduszenia, ale przytomność straciła już przedtem.

— Doktor odwiesił słuchawkę.

— Masz tobie! — mruknął Melchett.

— Zdawało mi się, że znalazłem jeszcze inne rozwiązanie zagadki — odezwał się Harper w zamyśleniu — ale ono również nie wchodzi w rachubę.

— Jakie?

— Prawdę powiedziawszy, jest to pański klient: Bazyli Blake. Mieszka koło Gossington Hall.

— Bezczelny smarkacz! — Melchett spochmurniał na samo wspomnienie grubiańskiego Bazylego. — Cóż on może mieć z tym wspólnego?

— O ile mi wiadomo, znał Ruby Keene. Jadał często kolacje w „Majesticu” i tańczył z nią. Pamięta pan, co powiedziała Josie do Raymonda, gdy zauważono zniknięcie Ruby? „Chyba nie poszła z tym filmowcem”. Doszedłem do wniosku, że myślała o Bazylim Blake’u. On pracuje w wytwórni filmowej Lemville. Josie nie miała żadnych danych oprócz wrażenia, że Ruby bardzo się nim interesuje.

— To ciekawe, nawet bardzo ciekawe.

— Nie takie znowu ciekawe, jak się wydaje. Bazyli Blake był tego wieczoru na przyjęciu w wytwórni filmowej. Wie pan, jak to bywa na tego rodzaju przyjęciach. Zaczyna się o ósmej od koktajlu, a potem robi się atmosfera nie do zniesienia. Po kolei wszyscy wynoszą się chyłkiem. Według raportu Slacka, który przesłuchał Bazylego, opuścił on towarzystwo około północy. O północy Ruby Keene już nie żyła.

— Czy ktoś potwierdził jego zeznania?

— Większość współbiesiadników była już dosyć zamroczone. Ta... hm... ta młoda niewiasta... panna Dinah Lee... orzekła, że jego zeznanie jest zgodne z prawdą.

— To niczego nie dowodzi.

— Zeznania innych uczestników przyjęcia, których przesłuchano, zgadzają się na ogół z wypowiedzią Bazylego Blake’a. Tylko nikt nie umie podać dokładnej godziny jego odejścia.

— Gdzież ta wytwórnia?

— W Lemville, 30 mil na południowy zachód od Londynu.

— Hm, mniej więcej tak daleko jak stąd?

— Tak.

Melchett potarł nos. Stwierdził z niezadowoleniem:

— Hm, nie wydaje mi się, żebyśmy mu mogli coś dowieść.

— Mnie się, niestety, też tak zdaje. Nie mamy dowodu, że się naprawdę zainteresował tancerką. Wręcz przeciwnie. — Harper zakaszał. — Jest całkowicie opętany przez swoją przyjaciółkę.

— A zatem utknęliśmy w martwym punkcie z niewiadomą x — reasumował Melchett. — Z mordercą tak niewiadomym, że nawet Slack nie może wpaść na jego trop! Może nim być zięć Jeffersona, który chętnie by zabił dziewczynę, lecz nie miał do tego sposobności. To samo synowa Jeffersona. Albo Bartlett, który nie posiada żadnego alibi — ale też nie miał powodu do mordowania jej. Albo młody Blake, który niema alibi, ani nie ma powodu. Tak wyglądają nasze akcje! Ale zaraz! Musimy pamiętać także o for-danserze, o Raymondzie. Ostatecznie spędzał dużo czasu w towarzystwie Ruby.

— Nie odniosłem wrażenia, żeby żywił jakieś uczucia dla niej — chyba że się świetnie maskuje. A jeśli chodzi o to, to on również posiada niezbite alibi. Od dziesiątej czterdzieści do północy był stale obecny, tańcząc z różnymi paniami. Nie widzę najmniejszej możliwości zaczepienia go.

— Doprawdy — wykrzyknął Melchett — nie mamy najmniejszych danych do zaczepienia kogokolwiek!

— Cała nasza nadzieja w Bartlecie. Żebyśmy tylko mogli znaleźć jakiś powód!

— Zasięgnął pan informacji o nim?

— Tak. Jedynek, rozpieszczony przez matkę. Po jej śmierci uzyskał rok temu dość znaczny majątek. Ale trwoni go szybko. Raczej słaby niż zły.

— Może anormalny — rozważał Melchett z cieniem nadziei w głosie.

Harper przytaknął.

— Czy nie nasunęła się panu myśl, że to może być wytłumaczeniem tajemniczej sprawy?

— Zbrodnia na tle patologicznym?

— Tak jest. Jeden z tych drabów, którzy chodzą po świecie i duszą młode dziewczęta. Lekarze mają na to specjalną fachową nazwę.

— To wyjaśniałoby tę całą tajemniczą sprawę — westchnął Melchett.

— Tylko jedno mi się w tym nie podoba.

— Mianowicie?

— Że to za proste.

— Hm... owszem... może. Jak to powiedziałem na początku? Gdzie stoimy?

— Nigdzie — odpowiedział Harper ze smutkiem.

Rozdział dwunasty

I

Jefferson poruszył się we śnie. Przeciągnął się, prostując silne ramiona, w których skoncentrowała się od czasu katastrofy cała siła jego ciała.

Światło poranka zakradło się przez firanki.

Jefferson uśmiechnął się. Po spokojnej nocy budził się zawsze taki pogodny, pokrzepiony, pełen nowych sił. Nowy dzień!

Leżał tak przez chwilę. Potem nacisnął dzwonek, umieszczony przy łóżku. I nagle ogarnęła go fala wspomnień.

Kiedy Edwards wszedł, panu jego wyrwał się cichy jęk.

Edwards zatrzymał się z ręką przy firance.

— Czy pana coś boli, sir?

Jefferson zbył go szorstko:

— Nie! Rozsuń firanki!

Jasne światło dzienne zalało pokój. Edwards dyskretnie unikał patrzenia na pana.

Jefferson miał zacięty wyraz twarzy, leżał i rozpamiętywał niedawną przeszłość. Ujrzał znowu ładniutką zdeprawowaną buzię małej Ruby. Oczywiście nie użył w myślach słowa: zdeprawowana. Wczoraj wieczór powiedziała by jeszcze: niewinna. Naiwne, niewinne dziecko!

A dziś? Ogarnął go głęboki smutek. Przymknął oczy. Bezgłośnie wyszeptał:

— Margaret...

Było to imię jego zmarłej żony.

II

— Podoba mi się pani przyjaciółka — powiedziała Adelajda Jefferson do pani Bantry.

Siedziały na tarasie.

— Jane Marple jest wyjątkową osobą — sławiła ją pani Bantry.

— A poza tym jest bardzo sympatyczna — zapewniła Adelajda z uśmiechem.

— Ludzie nazywają ją plotkarką. Ale to nieprawda.

— Pewno ma niekoniecznie dodatnie zdanie o naturze ludzkiej?

— Owszem, można to i tak nazwać.

— Ma w sobie coś krzepiącego — uśmiechnęła się Adelajda — zwłaszcza dla kogoś, kto długi czas stykał się ze zjawiskiem wręcz odmiennym.

Pani Bantry obrzuciła ją badawczym spojrzeniem.

Addie próbowała się wyrazić jaśniej.

— Takie przecenianie — takie idealizowanie istoty bezwartościowej!

— Mówi pani o Ruby Keene?

Addie skinęła głową.

— Nie chciałabym mówić o niej źle. Ona była dosyć nieszkodliwa. Biedne, małe zwierzątko — o wszystko, co chciała mieć, musiała ciężko walczyć. Nie była zła, tylko wulgarna i dosyć głupia, ale przy tym dobroduszna. Zdecydowana na wszystko poszukiwaczka złota. Nie przypuszczam nawet, żeby miała jakieś określone zamiary. Była tylko bardzo obrotna, gdy szło o wykorzystanie jakichś możliwości. I wiedziała doskonale, jak spodobać się starszemu panu, który... który jest samotny.

Pani Bantry przyglądała się młodej wdowie w zamyśleniu.

— A czy Jefferson był samotny?

Addie poruszyła się niespokojnie.

— Tak, a przynajmniej tego roku. — Urwała na chwilę, po czym wybuchła — Mark upiera się, że to wszystko moja wina. Może ma rację. Nie wiem.

Umilkła. Potem odezwała się znowu, wolno, prawie niechętnie, jakby ulegając jakiemuś wewnętrznemu nakazowi:

— Miałam... miałam smutne życie. Takie dziwne. Mój pierwszy mąż, Mike Carmody, zmarł wkrótce po naszym ślubie i to mnie złamało. Piotr urodził się po jego śmierci, jak pani wiadomo. Frank Jefferson był najlepszym przyjacielem Mike'a. Dzięki temu spotykałam go często. Trzymał Piotra do chrztu — według życzenia Mike'a. Z czasem polubiłam Franka i tak mi go było żal.

— Żal? — zapytała pani Bantry zdziwiona.

— Tak, żal. To brzmi dziwnie. Frank miał zawsze wszystko, czego tylko zapragnął. Rodzice nie mogli go bardziej kochać. A jednak — jak by to powiedzieć? Teść mój jest bardzo silną osobowością. Żyjąc z nim, nie można zachować własnej indywidualności. I Frank czuł to.

Kiedy pobraliśmy się, był szczęśliwy — nawet bardzo szczęśliwy. Ojciec jego był szczodry. Przekazał Frankowi znaczną część majątku, mówiąc, że dzieci jego powinny

być niezależne, a nie czekać na jego śmierć. Było to bardzo ładne z jego strony — i takie wspaniałomyślne. Ale nastąpiło zbyt nagle. Powinien był Franka stopniowo oswoić z samodzielnością.

Frankowi uderzyła ta samodzielność do głowy. Chciał być takim samym wielkim człowiekiem do interesów jak ojciec, tak samo zdolnym w sprawach finansowych, tak samo przewidującym. Oczywiście nie udało mu się to. Nie grał na giełdzie, ale ulokował pieniądze w niefortunnych przedsięwzięciach w niewłaściwym czasie. To po prostu przerażające, jak szybko pieniądze znikają, gdy ktoś się nie zna na interesach. Im więcej Frank tracił, tym bardziej chciał się odegrać drogą jakiegoś roztropnego pociągnięcia. I brnął coraz dalej i dalej.

— Ależ, moja droga, czy ojciec nie mógł mu doradzić?

— Frank nie chciał rady. Pragnął sam wszystko załatwić. Dlatego też nie powiedzieliśmy o tym teściowi. Kiedy Frank umarł, z majątku pozostało niewiele... miałam tylko małą rentę. A ja... ja też nie powiedziałam teściowi o tym. Widzi pani...

Wyprostowała się gwałtownie.

— Wydawałoby mi się to zdradą Franka, Frank nie zniósłby, żeby ojciec wiedział o tym. Teść chorował długo. Kiedy wyzdrowiał, przypuszczał, że jestem majątną wdową. Nigdy mu tego złudzenia nie odbierałam. To taki punkt honoru. Wie, że jestem bardzo oszczędna; ale to mu się podoba. Uważa mnie za doskonałą gospodynię. Od czasu wypadku zamieszkałam z Piotrem u teścia i on opłacał wszystkie nasze wydatki. Nie miałam zatem trosk materialnych.

Z wahaniem ciągnęła dalej:

— Tyle lat żyliśmy wszyscy ze sobą jak rodzina... tylko... tylko że... nie wiem, czy mnie pani rozumie... dla teścia nie byłam nigdy wdową po Franku. Byłam dla niego zawsze jeszcze jego żoną.

Pani Bantry rozumiała ją.

— To znaczy, że nie chciał pogodzić się ze śmiercią dzieci?

— Tak. Był wspaniały. Ze straszną tragedią swego życia uporał się jedynie dzięki temu, że nie uznawał faktu śmierci dzieci. Mark jest mężem Rosamundy, a ja żoną Franka, i chociaż Franka i Rosamundy nie ma chwilowo z nami, istnieją wciąż jeszcze.

— Cudowny triumf wiary — szepnęła pani Bantry.

— Zapewne. Rok za rokiem mijał nam w ten sposób. Ale nagle... tego roku zmieniło się coś we mnie. Czułam, że się coś we mnie buntuje. To straszne, że to mówię, ale nie chciałam już myśleć o Franku! To wszystko minęło... moja miłość i moje współzycie z nim... i mój ból z powodu jego śmierci. Wszystko to było... i minęło.

Ogromnie trudno to wytłumaczyć. To tak, jakby ktoś chciał umyć tabliczkę i od nowa zacząć pisać. Chciałam być sobą... jeszcze dosyć młodą Adelajdą, silną i zdolną do zabawy, do pływania i do tańca... chciałam być taką młodą kobietą jak tysiące in-

nych w moim wieku. Nawet Hugo... zna pani przecież Hugona McLeana? Jest bardzo miły. Chce się ze mną ożenić. Nigdy o tym serio nie myślałam, ale tego roku zaczęłam rozważać jego zamiary... nie na pewno... ale tak od niechcienia...

Urwała, potrząsając głową.

— Pewnie rzeczywiście zaniedbywałam teścia. Nie, żebym go naprawdę zaniedbywała, ale myślami i uczuciem nie byłam przy nim. Kiedy zauważyłam, że Ruby go bawi, byłam nawet zadowolona. Dzięki temu miałam sama więcej swobody i mogłam pójść własnymi ścieżkami. Nigdy mi oczywiście przez myśl nie przeszło, że ona go tak... tak omota!

— A gdy pani zorientowała się w tym? — zapytała pani Bantry.

— Jakbym dostała pałką po głowie. Zgłupiałam zupełnie. I, niestety, rozgniewałam się.

— No, ja bym się na pewno także rozgniewała — zapewniła ją pani Bantry.

— Myślałam o Piotrze. Cała przyszłość Piotra leży w ręku Jeffa. Zdawało mi się, że Jeff uważa go za rzeczywistego wnuka — chociaż nim nie był. W ogóle nie jest z nim spokrewniony. I pomyśleć, że mój Piotr miał być wydziedziczony! — Jej kształtne ręce drżały. — Wydziedziczony! I to dla kogo! Dla takiej ordynarnej, chciwej, głupiej... och! Byłabym ją zabiła!

Urwała z przerażeniem. Jej piękne ciemne oczy wpiły się z lękiem w panią Bantry. Wyszepiała:

— Boże, co ja powiedziałam!

Bezszelestnym krokiem zjawił się za nimi Hugo McLean.

— Co pani powiedziała?

— Niech pan siada. Państwo się znają, prawda?

McLean przywitał się już z panią Bantry. Dopytywał się z uporem:

— Co pani powiedziała?

— Że potrafiłabym zabić Ruby Keene.

Hugo McLean zastanowił się chwilę. Potem orzekł:

— Nie, nie powiedziałbym tego na miejscu pani. Może to być źle zrozumiane.

Jego spokojne i zamyślane szare oczy spojrzały na nią znacząco. Powiedział:

— Niech pani uważa na to, co pani mówi. Niech pani uważa, co pani robi.

W jego głosie dźwięczała przestroga.

III

W chwilę później, kiedy panna Marple wyszła z hotelu i przysiadła się do pani Bantry, Hugo McLean i Adelajda udali się na plażę.

— Zdaje się, że bardzo jest przywiązany do niej — zauważyła panna Marple.

— Przywiązany od wielu lat! Takie już ma usposobienie.

— Rozumiem. Jak major Bury. Dziesięć lat starał się o jakąś wdowę w koloniach. Był przedmiotem drwin jej przyjaciół. Wreszcie zgodziła się zostać jego żoną, ale tydzień przed ślubem uciekła, niestety, z szoferem. Była bardzo ładna i na ogół ogromnie opanowana.

— Tak, tak, ludzie nieraz wyprawiają dziwne rzeczy — przyznała pani Bantry. — Żałuję, że cię nie było przed chwilą. Addie Jefferson opowiedziała mi swoje dzieje: że jej mąż roztrwonił cały majątek, że kryli się z tym przed teściem, że tego roku czuła się zupełnie inaczej niż zwykle...

— Prawdopodobnie zbuntowała się, że nie będzie stale żyła przeszłością. Ostatecznie wszystko ma swój kres. Nie można wiecznie przesiadywać w domu o zamkniętych okiennicach. Zapewne uchyliła teraz okiennice, zdjęła wdowi welon i to nie spodobało się teściowi. Czuł się opuszczony, choć nie sądzę, żeby choć przez chwilę orientował się, co się z nią dzieje. Ale na pewno nie był z niej zadowolony. Wskutek tego doszło do tej całej historii. Tak jak u Badgerów, kiedy żona zaczęła się interesować spirytyzmem. Pierwsza lepsza jako tako ładna buzia, umiejąca uważnie słuchać, dopięłaby tego samego celu.

— Czy myślisz — nalegała pani Bantry — że ta kuzynka umyślnie sprowadziła Ruby Keene? Że to był jakiś spisek rodzinny?

Panna Marple zaprzeczyła.

— Nie, w to nie wierzę. Nie wierzę, żeby Josie była zdolna przewidzieć, jak ktoś zareaguje na dane zjawisko. Pod tym względem jest dosyć ograniczona. Ma pewien praktyczny spryt, który jednak nie przewiduje przyszłości. Tym wydarzeniem została zaskoczona.

— Zdaje się, że wszyscy zostali nim zaskoczeni. I Addie — a nawet Mark Gaskell.

Panna Marple uśmiechnęła się.

— Gaskell sam ma niejedno na sumieniu. Dziki człowiek o drapieżnych oczach! To nie jest typ człowieka, który wytrwałby latami w roli żałobnego wdowca, choćby nawet bardzo kochał żonę. Wyobrażam sobie, jak im musiał ciążyć kult przeszłości narzucony przez starego Jeffersona. Oczywiście mężczyźni zawsze lżej — dodała cynicznie.

IV

Zdanie panny Marple o Gaskellu potwierdziła w tej samej chwili rozmowa między Markiem a Clitheringiem.

Ze znamionną dla siebie szczerością Mark przystąpił od razu do sedna sprawy.

— Zaczynam sobie powoli zdawać sprawę z tego, że dla policji muszę być najbar-

dziej podejrzanym osobnikiem — rozpoczął. — Odkryli moje kłopoty finansowe. Trzeba panu wiedzieć, że jestem bankrutem. Jeśli stary Jeff umrze planowo za dwa miesiące i podzielimy się z Addie jego majątkiem, wówczas wszystko w porządku. Szczerze mówiąc, mam mnóstwo długów. Jeśli dojdzie do bankructwa, będzie to bankructwo wielkie. Jeśli natomiast uda mi się go uniknąć, sytuacja zmieni się radykalnie: wtedy ja będę górą i w dodatku będę bogatym człowiekiem.

— Pan lubi hazard — wtrącił sir Henry.

— Zawsze go lubiłem! Wszystko postawić na jedną kartę — oto moje hasło! To naprawdę szczęście dla mnie, że ktoś inny zadusił to biedactwo. Ja jej nie udusiłem. Nie jestem dusicielem. Nie przypuszczam, żebym był w stanie kogoś zabić. Jestem na to za... za powierzchowny. Ale nie mogę spodziewać się, żeby policja w to uwierzyła. Sam fakt mojego istnienia musi jej się wydawać wysłuchaniem prośby wznoszonej przez detektywów ku niebu! Mam powód, mają mnie na oku, nie jestem bynajmniej obarczony jakimś moralnymi czy etycznymi skrupułami! W ogóle nie rozumiem, jakim cudem jeszcze nie siedzę w więzieniu! Ten superintendent od samego początku patrzy na mnie podejrzliwie.

— Ale posiada pan rzecz bardzo ważną: niezbite alibi.

— Alibi to największa bujda. Niewinny nigdy nie ma żadnego alibi! Poza tym rzecz najważniejsza: kiedy nastąpiła śmierć. A może pan być pewien: jeśli trzech lekarzy stwierdzi, że ofiara zmarła przed północą, znajdzie pan najmniej sześciu innych, którzy przysięgną, że umarła o piątej rano — i jak ja wtedy wyglądam z moim alibi?

— Trzeba przyznać, że pan lubi żartować.

— Co świadczy o bardzo kiepskim guście, prawda? — roześmiał się Gaskell. — Szczerze mówiąc, boję się bardzo. Jest się zresztą czego bać. Niech pan nie myśli, że mi nie żal starego Jeffa. Nawet bardzo mi go żal. Ale lepiej, że się tak stało — chociaż wstrząs był wielki — aniżeli gdyby wpadł na jej hocki.

— Co to ma znaczyć?

Mark przymrużył oko.

— Dokąd poszła owego wieczoru? Mógłbym się założyć, że spotkała się z kimś. Nie podobałoby się to Jeffowi, gdyby się dowiedział, że go oszukuje, że wcale nie jest taką niewinną szczebiotką, jaką udawała. No cóż, teść mój jest człowiekiem dziwnym. Jest bardzo opanowany, ale to opanowanie może się raptownie zmienić w coś wręcz przeciwnego, a wtedy biada.

Sir Henry przyglądał się Markowi z zaciekawieniem.

— Czy go pan lubi, czy raczej nie lubi?

— Lubię go bardzo, a równocześnie irytuje mnie. Jak by to panu wytłumaczyć? Jefferson chciałby rządzić wszystkimi. Jest despotą, życzliwym, uczynnym i dobrym, ale despotą — i wszyscy muszą tańczyć, jak on zagra.

Gaskell urwał. Po chwili ciągnął dalej:

— Kochałem żonę. Nikogo już tak nie pokocham. Rosamunda była wcieleniem słońca, uśmiechu i radości życia. Kiedy ją utraciłem, poczułem się jak bokser na ringu, pokonany przez k.o. Ale sędzia mnie teraz dość długo „wyliczał”. Ostatecznie jestem mężczyzną. Lubię kobiety. Nie mam bynajmniej zamiaru ożenić się powtórnie — o, nie! Musiałem zachować pewną dyskrecję, ale nie odmawiałem sobie przyjemności. Inaczej ma się sprawa z biedną Addie. To naprawdę miła osoba. Należy do tych kobiet, z którymi mężczyźni chcą nie tylko sypiać, lecz pragną się również żenić. Gdyby miała choć najmniejszą szansę wyszłaby znowu za mąż, byłaby szczęśliwa i uszczęśliwiłaby męża. Ale nasz stary Jeff ciągle uważa ją za żonę Franka i wymaga tego samego od niej. Nie zdawał sobie z tego sprawy, jak dalece byliśmy jego niewolnikami. Ja uciekłem skrycie już dawno temu. Addie uciekła tego lata — i to wstrząsnęło starym. Jego świat się zawalił. Wynik: Ruby Keene. — Zanucił nagle: — Ale ona w grobie leży i każdy chętnie w to uwierzy. Hej, ha! Chodźmy się czegoś napić.

„Nic dziwnego — pomyślał sir Henry — że policja podejrzewała Gaskella”.

Rozdział trzynasty

I

Doktor Metcalf należał do najbardziej znanych lekarzy Danemouth. Obecność jego działała rozweselająco. Był to człowiek w średnim wieku i miał ujmujący głos.

Uważnie wysłuchał Harpera, odpowiadając z uprzejmą dokładnością na jego pytania.

— Mogę zatem przyjąć, panie doktorze, że informacje udzielone przez panią Jefferson odpowiadają prawdzie?

— Tak jest. Zdrowie Jeffersona jest bardzo marne. Od kilku lat przemęcza się on w straszny sposób. Ponieważ postanowił żyć tak jak człowiek zdrowy, wymaga od swojego organizmu o wiele więcej niż inni normalni ludzie w jego wieku. Nie chce spocząć, nie chce sobie ułatwić pracy ani życia, nie słucha wskazań lekarskich. Skutek jest taki, że cały organizm można porównać do przemęczonego motoru. Serce, wątroba, ciśnienie krwi — wszystko na wykończeniu.

— Powiada pan, że Jefferson nie chce słuchać wskazań lekarskich?

— Tak jest. Nie potępiam go z tego powodu. Nie mówię tego oczywiście moim pacjentom, ale, moim zdaniem, człowiek może się z równym powodzeniem zużyć, jak zarzewieć. Wielu moich kolegów zużywa się — i nie powiem, żeby źle robili. W takiej miejscowości jak Danemouth obserwuje się raczej coś wręcz przeciwnego, mianowicie pacjentów czepiających się kurczowo życia w nieustannym strachu przed przemęczeniem, przeciągiem, bakcylami, przed niestrawnym posiłkiem!

— Ma pan rację — przyznał Harper. — Rzecz przedstawia się następująco: Jefferson jest bardzo silny pod względem fizycznym. Jaki właściwie pożytek z tej siły?

— Ma niezwykle silne ręce i ramiona. Już przed wypadkiem był bardzo silny. Porusza się ogromnie zręcznie w fotelu na kółkach, a z pomocą kul potrafi przejść na przykład od łóżka na fotel.

— Czy nie może mieć protezy?

— Niestety, to niemożliwe. Miał uszkodzony kręgosłup.

— Aha! Jednym słowem, mięśnie Jeffersona są silne i zdrowe. On sam czuje się dobrze?

Metcalf skinął głową.

— Ale jego serce jest bardzo osłabione — ciągnął Harper dalej. — Przemęczenie, wstrząs lub nagły przestrah — i może nagle umrzeć, czy tak?

— W przybliżeniu tak. Przemęczenie zabija go powoli, ponieważ on nie uznaje wypoczynku. To pogarsza wadę serca. Mało prawdopodobne, żeby jakiś wysiłek mógł go nagle zabić. Natomiast nagły wstrząs albo przerażenie dokonałoby tego z łatwością. To też ostrzegałem rodzinę przed czymś takim.

Superintendent ciągnął dalej z uporem:

— Ale w rzeczywistości nagły wstrząs nie zabił go. Chyba trudno o większy wstrząs jak to morderstwo — a on żyje?

Doktor Metcalf wzruszył ramionami.

— Tak, to prawda. Ale gdyby pan posiadał moje doświadczenie, wiedziałby pan na podstawie opisów chorobowych, jak trudne jest stawianie nieomylnych prognoz. Ludzie, którzy powinni umrzeć z powodu wstrząsu czy zdenerwowania, wcale nie umierają z tego. Organizm jest o wiele silniejszy, niż się przypuszcza. Poza tym wstrząs fizyczny jest moim zdaniem o wiele gorszy od wstrząsu psychicznego. Innymi słowy: nagłe trzaśnięcie drzwi zabije Jeffersona prawdopodobnie prędzej niż zwykła wiadomość, że lubiana przezeń dziewczyna została w okrutny sposób zamordowana.

— A to dlaczego?

— Niespodziewana zła nowina wprawia odbiorcę w podświadomy stan obronny. Jest oszołomiony. Najpierw jest niezdolny do ogarnięcia całości nieszczęścia. Na zrozumienie go potrzeba czasu. Ale zatrzaśnięcie drzwi, człowiek wyskakujący nagle z szafy, szum zbliżającego się samochodu, gdy się przechodzi jezdnię — wszystko to działa bezpośrednio. Serce skoczy — mówiąc językiem laika.

Harper wycedził powoli:

— Ale tak na prosty rozum śmierć Jeffersona mogła nastąpić wskutek przerażenia na wieść o zamordowaniu Ruby Keene?

— Oczywiście, nawet bardzo łatwo. — Lekarz spojrzał nań z zaciekawieniem. — Chyba nie sądzi pan...

— Sam nie wiem, co sądzić — odparł Harper szorstko.

II

W chwilę później wyjaśniał Clitheringowi swój punkt widzenia.

— Przyzna pan, że ta kombinacja wygląda prawdopodobnie. Dwie muchy za jednym

uderzeniem. Najpierw dziewczyna, a następnie wiadomość o jej śmierci zabija Jeffersona, nie pozostawiając mu czasu na zmianę testamentu.

— Przypuszcza pan, że pragnąłby go zmienić?

— O tym pan może być lepiej poinformowany niż ja.

— Nie wiem. Przed pojawieniem się Ruby Keene na widnokręgu zapisał cały majątek Gaskellowi i synowej, o ile mi wiadomo. Ale, oczywiście, wszystko możliwe. Może zapisze teraz majątek jakiemuś schronisku dla bezdomnych kotów albo fundacji na rzecz popierania młodych tancerek.

Harper zgodził się z nim.

— Nigdy nie wiadomo, co takiemu przyjdzie do głowy. Zwłaszcza gdy nie krępują go więzy rodzinne. Nie posiada przecież prawdziwych krewnych.

— Lubi tego chłopczyka — wtrącił sir Henry — małego Piotrusia.

— Myśli pan, że uważa go za wnuka? Trudno mi coś powiedzieć na ten temat — pan się w tym lepiej orientuje.

— Nie — odparł Clithering z wahaniem — nie wydaje mi się, żeby uważał go za wnuka.

— Chciałbym pana jeszcze o coś zapytać. Pan jest ich przyjacielem i lepiej zna stosunki. Czy pan Jefferson bardzo lubi synową i zięcia?

Sir Henry zmarszczył się.

— Nie rozumiem pana.

— Chciałbym wiedzieć, czy lubi ich po prostu osobiście — niezależnie od uczuć, które żywi dla nich jako synowej i zięcia?

— Aha, teraz rozumiem.

— Nikt nie wątpi, że jest bardzo przywiązany do nich. Ale mnie się wydaje, że lubi Gaskella i synową przede wszystkim dlatego, że byli małżonkami jego dzieci. Co by się natomiast stało, gdyby któreś z nich zawarło nowy związek małżeński?

Sir Henry zastanowił się.

— Poruszył pan w tej chwili bardzo ciekawy problem. Nie wiem, co by się stało. Przypuszczam — jest to, naturalnie, tylko przypuszczenie — że stosunek Jeffersona do nich zmieniłby się wówczas bardzo istotnie. Życzyłby im szczęścia, nie żywiąc do nich urazy, ale sądzę — a nawet jestem pewny — że przestałby się nimi interesować.

— W obu wypadkach?

— Chyba tak. Jeśli idzie o Gaskella, jestem tego prawie pewien. I myślę, że tak samo postąpiłby w wypadku zamażpójścia synowej; ale to mniej pewne. Mam wrażenie, że lubi ją dla niej samej.

— Prawdopodobnie dlatego, że to kobieta. Łatwiej uważać ją za córkę niż Gaskella za syna. Tak samo bywa na odwrót. Kobiety bez trudu przyjmują zięcia do grona rodziny, ale rzadko się zdarzy, żeby kobieta uważała synową za córkę. Czy pójdzie pan ze mną

na kort? Widzę, że panna Marple tam siedzi. Muszę ją o coś poprosić. Szczerze mówiąc, poproszę i ją, i pana o pomoc.

— W jakiej sprawie?

— W sprawie, którą sam nie mogę się zająć. Chciałbym, żeby pan pomówił z Edwardem.

— Z kamerdynerem Jeffersona? Cóż pan chce od niego?

— Wszystko! Chcę wiedzieć wszystko, co wie i co myśli. O stosunkach między poszczególnymi członkami rodziny. Chcę znać jego zdanie o Ruby Keene. On wie więcej o tej całej sprawie niż ktokolwiek inny. Jestem tego pewny. Mnie nic nie powie, ale panu jako przyjacielowi Jeffersona powie wszystko. Można by się od niego dowiedzieć czegoś istotnego. Oczywiście nie wiem, czy się pan tego podejmie?

— Owszem, podejmę się — zgodził się sir Henry z zaciętym wyrazem twarzy. — Jefferson wezwał mnie, ponieważ spodziewa się, że wydobędę prawdę na jaw. Uczynię więc wszystko, co jest w mej mocy. — Następnie zapytał spokojnie: — A jakiej pomocy chce pan od panny Marple?

— Trzeba przesłuchać kilka młodych dziewcząt, harcerek. Wybraliśmy około pół tuzina najbliższych przyjaciółek Pameli Reeves. Może one coś wiedzą. Widzi pan, zastanawiam się nad tym, jeżeli Pamela rzeczywiście szła do domu towarowego, niewykluczone, iż namawiała którąś z koleżanek, żeby jej towarzyszyła. Dziewczęta lubią robić sprunki w towarzystwie.

— Tak, to prawda.

— Wydaje mi się zatem, że cały ten dom towarowy był tylko pretekstem. Chcę się dowiedzieć, dokąd Pamela naprawdę poszła. Może wspomniała o tym którejś z koleżanek. Jeśliby tak było, to panna Marple potrafi wydobyć z nich prawdę. Trzeba przyznać, że zna się na psychologii młodych panien — w każdym razie lepiej niż ja. One zresztą bałyby się policji.

— Oczywiście. To właśnie taki problem z życia wsi, w którym się panna Marple doskonale orientuje. Ona ma bystry wzrok i bardzo czujny węch.

Superintendent uśmiechnął się.

— Ma pan rację. Nic nie ujdzie jej uwagi.

Panna Marple podniosła oczy, gdy się zbliżyli, i przywitała się z nimi serdecznie. Po wysłuchaniu prośby Harpera zgodziła się bez wahania.

— Bardzo chętnie panu pomogę, panie superintendencie, i może nawet rzeczywiście przydam się na coś. Doświadczenie zdobyłam w szkole niedzielnej, w stowarzyszeniach młodych dziewcząt, u naszych harcerek, w sierocińcu — należę do komitetu i nieraz rozmawiam z kierowniczką — no i w rozmowach ze służącymi — mam przeważnie młode służące. O tak, mam rzeczywiście duże doświadczenie i wiem od razu, czy dziewczyna mówi prawdę, czy też kłamie.

— Pani jest naprawdę ekspertem — uśmiechnął się sir Henry pod wąsem.
Panna Marple spojrzała nań z wyrzutem.

— Proszę się nie śmiać ze mnie!

— Ani mi to w głowie. Za dobrze panią znam!

— Tyle zła na świecie — szepnęła panna Marple.

— Wyjaśniłem jedno pytanie, zadane mi przez panią. Superintendent Harper powiedział mi, że w koszu na śmieci w pokoju Ruby Keene znaleziono obcięte paznokcie.

— Naprawdę?... To widocznie tak jest... — zauważyła panna Marple w zamyśleniu.

— Na co pani ta wiadomość? — zapytał Harper.

— A, to jeden ze szczegółów, które zwróciły moją uwagę podczas oglądania zwłok. Coś było nie w porządku z rękami. Najpierw nie wiedziałam, co to właściwie jest. Potem przyszło mi na myśl, że dziewczęta, które się tak jaskrawo malują, miewają też zazwyczaj bardzo długie paznokcie — jest to brzydki nawyk, trudny do odzwyczajenia. Często pomaga przy tym próżność. Bądź co bądź odniosłam wrażenie, że ta dziewczyna nie wyzbyła się tego zwyczaju. Potem dowiedziałam się od małego chłopczyka, że istotnie miała przedtem długie paznokcie. Złamała tylko jeden. Możliwie zatem, że obcięła również resztę, ażeby nie było różnicy. Pytałam się o obcięte paznokcie i dowiedziałam się, że znaleziono je.

Sir Henry zapytał:

— Powiedziała pani: jeden ze szczegółów, który zwrócił pani uwagę. Czy były jeszcze jakieś inne?

Panna Marple przytaknęła z zapalem.

— Ależ tak! Suknia była bardzo podejrzana.

Spojrzeli na nią z zaciekawieniem.

— Dlaczego? — zapytał sir Henry.

— To była stara suknia. Josie twierdziła to z całą stanowczością i sama się przekonałam, że była zniszczona i znoszona. To jest bardzo podejrzane.

— Nie rozumiem.

Panna Marple zarumieniła się lekko.

— No, przyjmujemy przecież, że Ruby Keene przebrała się i wyszła, żeby spotkać się z kimś, z tym, z kim „chodziła”, jak by powiedział mój siostrzeniec. Prawda?

Harper mrugnął okiem.

— Owszem, tak przypuszczamy. Przypuszczamy, że miała randkę z przyjacielem.

— Dlaczego wobec tego włożyła starą suknię?

Harper drapał się w zamyśleniu po głowie.

— Rozumiem, do czego pani zmierza. Pani zdaniem powinna włożyć nową suknię?

— No, naturalnie — najładniejszą, jaką miała. To taki już panieński zwyczaj.

— Dobrze, dobrze — wtrącił sir Henry — ale przypuśćmy, że ta randka miała się od-

być gdzieś na powietrzu. Ruby miała może jechać autem albo spacerować po jakichś bezdrożach. Szkoda byłoby na to nowej sukienki i wołała włożyć starą.

— Byłoby to bardzo rozsądne — przyznał Harper.

Panna Marple zwróciła się do niego. Była bardzo ożywiona.

— Najrozsądniej byłoby włożyć spodnie i pulower albo sportową sukienkę. Tak postąpiłaby — proszę mnie nie uważać za snobkę, ale nie umiem tego inaczej nazwać — tak postąpiłaby niewątpliwie dziewczyna z naszej sfery. Dobrze wychowanej panie — ciągnęła panna Marple dalej, rozkoszując się najwidoczniej tematem — zależy zawsze na tym, aby być ubraną odpowiednio do każdej sytuacji. To znaczy, choćby nie wiem jaki upał, dobrze ubrana panna nie pójdzie w jedwabnej sukience na randkę.

— A jak należy być ubranym na spotkanie z wielbicielem? — zapytał sir Henry.

— Jeśli spotkanie ma się odbyć w obrębie hotelu lub gdzie indziej, gdzie obowiązuje stroje wieczorowe, włoży oczywiście najładniejszą suknię wieczorową. Ale wie dobrze, że na powietrzu ośmieszy się w sukni wieczorowej i dlatego włoży szykowną suknię sportową.

— Zgoda, jeśli chodzi o pannę z towarzystwa. Ale ta mała Ruby...

— Naturalnie — przerwała panna Marple. — Prawdę powiedziawszy, Ruby bynajmniej nie należała do tak zwanego towarzystwa. Należała do dziewcząt, które wkładają najładniejszą sukienkę, chociażby pasowała do danej okazji jak pięść do nosa. Zeszłego roku urządziliśmy piknik na skałach Scrantoru. Nie uwierzyłby pan, jakie niestosowne stroje tam widziałam. Jedwabne sukienki i sportowe obuwie. Niektóre panny miały okropne kapelusze. A młodzi ludzie w ubraniach odświętnych! Na wspinaczkę po skałach i zaroślach!

— Pani zatem sądzi, że Ruby Keene...

— Sądzę, że zostałaaby w sukni, którą miała tego wieczoru na sobie — w najlepszej różowej sukni. Przebrałaby się tylko w tym wypadku, gdyby miała jeszcze jakąś nowszą.

— A czym pani to tłumaczy?

— Tego nie wiem — jeszcze nie wiem. Ale wydaje mi się to ważnym szczegółem...

III

Raymond Starr skończył lekcje na korcie.

Otyła niewiasta w średnim wieku wydała pomruk zadowolenia i podniósłszy niebieski sweter z kortu, oddaliła się w kierunku hotelu.

Raymond pożegnał ją jakimś żartobliwym powiedzonkiem. Potem zwrócił się ku ławce, na której siedziało troje widzów. Siatka z piłkami kołysała się w jego ręce. Rakiętę wsunął pod pachę. Wesoły uśmiech zniknął z jego twarzy. Miał minę smutną i zmę-

czoną.

Idąc ku ławce, zawołał:

— Chwała Bogu, koniec!

Znowu zajaśniał uśmiech, uroczy, chłopięcy uśmiech, który tak harmonizował z jego opaloną twarzą i hiszpańskim wdziękiem.

Sir Henry zastanawiał się, ile też lat liczy sobie trener tenisowy. Dwadzieścia pięć, trzydzieści, trzydzieści pięć? Trudno było odgadnąć.

Raymond pokiwał głową.

— Ta kobieta nigdy nie nauczy się grać w tenisa!

— To pana chyba strasznie nudzi — odezwała się panna Marple.

Raymond przyznał z prostotą:

— Owszem, tak. Zwłaszcza pod koniec sezonu. Jakiś czas cieszy jeszcze myśl o zarobku, ale nawet i to w końcu spowszednieje.

Superintendent Harper podniósł się. Zwrócił się do panny Marple:

— Odszukam panią za pół godziny, jeśli pani pozwoli.

— Doskonale, proszę bardzo. Zaczekam na pana.

Harper oddalił się. Raymond odprowadził go wzrokiem. Potem zapytał:

— Czy mogę chwilę usiąść z państwem?

— Ależ prosimy. — Sir Henry poczęstował go papierosem. — Czy pan pali?

Raymond sięgnął po papierosa. Sir Henry dziwił się swojemu uprzedzeniu w stosunku do Raymonda. Czy to tylko dlatego, że Raymond był trenerem tenisowym i zawodowym tancerzem? Jeśli tak, to w każdym razie była to wina tańca, a nie tenisa. Anglik odnosi się nieufnie do każdego, kto za dobrze tańczy, myślał sir Henry. Chłopak ma stanowczo za dużo wdzięku! Raymond... Ramon... jakże mu tam? Nagle zapytał go o nazwisko.

Raymonda rozbawiło to pytanie.

— Ramon to mój pierwotny pseudonim artystyczny. Ramon i Josie — to tak z hiszpańska, prawda? Potem przyszła fala niechęci do cudzoziemców i nazwałem się Raymond. Z angielska.

— A jak brzmi pańskie prawdziwe nazwisko? — dopytywała się panna Marple.

Uśmiechnął się do niej.

— W rzeczywistości nazywam się Ramon. Moja babka była Argentyнкą... — (Stąd te giętkie biodra, pomyślał sir Henry.) — Ale na pierwsze imię mam Tomasz. Okropnie prozaiczne imię.

Zwrócił się do Clitheringa.

— O ile mi wiadomo, pochodzi pan z Devonshire? Ze Stane? Tam mieszkała moja rodzina. Na Almonston.

Twarz Clitheringa rozjaśniła się.

— Pan jest Starrem z Almonston? Tego nie wiedziałem.

— Wyobrażam sobie. — W jego głosie zadźwięczała gorycz.

Sir Henry próbował niezręcznie ratować sytuację:

— Miał pan... hm... miał pan zapewne pecha?

— Że trzeba było sprzedać nasz zamek, który był trzysta lat w posiadaniu naszej rodziny? Tak, to rzeczywiście pech. No cóż, my kończymy się dzisiaj. Sens i cel, który nasze istnienie kiedyś miało, przeżył się. Mój starszy brat jest w Nowym Jorku. Pracuje w firmie wydawniczej — dobrze mu się powodzi. Reszta rozproszyła się po świecie. Trudno dzisiaj znaleźć pracę, jeśli nie posiada się nic prócz dobrego wychowania! Czasem, przy odrobinie szczęścia, trafi się posada szefa przyjęć w hotelu. Na to wystarczy dobrze związany krawat i dobre maniery. Jediną posadą, którą udało mi się dostać, była posada sprzedawcy w sklepie instalacyjnym. Sprzedawałem tam śliczne wanny, fiolkowe i morelowe. Magazyn był ogromny. Nie byłem w stanie zapamiętać cen tych diabelnych wanien i nigdy nie znałem terminu dostawy. Wobec tego zwolniono mnie.

Jedyne, na czym się naprawdę znałem, to taniec i tenis. Zacząłem karierę w hotelu na Riwierze. Tam jest dobrze. Zarabiałem bardzo dużo. Ale zdarzyło mi się, że nie dosłyszałem wezwania pewnego starego pułkownika. Takiego starego, niebywale nadętego pułkownika. Udał się do dyrektora i ryczał na cały głos: „Gdzie jest żigolo? Chcę żigola! Żona i córka chcą zatańczyć. Gdzie ten żigolo się podział? Chcę żigola!”

Raymond ciągnął dalej:

— Może to śmieszne i nie ma się o co obrazić — ale byłem obrażony. Rzuciłem posadę. Przyjechałem tu. Zarobek mniejszy, ale przyjemniejsza praca. Udzielam lekcji tenisa głównie takim paniom, które nigdy w życiu nie nauczą się trzymać rakiety. No i tańczę z córkami zamożnych gości, wzgardzonymi przez innych danserów. No trudno, życie nie jest romanssem. Proszę wybaczyć, że nudziłem państwa historią o moim pechu!

Roześmiał się. Zęby zaświeciły bielą, a w kącikach oczu utworzyły się małe zmarszczki. Nagle znowu tryskał po prostu zdrowiem i radością życia!

— Bardzo mi miło rozmawiać z panem — zapewnił sir Henry. — I tak chciałem pomówić z panem.

— O Ruby Keene? Niestety, nie mogę panu służyć, niech mi pan wierzy. Nie wiem, kto ją zabił. W ogóle wiem o niej bardzo mało. Nie zaszczycała mnie swoim zaufaniem.

— Czy pan ją lubił? — dopytywała się panna Marple.

— Niespecjalnie. Ale też nie miałem powodu jej nie lubić.

W głosie jego dźwięczała obojętność.

— Nie ma pan żadnych przypuszczeń? — zapytał sir Henry.

— Niestety nie... Powiedziałbym Harperowi, gdybym miał jakieś podejrzenie. To taka dziwna rzecz: pospolita, podła, niepojęta zbrodnia — i żadnych danych, żadnego

powodu!

— Dwie osoby miały powód — wtrąciła panna Marple.

Sir Henry spojrział na nią bystro.

— W istocie? — Raymond wydawał się zdziwiony.

Panna Marple wpatrywała się z uporem w Clitheringa, tak że oświadczył w końcu z niechęcią:

— Śmierć Ruby Keene dopomoże prawdopodobnie pani Jefferson i Gaskellowi w uzyskaniu pięćdziesięciu tysięcy funtów.

— Co? — Raymond miał szczerze przerażoną minę, mało powiedzieć przerażoną, osłupiałą. — Ależ to szaleństwo, oczywiste szaleństwo! Pani Jefferson... nikt z nich nie może mieć nic wspólnego z tą sprawą! Sama myśl o tym jest absurdem!

Panna Marple chrząknęła, po czym mruknęła:

— Obawiam się, że pan jest wielkim idealistą.

— Ja? — Roześmiał się. — Nic podobnego! Jestem zagorzałym cynikiem!

— Pieniądz... — panna Marple zapatrzyła się przed siebie — pieniądz jest potężnym motorem czynu.

— Może — wykrzyknął Raymond zapalczywie — ale żeby któreś z nich z zimną krwią zamordowało dziewczynę... — Potrząsnął głową. Wstał. — Oto nadchodzi pani Jefferson. Ma teraz lekcję. Spóźniła się — w jego głosie brzmiało rozbawienie — o całe dziesięć minut.

Adelajda Jefferson i Hugo McLean szybko schodzili ścieżką.

Adelajda usprawiedliwiła się z uśmiechem z powodu spóźnienia i udała się z Raymondem na kort. McLean usiadł na ławce. Po uprzejmym zapytaniu, czy pannie Marple dym nie szkodzi, zapalił fajkę. Chwilę palił w milczeniu, obserwując niechętnym okiem graczy na korcie.

W końcu odezwał się:

— Nie rozumiem, po co Addie bierze lekcje tenisa. Zagrać parę setów, owszem, to rozumiem. Ale po co zaraz brać lekcje?

— Pewno, aby poprawić styl gry — wysunął przypuszczenie sir Henry.

— Ona gra nieźle — zapalił się Hugo — w każdym razie na jej potrzeby wystarczy. Do licha, chyba nie chce grać na turnieju w Wimbledonie!

Umilkł na chwilę. Potem znowu zaczął:

— Kto to właściwie jest ten Raymond? Jakiego rodzaju ludźmi są tacy zawodowcy? Ten wygląda jak awanturnik.

— To Starr z Devonshire — objaśnił sir Henry.

— Co? Czy to możliwe?

Clithering skinął głową. Ta nowina sprawiła najwidoczniej niemiłe wrażenie na Hugonie. Sposępniał jeszcze bardziej i mruknął:

— Chciałbym wiedzieć, po co mnie Addie wezwała. Nie przejmuję się zbytnio tym całym morderstwem! Nigdy jeszcze nie wyglądała tak kwitnąco. Po co mnie wezwała?

— Kiedy wezwała pana? — dopytywał się sir Henry z ciekawością.

— Ach... hm... gdy się to wydało.

— W jaki sposób zawiadomiono pana? Telefonicznie czy telegraficznie?

— Telegraficznie.

— Pytam jedynie z ciekawości. Kiedy nadano depeszę?

— Hm... nie wiem.

— O której godzinie ją pan otrzymał?

— Właściwie wcale jej nie dostałem. Przetelefonowano mi ją — tak, tak to było.

— Tak? A gdzie pan wtedy był?

— Wyjechałem z Londynu wczoraj i byłem w Danebury Head.

— Co — tak blisko stąd?

— Tak, zabawne, co? Wracając właśnie z golfa, dostałem wiadomość od Addie i oczywiście przyjechałem zaraz.

Panna Marple przyglądała mu się w zamyśleniu. Wydawał się zdyszany i wyglądało, że się nieswojo czuje. Odezwała się:

— Słyszałam, że bardzo ładnie w Danebury Head i niedrogo.

— Tak, wcale niedrogo. Nie mógłbym sobie pozwolić na pobyt tam, gdyby było drogo. Bardzo tam ładnie i miło.

— Musimy się tam wybrać w najbliższej przyszłości — zaproponowała panna Marple.

— Co? Jak? Ach, tak... naturalnie. — Hugo wstał.

— Muszę się trochę przejść... nabiorę lepszego apetytu.

Oddalił się sztywnym krokiem.

Sir Henry odprowadził go wzrokiem.

— Czemu kobiety zawsze tak źle traktują swoich najwierniejszych wielbicieli...

Panna Marple uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała nic.

— Uważa pani, że jest bardzo nudny? — zapytał sir Henry. — Ciekaw jestem zdania pani o nim.

— Może trochę ograniczony w swoich zapatrywaniach — odparła panna Marple.

— Ale ma możliwości, och, nieograniczone możliwości.

Teraz sir Henry wstał.

— Muszę iść. Jak widzę, nadchodzi pani Bantry.

IV

Pani Bantry nadeszła bez tchu i usiadła z westchnieniem koło panny Marple.

— Mówiłam z pokojówkami. Ale nic z tego nie wyszło. Nie dowiedziałam się niczego nowego. Czy myślisz, że jest możliwe, żeby ta dziewczyna miała jakieś znajomości i żeby nikt w hotelu o tym nie wiedział?

— To bardzo trudne pytanie, kochana Dolly. Zaprzeczyłabym stanowczo. Ktoś o tym wie, tego możesz być pewna, jeżeli to w ogóle prawda z tym przyjacielem! W każdym razie była niezwykle ostrożna.

Uwaga pani Bantry skierowała się na kort tenisowy.

— Addie gra z dnia na dzień lepiej — pochwaliła. — Ładny chłopak z tego trenera. Addie też wcale ładnie wygląda. Jest ciągle jeszcze ponętna — nie dziwiłabym się, gdyby znowu wyszła za męża.

— Będzie też zamożna, gdy jej teść umrze.

— Ach, nie mów zawsze tak brzydko, Jane! A poza tym, dlaczego nie rozwiązałaś do tej pory zagadki? W ogóle nie posuwamy się naprzód. Myślałam, że o d r a z u będziesz wszystko wiedziała.

Pani Bantry spojrzała z wymówką na przyjaciółkę. Panna Marple odparła:

— Nie, nie, kochanie. Nie wiedziałam wszystkiego od razu, dopiero po chwili się dowiedziałam.

Pani Bantry osłupiała.

— Czy ty może wiesz, kto zamordował Ruby Keene?

— Oczywiście, że wiem.

— Na miłość Boską, Jane, kto? Powiedz, kto?

Panna Marple potrząsnęła gwałtownie głową.

— Strasznie mi przykro, Dolly, ale to byłoby najgłupsze posunięcie z mej strony.

— Dlaczego?

— Dlatego, że nie dochowałabyś tajemnicy. Obeszłabyś wszystkich z tą nowiną, a choćbyś tego nie robiła, robiłabyś rozmaite aluzje.

— Nie, .na pewno nie, będę milczała jak grób.

— Kto tak mówi, postępuje zawsze inaczej. Nie ma rady, kochana, musisz uzbroić się w cierpliwość. Czeka nas jeszcze dużo pracy. Niejedno jeszcze jest nie wyjaśnione. Czy przypominasz sobie, jak sprzeciwiałam się, żeby pani Partridge kwestowała na rzecz Czerwonego Krzyża? Nie umiałam powiedzieć, dlaczego. Nosem ruszała tak samo jak moja służąca Alice, gdy posyłałam ją do czytelnicy, aby zapłaciła za książki. Wpłacała zawsze o dwa szylingi mniej i kazała zaległość wpisać na poczet następnego tygodnia. Tak samo postąpiła pani Partridge. Tylko że chodziło o kwotę o wiele większą. Zdefraudo-

wała siedemdziesiąt pięć funtów.

— Ale teraz nie mówimy o pani Partridge.

— Oczywiście, lecz musiałam ci to wytłumaczyć. Jeśli chcesz, to wtajemniczę cię choć trochę. Cała trudność tej sprawy polega na tym, że wszyscy byli nazbyt łatwowierni. Nie można sobie na to pozwolić, aby wierzyć we wszystko, co ludzie mówią. Jeśli coś nie jest w porządku, to z zasady nie dowierzam nikomu. Znam po prostu naturę ludzką za dobrze.

Pani Bantry milczała chwilę, po czym zaczęła zmienionym tonem:

— Powiedziałam ci, że nie widzę powodu, dla którego ta historia nie miałaby mi sprawić pewnej przyjemności. Prawdziwe morderstwo w moim domu! Rzecz, która nie powtórzy się już nigdy!

— Miejmy nadzieję, że nie! — wtrąciła panna Marple.

— Oczywiście, że nie! Wystarczy raz. Ale to moje morderstwo, Jane, i ja chcę mieć tę przyjemność.

Panna Marple spojrzała na nią.

— Nie wierzysz mi? — wykrzyknęła pani Bantry zaczepnie.

— Ależ wierzę, Dolly, skoro tak mówisz — przytaknęła panna Marple skwapliwie.

— Sama powiedziałaś, że nigdy nie wierzysz w to, co się mówi. Przecież chwilę temu tak mi powiedziałaś. Właściwie masz rację. — Ton jej nabrał nagle goryczy. — Ja nie jestem taka głupia, jak wyglądam. Może myślisz, że nie wiem, co mówią w St. Mary Mead — i nie tylko tam, ale w całej okolicy. Wszyscy mówią, że nie ma dymu bez ognia. Skoro tancerkę znaleziono w bibliotece Artura, musi o tym coś wiedzieć. Mówią, że była jego kochanką, nieślubną córką, że szantażowała go. Ludzie mówią po prostu wszystko, co im ślina na język przyniesie! I to będzie zataczać coraz dalsze kręgi! Z początku Artur nie zauważył niczego, nie zorientuje się w sytuacji. To taki kochany, poczciwy głuptas, przez myśl mu nie przejdzie, że ludzie mogą posądzać go o coś takiego. Zaczną stronić od niego i nim gardzić. Powoli spostrzeże się, wystraszy i głęboko urażony zaszyje się jak ślimak w skorupie. Będzie cierpiał...

Tylko dlatego, że go to czeka, przyjechałam tu, aby się wszystkiego dowiedzieć. Tę sprawę trzeba koniecznie wyjaśnić. Jeśli się to nie uda, Artur jest skończony, a do tego nie chcę dopuścić. Nie chcę! Nie chcę!

Przerwała na chwilę, po czym dokończyła:

— Nie zgodzę się, aby mój zacny, dobry mąż znosił piekło z powodu zbrodni, której nie popełnił. Oto jedyna przyczyna, dla której przyjechałam do Danemouth, zostawiając go w domu. Chcę wydobyć prawdę.

— Wiem, kochanie — uśmiechnęła się panna Marple. — Po to i ja tu przyjechałam.

Rozdział czternasty

I

W odosobnionym pokoju hotelowym Edwards słuchał z szacunkiem wywodów Clitheringa.

— Najpierw chciałbym wam zadać kilka pytań. Ale przedtem muszę wam wyjaśnić, w jakim charakterze tu jestem. Byłem dawniej szefem policji Scotland Yardu. Obecnie jestem na emeryturze. Po nieszczęściu wasz pan wezwał mnie. Prosił, abym swoimi zdolnościami i doświadczeniem dopomógł w wykryciu zbrodni.

Przerwał. Bezbarwne inteligentne oczy Edwardsa patrzyły uważnie na Clitheringa. Skłonił się.

— Rozumiem, proszę pana.

Sir Henry ciągnął powoli życzliwym tonem:

— We wszystkich wypadkach kryminalnych spotykamy się z konieczności zawsze z wieloma faktami, które się zataja. Dzieje się to z przyczyn najrozmaitszych: ponieważ są związane ze sprawami rodzinnymi, ponieważ nie przypisuje się im doniosłości lub są krępujące albo przykre dla osób zainteresowanych.

— Rozumiem pana — skłonił się Edwards powtórnie.

— Mam wrażenie, że orientujecie się już w najważniejszych szczegółach. Zamordowana miała zostać przybraną córką waszego pana. Dwie osoby były zainteresowane w tym, aby do tego nie doszło: pan Gaskell i pani Jefferson.

Oczy kamerdynera błysnęły.

— Czy są podejrzani?

— Wam chodzi o to, czy istnieje obawa, że zostaną zaaresztowani? To nie. Ale w oczach policji są podejrzani i będą nimi, dopóki sprawa się nie wyjaśni.

— Przykra sytuacja dla nich.

— Bardzo przykra. Chcąc wydobyć prawdę, trzeba znać wszystkie fakty. Oczywiście wiele zależy od słów i postępowania pana Jeffersona i jego rodziny. Co czuli, co okazy-

wali, co mówili? Żądam od was informacji intymnych, które tylko wy mi możecie dać. Znacnie wszystkie nastroje pana. Dzięki długoletniej obserwacji wiecie zapewne też, co te nastroje wywołuje. Stawiam te pytania nie jako detektyw, lecz jako przyjaciel pana Jeffersona. To znaczy: jeśli powiecie mi coś, co moim zdaniem nie ma najmniejszego związku ze zbrodnią, nie powtórzę tego policji.

Umilkł. Edwards odezwał się szeptem:

— Rozumiem. Pan chce, żebym mówił szczerze, żebym mówił o rzeczach, których bym kiedy indziej nie powiedział nikomu i których — pan wybaczy — pan by kiedy indziej też nie chciał słuchać.

Zastanawiał się chwilę, po czym zaczął opowiadać:

— Znam pana Jeffersona naturalnie bardzo dobrze. Jestem kilkanaście lat u niego. Widuję go również w złym nastroju, nie tylko w dobrym. Zastanawiam się niekiedy, czy to dobrze tak walczyć z losem, jak walczy pan Jefferson. Wymaga to szalonego wysiłku. Gdyby mógł sobie od czasu do czasu pofolgować i być po prostu nieszczęśliwym, samotnym, załamany starcem, może byłoby to lepiej dla niego. Ale na to jest zbyt ambitny! Chce zginąć w boju, takie jego hasło!

Takie nastawienie prowadzi do zaburzeń nerwowych. Pan Jefferson robi wrażenie człowieka spokojnego. Lecz widziałem go już w stanie takiej pasji, że nie mógł słowa wydobyć, a jedyna rzecz, która potrafi go wprowadzić w taką pasję — to fałsz.

— Czy mówicie to z jakąś myślą?

— Owszem. Chciał pan, abym mówił zupełnie szczerze?

— Oczywiście.

— Muszę zatem przyznać, że ta młoda osoba nie zasługiwała na zainteresowanie pana Jeffersona. Mówiąc po prostu, była to ordynarna naciągaczka. Nie zależało jej ani trochę na panu Jeffersonie. Cała komedia miłości i wdzięczności była fałszem. Nie upieram się, że była wprost zdeprawowana, ale daleko jej było do tego, za co ją pan uważał. To było bardzo dziwne, bo pan Jefferson jest mądry. Rzadko się myli co do ludzi. Ale tak bywa; gdy chodzi o dziewczynę, człowiek traci jasność spojrzenia. Zawsze uważał, że synowa go bardzo lubi. Tego lata się zmieniła. Spozrzegł to i bolał nad tym. Lubił ją szczerze. Pana Marka nie znosi.

— A jednak chce, żeby stale z nim przebywał? — wtrącił sir Henry.

— Tak ale tylko z powodu panny Rosamundy. Przepraszam, pani Gaskell, chciałem powiedzieć. Córka była jego oczkiem w głowie. Ubóstwiał ją. Pan Mark był jej mężem i za takiego go pan zawsze uważał.

— A co by się stało, gdyby pan Gaskell ożenił się powtórnie?

— Nasz pan by mu tego nigdy nie wybaczył.

— Aż tak? — zdziwił się sir Henry.

— Nie okazywałby tego, ale nie wybaczyłby nigdy.

— A gdyby pani Jefferson ponownie wyszła za mąż?

— To by mu się też nie podobało.

— Proszę mówić dalej.

— Skończyłem na tym, że pan wpadł w sidła tej młodej osoby. Widywałem to nieraz u moich panów. To przychodzi na człowieka jak choroba. Chce pomóc biednej dziewczynie, opiekować się nią i zasypywać ją dobrodziejstwami. Na dziesięć takich pań dziewczęć potrafi się doskonale maskować i zręcznie wyzyskiwać sytuację.

— Sądzicie zatem, że Ruby Keene była osobą przebiegłą?

— Cóż, nie miała jeszcze doświadczenia, gdyż była bardzo młoda. Ale z biegiem lat wyrosłaby na pewno na niezwykle przebiegłą, wyrachowaną kokotę. Jeszcze z pięć lat, a wyuczyłaby się rzemiosła dokładnie!

— Miło mi poznać wasze zdanie, Edwards. To bardzo cenne. A czy pamiętacie może jakąś rozmowę, w której poruszano by ten temat?

— Owszem, odbyła się taka mała dyskusja. Pan Jefferson zaznajomił ich ze swoim zamiarem, nie dopuszczając do jakiegokolwiek sprzeciwu. To znaczy, kazał zamilknąć panu Gaskellowi, który wyraził się o tym dość dosadnie... Pani Jefferson nie mówiła wiele — to spokojna osoba — prosiła tylko, aby teść wszystko dobrze rozważył.

Sir Henry skinął głową.

— Poza tym nic? A jak zachowała się tancerka?

Kamerdyner stwierdził z odrazą:

— Można powiedzieć, że po prostu szalała z radości.

— Aha, szalała z radości, doprawdy? A nie mieliście wrażenia, że... — sir Henry szukał wyrażenia, które nie raniłoby wrażliwych uszu Edwardsa — że... że uczuciowo była gdzie indziej związana?

— Mój pan nie chciał się z nią żenić. Chciał ją tylko zaadoptować.

— Pomińmy słówko „gdzie indziej”! Czy była uczuciowo związana z kimś innym?

Edwards przyznał z wahaniem:

— Był taki drobny szczegół... przypadkiem byłem świadkiem...

— To bardzo ciekawe. Proszę opowiedzieć.

— Prawdopodobnie to drobiazg. Pewnego dnia otworzyła torebkę i wypadła z niej fotografia. Pan mój chwycił ją i zapytał: „Słuchaj, dziecko, kto to jest?”

Była to fotografia młodego bruneta o rozczochranych włosach i niedbale zawiązanym krawacie. Panna Keene twierdziła, że nie ma pojęcia, czyja to fotografia. „Nie wiem, Jeffie, to dla mnie zagadka, skąd się wzięła w torebce. Ja jej w każdym razie nie włożyłam!”

— Cóż, pan Jefferson był jeszcze przy zdrowych zmysłach. Wymówka była zbyt przejrzysta. Spochmurniał. Zmarszczył się i powiedział szorstkim głosem: „No dalej, dalej, dziecko, wiesz doskonale, kto to jest!”

— Natychmiast zmieniła sposób obrony. Przybrała wystraszony wyraz twarzy. „Teraz poznaję go. Przyjeżdża tu czasem do nas. Tańczyłam z nim. Nie wiem, jak się nazywa. Idiota, pewno wsadził mi swoją fotografię do torebki. Mężczyźni są tacy głupi!” Potrząsnęła głową, zachichotała i zmieniła temat rozmowy. Ale ta cała historia wyglądała nieprawdopodobnie. Zdaje się, że również mój pan stracił wtedy zaufanie do niej. Przyglądał jej się nieraz badawczo, a gdy wracała skądś, pytał, co robiła.

— Czy nie wiecie, kogo ta fotografia przedstawiała?

— Nie wiem. Bardzo rzadko przebywam na dole.

Sir Henry zadał mu jeszcze kilka pytań, ale Edwards nie miał nic ciekawego do powiedzenia.

II

Superintendent Harper przesłuchiwał na posterunku policji Jessie Davis, Florence Smali, Beatrice Henniker, Mary Price i Lilian Ridgeway.

Wszystkie te dziewczęta były mniej więcej w równym wieku i różniły się jedynie usposobieniem. Niektóre były „ze szlachty”, inne zaś pochodziły z rodzin kupieckich i chłopskich. Wszystkie mówiły to samo. Pamela Reeves zachowywała się jak zawsze. Wszystkim koleżankom oznajmiła, że będzie w domu towarowym i pojedzie późniejszym autobusem.

W rogu kancelarii Harpera siedziała jakaś starsza osoba. Dziewczęta jej prawie nie widziały. Jeśli któraś ją zauważyła, zastanowiła się zapewne, kto to może być. Nie wyglądała na urzędniczkę policji. Sądziły, że to pewnie taki sam świadek jak i one.

W tej chwili odeszła ostatnia koleżanka Pameli. Harper otarł czoło i oglądał się za panną Marple. Wzrok jego był pytający, ale nie tała się w nim jakaś specjalna nadzieja.

Panna Marple jednak powiedziała krótko:

— Chciałabym mówić z Florence Small.

Harper podniósł brwi ze zdumieniem. Skinął głową i przycisnął dzwonek. Zjawił się policjant.

Superintendent rozkazał:

— Florence Small.

Policjant przyprowadził znowu wymienioną dziewczynę.

Była to córka zamożnego gospodarza — duża dziewczyna o jasnych włosach, dziecińczych ustach i wystraszonych ciemnych oczach.

Złożyła dłonie. Wydawała się zdenerwowana.

Superintendent Harper spojrzał na pannę Marple, która skinęła tylko głową.

Wstał i zwrócił się do Florence:

— Ta pani zada pani kilka pytań.

Potem wyszedł i zamknął drzwi za sobą.

Florence spojrzała nieśmiało na pannę Marple. Oczy jej przypominały oczy cielęcica.

Panna Marple odezwała się:

— Siadaj, Florence.

Florence Small usiadła posłusznie. Bezwiednie poczuła się nagle spokojniejsza i jakby u siebie w domu. Obca, przerażająca atmosfera posterunku policji ustąpiła nagle bardziej swojskiej atmosferze. Była przyzwyczajona do rozkazującego tonu osób starszych. Przypominało jej to dom i szkołę. Panna Marple ciągnęła dalej:

— Rozumiesz chyba, jakie to dla nas ważne dowiedzieć się wszystkiego, co biedna Pamela robiła w dzień śmierci?

Florence szepnęła, że rozumie to doskonale.

— Jestem przekonana, że uczynisz wszystko, aby nam dopomóc?

Oczy Florence nabrały czujnego wyrazu. Odparła, że uczyni wszystko, co jest w jej mocy.

— Jeśli zataisz coś, będzie to wielką krzywdą dla Pameli.

Dziewczyna splotła nerwowo dłonie i przełknęła ślinę.

— Nie będę cię ganić — ciągnęła panna Marple — ponieważ jesteś bardzo zdenerwowana przesłuchaniem na policji. Boisz się też, że będziemy mieć pretensje do ciebie, iż nie opowiedziałaś od razu wszystkiego. Prawdopodobnie też boisz się wymówek, że nie powstrzymałaś Pameli. Ale teraz musisz być posłuszna i musisz mówić prawdę. Jeśli nie powiesz wszystkiego, co wiesz, to będzie niedobrze, bardzo niedobrze. Można to nawet nazwać krzywoprzysięstwem i może będziesz zaaresztowana za to.

— Ja... ja nie wiem...

Panna Marple przerwała jej szorstko:

— Bez wykrętów! W tej chwili powiedz prawdę! Pamela nie szła do domu towarowego, prawda?

Florence pośliniła wyschnięte wargi językiem i spoglądała na pannę Marple błagalnie jak zarzynane cielę.

— Ta sprawa ma coś wspólnego z filmem, prawda? — indagowała panna Marple.

Niesłychana ulga i głębokie zdumienie odbiły się na twarzy Florence. Wreszcie pokonała wewnętrzne hamulce.

— Ach, tak! — wyszeptała.

— Tak przypuszczałam. Teraz powiedz mi wszystkie szczegóły.

Słowa popłynęły teraz jak lawina:

— Ach! Jak ja się bałam! Przysięgałam przeciw Pameli, że nikomu o tym nie powiem. Gdy ją znaleźli spaloną w samochodzie... och! To było straszne. Myślałam, że umrę...

zdawało mi się, że to moja wina. Powinnam ją była zatrzymać, ale przecież nie myślałam... ani przez chwilę nie myślałam, że to jakiś podstęp. Zapytano mnie, czy była tego dnia taka jak zawsze, i powiedziałam tak, zanim jeszcze zdążyłam się zastanowić. I ponieważ wtedy nic nie powiedziałam, nie wiedziałam, jak potem zacząć. W końcu nic takiego nie wiem... nic istotnego... tylko to, co mi Pamela mówiła.

— Co ci Pamela mówiła?

— Szliśmy właśnie do autobusu, aby jechać na zebranie. Zapytała mnie, czy umiem dochować tajemnicy. Powiedziałam: „tak”. Kazała mi przysiąc, że nie powiem nikomu. Chciała po zebraniu pójść do Danemouth i dać sobie zrobić próbne zdjęcie do filmu. Poznała jakiegoś reżysera filmowego, który wrócił z Hollywood. Potrzeba mu było pewnego specjalnego typu i powiedział Pamelę, że ona właśnie jest tym typem. Inna rzecz, że ostrzegł ją, iż nie jest tego pewny. Nigdy nie wiadomo, czy ktoś nada się do filmu, dopóki się nie wie, czy ta osoba jest fotogeniczna. Jest to rola dla typu Elżbiety Bergner, mówił. Potrzeba do tego bardzo młodej dziewczyny. Jest to historia uczennicy, która zamienia się rolami z gwiazdą rewiową i robi fantastyczną karierę. Pamela brała już nieraz udział w przedstawieniach szkolnych — była bardzo zdolna. Powiedział jej, że na pewno potrafi zagrać, ale musi jeszcze popracować nad sobą. Nie będą to same miody, lecz ciężka praca. I czy ma dosyć zapału?

Florence Small przerwała, aby zaczerpnąć tchu.

Pannie Marple zbierało się niemal na mdłości przy słuchaniu tego steku melodramatycznych bredni. Na pewno rodzice przestrzegali Pamelę przed rozmową z nieznanymi, jednak urok filmu sprawił, że zapomniała o wszystkim innym.

— Mówił jak o interesie — ciągnęła Florence dalej. — Powiedział, że jeżeli zdjęcia próbne się udadzą, zawrze z nią kontrakt. Ponieważ jest tak młoda, niedoświadczona, radził jej, żeby pokazała kontrakt adwokatowi, zanim go podpisze. Ale niech nie mówi nikomu, że to on jej tak doradził. Następnie zapytał, czy rodzice się nie sprzeciwią, a Pamela powiedziała na to, że pewno tak, a on znowu: „Tak, rodzice zwykle się sprzeciwiają, z tym trzeba się liczyć, gdy ktoś jest tak młody jak pani. Ale sądzę, że gdy się im wytłumaczy, co to za nadzwyczajna szansa, okazja jedna na milion, nabiorą chyba rozumu!” Ale dodał, że wobec tego nie ma sensu wspominać o tym, dopóki nie zrobi się próbnymi zdjęć. I żeby nie była rozczarowana, jeśli się nie uda. Opowiadał jej o Hollywood i o Vivien Leigh — jak zdobyła Londyn szturmem — i jak często się zdarza, że gwiazda od razu zasłynie. Sam wrócił z Ameryki, aby współpracować z Brytyjskim Towarzystwem Filmowym i rozruszać angielską produkcję filmową.

Panna Marple kiwnęła głową.

Florence mówiła dalej:

— Umówili się zatem. Pamela miała po zebraniu harcerskim udać się do Danemouth i spotkać się z nim w hotelu, a on miał ją zabrać do pracowni filmowej. Mówił, że

wytwórnia filmowa ma małą pracownię w Danemouth. Zrobią zdjęcia próbne i wróci ostatnim autobusem do domu. Rodzicom powie, że była na zakupach. Za kilka dni poda jej wynik, a jeśli będzie pozytywny, dyrektor wytwórni, pan Harmsteiter, pomówi z jej rodzicami.

Ach, to wszystko brzmiało tak cudownie! Zzieleniałam z zazdrości. Pamela uczestniczyła w zebraniu jakby nigdy nic. Umiała panować nad sobą. Kiedy po zakończeniu zebrania powiedziała koleżankom, że idzie do Danemouth do magazynu, mrugnęła tylko na mnie.

Długo patrzyłam za nią. — Florence wybuchnęła płaczem. — Powinnam ją była zatrzymać! Powinnam była wiedzieć, że to nie może być prawda. Powinnam była komuś powiedzieć o tym. Och, Boże, wolałabym nie żyć!

— No, no — panna Marple poklepała dziewczynę po ramieniu — już dobrze. Nikt nie będzie miał pretensji do ciebie. Dobrze, że powiedziałaś mi wszystko.

Trwało dobrą chwilę, zanim pocieszyła biedaczkę.

Potem opowiedziała wszystko Harperowi. Superintendent zmienił się na twarzy.

— Co za przebiegły szatan! — Zgrzytnął zębami. — Na Boga, ale ja mu pokażę! Teraz cała sprawa inaczej wygląda.

— Oczywiście.

Harper spojrział na pannę Marple z ukosa.

— Pani się nie dziwi?

— Spodziewałam się czegoś podobnego.

Superintendent wypytywał z zaciekawieniem:

— Jak pani wpadła właśnie na tę dziewczynę? Wszystkie były jednakowo wystraszone i podobne do siebie jak dwie krople wody.

Panna Marple wyjaśniła z miłym uśmiechem:

— Pan nie ma takiego doświadczenia z zakłamanymi pannami jak ja. Florence patrzyła panu prosto w oczy, jeżeli pan sobie przypomina, i trzymała się bardzo prosto, przebijając nogami tak samo jak reszta. Jednak nie obserwował jej pan, kiedy wychodziła. Wiedziałam od razu, że coś zataiła. Takie małe kłamczuchy odetchną prawie zawsze za wcześnie. Moja służąca też tak robiła. Twierdziła z całym przekonaniem, że myszy zjadły resztę babki, a gdy wychodziła z pokoju, zdradziła się zadowolonym uśmiechem.

— Jestem pani szalenie wdzięczny — zapewnił superintendent Harper. W zamyśleniu dodał: — Brytyjskie Towarzystwo Filmowe... hm... ?

Panna Marple nie odpowiedziała nic, Wstała.

— Muszę się pospieszyć. Cieszę się, że mogłam panu w czymś dopomóc.

— Wraca pani do hotelu?

— Tak, aby pakować manatki. Muszę jak najszybciej wrócić do St. Mary Mead. Tam czeka na mnie mnóstwo roboty.

Rozdział piętnasty

I

Panna Marple wyszła z domu. Porządnie wypracowaną ścieżką przeszła przez swój ogród, następnie przez furtkę w płocie do ogrodu pastora i pod okno jadalni, gdzie zapukała cichutko w szybę.

Pastor przygotowywał właśnie kazanie niedzielne, a jego młoda, ładna żona podziwiała w jadalni postępy swojego potomka, który raczkował po dywanie.

— Czy można?

— Proszę, niech pani wejdzie! Proszę spojrzeć na Dawidka! Jest wściekły, ponieważ umie raczkować tylko w tył. Chciałby się gdzieś dostać, a im więcej się sili, tym bardziej się cofa, prosto do wiaderka na węgle!

— Wygląda rozkosznie.

— Miły, prawda? — zapytała matka, siląc się przy tym na możliwie jak największą obojętność. — Naturalnie, nie przejmuję się nim zbytnio. Wszystkie podręczniki zalecają, aby dziecko zostawić w spokoju.

— To bardzo mądrze. Hm... przyszedłabym się pani zapytać, czy pani kwestuje w tej chwili na jakiś cel?

Pastorowa spojrzała na nią ze zdziwieniem.

— Ależ oczywiście, celów jest wielkie mnóstwo — odparła wesoło. U nas są zawsze jakieś zbiórki.

Wyliczyła je na palcach.

— Fundusz renowacji kościoła, misja św. Idziego, nasz bazar w przyszły piątek, „Nieślubne Matki”, wycieczka harcerska, Związek Robót Ręcznych i zbiórka na biednych polawiaczy ryb na morzach głębinowych.

— Wystarczy zupełnie jedna zbiórka. Chętnie kwestowałabym, gdyby mi pani udzieliła upoważnienia...

— Pani ma coś na myśli! Widzę to po pani oczach! Oczywiście, upoważniam pa-

nią. Niech pani weźmie nasz bazar! Byłoby cudownie dostać choć raz prawdziwe pieniądze zamiast odwiecznych saszetek, ponurych sukienek dzieciennych i lalek ze starych szmat.

— Przypuszczam — mówiła pastorowa dalej, odprowadzając gościa do drzwi — że nie ma pani ochoty mi powiedzieć, o co chodzi?

— Później, droga pani — przyrzekła panna Marple, żegnając się szybko.

Młoda matka wróciła z westchnieniem na dywan. Stosowała się do przepisu zalecającego pozostawienie dziecka w spokoju, łaskocząc synka po brzuszku. Synek złapał ją z drapieżnym błyskiem w oczach za włosy i szarpnął nimi. Oboje kulali się po dywanie, aż wtem otworzyły się drzwi i służąca wpuściła do pokoju najbrudniejszego członka parafii (który nie znosił dzieci).

— Oto pani pastorowa.

Wtedy młoda matka siadła na dywanie i spróbowała przybrać minę odpowiadającą godności pastorowej.

II

Panna Marple z książeczką w ręce, zawierającą nazwiska ofiarodawców, spieszyła gościńcem na skrzyżowanie dróg. Tam zwróciła się w lewo i mijając „Niebieskiego Niedźwiedzia”, doszła do „Chatsworth”, czyli „nowego domu pana Bookera”.

Weszła do ogrodu i zapukała do drzwi.

Otworzyła jej młoda niewiasta, Dinah Lee. Była mniej starannie wymalowana niż zazwyczaj i prawdę powiedziawszy, wyglądała trochę niechlujnie. Miała na sobie szare spodnie i szmaragdowy sweter.

— Dzień dobry — powiedziała panna Marple energicznie i wesoło. — Czy wolno wejść na chwilę?

Mówiąc te słowa, wepchnęła się przez drzwi, zanim Dinah Lee, zmieszana samym pojawieniem się takiego gościa, zdążyła jej w tym przeszkodzić.

— Bardzo dziękuję! — Panna Marple uśmiechnęła się promiennie do kobiety i usiadła ostrożnie na nowoczesnym krześle bambusowym.

— Ciepło jak na tę porę roku, prawda? — Panna Marple ciągle jeszcze promieniowała życzliwością i serdecznością.

— Owszem, tak, nawet bardzo — wyjąkała panna Lee.

Nie wiedząc, co robić, poczęstowała gościa papierosem.

— Bardzo dziękuję, ale nie palę. Przyszłam jedynie zapytać, czy nie zechciałaby pani czegoś ofiarować dla naszego bazaru misyjnego?

— Bazaru misyjnego? — powtórzyła panna Lee, jak gdyby to były słowa w obcym

języku.

— Na probostwie — wyjaśniła panna Marple — w przyszły piątek.

— Och! Niestety, nie...

— Może choć drobną ofiarę? Na przykład szylinga?

Panna Marple otworzyła książeczkę.

— Ach, tak, to może mogłabym.

Dinah Lee odwróciła się jakby z ulgą, grzebiąc w torebce.

Panna Marple zlustrowała tymczasem szybko pokój.

— O! Widzę, że nie ma pani dywanu przed kominkiem!

Dinah Lee odwróciła się, patrząc osłupiałym wzrokiem na pannę Marple. Nie uszło jej uwagi, że stara panna lustruje ją natrętnie i krytycznie. Napawało ją to lekką niechęcią. Panna Marple zauważyła to i ciągnęła dalej:

— To niebezpiecznie, wie pani. Mogą wypaść iskry i zniszczyć posadzkę.

„Zabawna stara wariatka” — pomyślała Dinah. Głośno powiedziała uprzejmie, choć tonem obojętnym:

— Dawniej był jakiś dywanik. Nie wiem, gdzie się podział.

— Pewno taki szorstki, wełniany...

— Nie, kozuch barani. Przynajmniej tak wyglądał. — Dinah była już rozbawiona. „Zupełnie pomyłona osoba!” Podała jej szylinga. — Proszę bardzo.

— O, bardzo dziękuję.

Panna Marple przyjęła pieniądze i otworzyła książeczkę.

— Przepraszam, kogo mam zapisać?

W oczach panny Lee pojawił się nagle wyraz niechętny i odpychający.

„Natrętna stara kocica — pomyślała — po to więc przyszła! Żeby wywęszyć jakiś skandal!”

Odpowiedziała głośno i ze złośliwą przyjemnością:

— Dinah Lee.

Stara panna spojrzała jej prosto w oczy.

— To jest willa pana Bazylego Blake’a, prawda?

— Tak. A ja jestem Dinah Lee!

Głos jej brzmiał wyzywająco, a gdy odrzuciła głowę, w niebieskich oczach pojawił się błysk.

Panna Marple ciągle jeszcze patrzyła jej spokojnie w oczy.

— Czy pozwoli pani, że poradzę pani coś, choćby pani uważała to za bezczelność?

— Już to uważam za bezczelność. Niech pani lepiej nic nie mówi.

— Będę mówić. Radzę pani nie używać więcej panińskiego nazwiska.

Blondynka otworzyła usta ze zdumienia.

— Co... co pani ma na myśli?

Panna Marple odparła z powagą:

— W najbliższym czasie będzie pani może potrzebowała ogromnie dużo sympatii i życzliwości. W okolicach o staroświeckim obyczaju istnieje pewnego rodzaju uprzedzenie do ludzi żyjących ze sobą bez ślubu. Wierzę, że zabawniej było udawać „wolną miłość”. Odstraszyło to ludzi, tak że nie musieliście się przejmować tym, co się nazywa „zawracaniem sobie głowy”. Mimo to „zawracanie sobie głowy” ma swoje znaczenie.

— Skąd pani wie, że jesteście mężem i żoną?

Panna Marple uśmiechnęła się z wyższością.

— Ależ, moja droga — mruknęła tylko.

— Ale skąd pani to wie? — upierała się Dinah Lee. — Pewno pani była w magistracie?

W oczach panny Marple pojawił się nagły błysk, który od razu znowu zniknął.

— W magistracie? Nie. Ale to nietrudno odgadnąć. W takiej wiosce wszystko się roznieśie. Te — jak by to powiedzieć — te awantury między państwem — zupełnie inne niż w wolnym związku... Mówi się — a myślę, że to prawda — że ludzie poznają się tylko w małżeństwie. Jeśli nie ma związku legalnego, ludzie są o wiele ostrożniejsi. Muszą sobie stale wzajemnie powtarzać, jacy to oni są szczęśliwi ze sobą. Muszą się usprawiedliwiać. Wtedy nie wolno się kłócić. Małżeństwom zaś, jak zaobserwowałam, awantury sprawiają po prostu przyjemność. No i te przeprosiny potem.

Mrugnęła porozumiewawczo na Dinah.

— Ach... — Dinah urwała i wybuchnęła śmiechem. — Pani jest niebywała! — Potem ciągnęła dalej: — Ale dlaczego pani chce, żebyśmy ustąpili i weszli w grono „czcigodnych” małżeństw?

Panna Marple spoważniała natychmiast.

— Ponieważ mąż pani będzie lada chwila zaarrestowany pod zarzutem morderstwa.

III

Dinah osłupiała. Po chwili krzyknęła z niedowierzaniem:

— Bazyli? Pani żartuje?

— Nie, nie żartuję! Czy pani nie czytała gazet?

Dinah oddychała z trudem.

— Myśli pani o tej dziewczynie z hotelu „Majestic”? Czy posądzają Bazylego o to morderstwo?

— Tak.

— Idiotyzm.

Rozległ się warkot samochodu i trzaśnięcie drzwi. Wszedł Bazyli Blake. Niósł kilka butelek.

— Mam już dzin i wermut. Czy...

Urwał, patrząc na milczącego gościa. Dinah wybuchnęła bez tchu:

— Czy ta osoba zwariowała? Mówi, że zaarrestują cię z powodu zamordowania Ruby Keene!

— O Boże! — wybełkotał Bazyli. Raszki wypadły mu z rąk na kanapę. Osunął się na krzesło i ukrył twarz w dłoniach. Powtarzał nieprzytomnie: — O Boże! O Boże!

Dinah przyskoczyła do niego. Chwyliła go za barki:

— Bazyli, popatrz mi w oczy! To nieprawda! Wiem, że to nieprawda! Ani przez chwilę w to nie wierzę!

Ujął jej ręce.

— Dziękuję ci, najdroższa.

— Ale dlaczego cię posądzają? Przecież ty jej wcale nie znałeś?

— Owszem, znał ją — wtrąciła panna Marple.

Bazyli krzyknął porywczo:

— Cicho! Słuchaj, Dinah, kochanie! Prawie że jej nie znałem! Widziałem ją raz czy dwa razy w „Majesticu”. To wszystko... przysięgam ci, że to wszystko!

Dinah szepnęła zaskoczona:

— Nie rozumiem. Dlaczego wobec tego posądzają ciebie?

Bazyli jęknął. Zakrył oczy dłonią i kołysał się w przód i w tył.

— Co pan zrobił z dywanikiem sprzed kominka? — dociekała panna Marple.

Odpowiedział zupełnie machinalnie:

— Wyrzuciłem go na śmietnik.

Panna Marple wydała pomruk niezadowolenia.

— To źle... to bardzo źle. Nie wyrzuca się dywanu na śmietnik. Pewno wczepiły się w niego pajątki z jej sukni?

— Tak. Nie mogłem ich wydostać.

— Na miłość boską!... O czym wy mówicie...? — zawołała Dinah.

— Jej się zapytaj — odparł Bazyli ponuro. — Ona widocznie wszystko wie.

— Jeśli pani chce, opowiem pani, co moim zdaniem zaszło. Gdybym się myliła, niech pan prostuje — zaproponowała panna Marple. — Wyobrażam to sobie tak: po wielkiej kłótni z żoną i, hm, po wypiciu większej ilości alkoholu wrócił pan do domu. Nie wiem, kiedy to było...

Bazyli przerwał jej wzburzony:

— Około drugiej nad ranem. Najpierw miałem zamiar pojechać do miasta, ale potem rozmyśliłem się. Pomyślałem, że Dinah może przyjedzie tu za mną. Wróciłem więc. W domu panowała zupełna ciemność. Otworzyłem drzwi, zaświeciłem światło i ujrza-

łem... ujrzałem...

Przełknął z wysiłkiem ślinę i urwał. Panna Marple podjęła wątek:

— Ujrzał pan przed kominkiem uduszoną dziewczynę w białej sukni wieczorowej. Nie wiem, czy pan ją od razu poznał...

Bazyli potrząsnął gwałtownie głową.

— Po pierwszym spojrzeniu nie byłem już w stanie powtórnie na nią popatrzeć. Twarz miała siną i opuchniętą. Musiała już dłuższą chwilę nie żyć i leżała w moim domu!

Wzdrygnął się.

Panna Marple przemówiła perswadująco:

— Wtedy poniosły pana nerwy. Nie był pan trzeźwy, a w ogóle nie jest pan siłaczem pod względem nerwowym. Wyobrażam sobie, że ogarnął pana paniczny strach. Nie wiedział pan, co robić...

— Dinah mogła w każdej chwili nadejść. Zastałaby mnie z... z trupem dziewczyny... i pomyślałaby, że ja ją zamordowałem. Wtem przyszedł mi pomysł do głowy. Nie wiem, dlaczego uważałem go za dobry. Pomyślałem: podrzucę ją pułkownikowi Bantry'emu! Ten zarozumiały stary przyk traktuje mnie zawsze z góry i kpi ze mnie, nazywając mnie zniewieściałym komediantem. „Zgłupiejesz, gdy zastaniesz nieżywą pannę przed kominkiem”. — Gorliwie usiłował wszystko wytłumaczyć. — Byłem po prostu pijany, wie pani, i dlatego uważałem swój pomysł za bardzo zabawny. Stary zrzęda Bantry i nieżywa blondynka!

— Tak, tak — pokiwała panna Marple głową. — Mały Tommy Bond miał podobny pomysł. To taki wrażliwy chłopczyk o silnie rozwiniętym kompleksie niższości. Dręczyło go to, że nauczycielka się stale nad nim znęcała, jak twierdził. Schował więc żabę w zegarze. Kiedy nauczycielka chciała nakręcić zegar, żaba wyskoczyła prosto na nią. Pan postąpił tak samo. Tylko że to o wiele poważniejsza sprawa niż żaba.

Bazyli znowu jęknął.

— Rano wytrzeźwiałem. Uświadomiłem sobie, co zrobiłem i okropnie się wystraszyłem. Wtedy zjawiła się u mnie policja. Ten szef policji to też taka nadęta purchawka. Bałem się go, a jedynym sposobem ukrycia tego była wyzywająca bezczelność. Naszą rozmowę przerwało zjawienie się Dinah.

Dinah wyjrzała oknem.

— Jakiś samochód zajechał... wysiada kilku panów.

— To pewnie policja — wysunęła przypuszczenie panna Marple.

Bazyli wstał. Nagle uspokoił się znowu.

— A więc już czas... tak? No dobrze. Kochana Dinah, głowa do góry! Idź do starego Simsa — to nasz adwokat — i do matki. Powiedz jej, że się pobraliśmy. Nic ci nie robi. I nie martw się. Ja jej nie zabiłem! A zatem wszystko się wyjaśni, rozumiesz?

Ktoś zapukał. Bazyli zawołał:

— Proszę!

Wszedł inspektor Slack z drugim policjantem.

— Pan Bazyli Blake?

— Tak jest.

— Mam rozkaz aresztowania pana. Jest pan obwiniony, że zamordował pan w nocy z dwunastego na trzynastego września niejaką Ruby Keene. Zwracam panu uwagę, że wszystko, co pan powie, może zostać użyte przeciwko panu w przewodzie sądowym. Proszę z nami. Będzie pan miał możliwość porozumienia się z obrońcą.

Bazyli skinął głową.

Spojrzał na żonę, lecz nie podszedł do niej.

— Do widzenia tymczasem, Dinah.

„Zimny drań”, pomyślał inspektor Slack. Skłonił się lekko przed panną Marple, przemawiając do niej w duchu:

„Mądry stary kot, ma czujny węch! Dobrze, że mamy ten dywanik sprzed kominika. I że wydostaliśmy od nocnego stróża wytwórni, iż ten drab opuścił towarzystwo już o jedenastej, a nie o północy. Nawet nie przypuszczam, żeby jego przyjaciele kłamali. Byli po prostu pijani, a Bazyli wmówił im nazajutrz, że wyszedł o dwunastej — i uwierzyli mu. No, ale już po nim — i to z kretesem. Prawdopodobnie anormalny. Dożywocie — nie stryczek. Najpierw mała Pamela, którą udusił i zawiózł do kamieniołomów, potem wrócił piechotą do Danemouth po swój własny samochód i pojechał na przyjęcie. Stamtąd ruszył po Ruby Keene. Zadusił ją i ułożył w bibliotece pułkownika Bantry'ego. Zrobiło mu się nieswojo z powodu samochodu w kamieniołomach, pojechał więc, podpalił auto i wrócił do domu. Szaleniec — zboczeniec — co za szczęście, że nie dopadł jeszcze tej tu dziewczyny. To pewno to, co lekarze nazywają «paranoją».

Kiedy kobiety zostały same, Dinah zwróciła się do panny Marple.

— Wszystko mi jedno, kim pani jest, ale musi pani w to uwierzyć, że Bazyli tego nie zrobił!

— Wiem o tym. Wiem, kto jest sprawcą. Ale niełatwo będzie tego dowieść. Lecz pani powiedziała przedtem coś, co może mi się przydać. Naprowadziła mnie pani na pewien pomysł. Tylko co to było?

Rozdział szesnasty

I

— Arturze, wróciłam! — oznajmiła pani Bantry. Brzmiało to niczym proklamacja królewska.

Pułkownik Bantry zerwał się zza biurka i ucałował żonę serdecznie.

— Cudownie, Dolly, to naprawdę cudownie!

Słowa były przekonujące, zachowanie wydawało się swobodne i naturalne, ale niełatwo oszukać kochającą żonę, znającą męża na wylot. Toteż pani Bantry zapytała od razu:

— Co się stało?

— Nic, kochanie! A co się miało stać?

— Nie wiem. Zdarzają się różne rzeczy.

Zrzuciła płaszcz. Pułkownik podniósł go i położył ostrożnie na kanapie.

Robił wszystko jak zawsze, a jednak inaczej. Pani Bantry zdawało się, że jej mąż się skurczył. Schudł i zgarbił się. Oczy były podkrążone — i unikały jej wzroku.

Z tą samą wesołą czułością mówił dalej:

— Cóż, dobrze się bawiłaś w Danemouth?

— O, nawet bardzo dobrze. Było niezwykle wesoło. Szkoda, że nie pojechałeś ze mną.

— Nie mogłem, najdroższa. Miałem bardzo dużo zajęć.

— Przydałaby ci się jakaś odmiana. Czy lubisz Jeffersonów?

— Owszem. Biedny człowiek. Taki sympatyczny. Smutny los.

— Co robiłeś, gdy mnie nie było?

— Ach, nic szczególnego. Spędzałem dużo czasu na folwarku. Zgodziłem się na nowy dach dla Andersona — stary rzeczywiście już nie nadawał się do naprawy.

— Jakże wypadło posiedzenie rady gminnej w Radfordshire?

— Wypadło — ehem — prawdę mówiąc, nie byłem na nim.

— Nie byłeś? Przecież miałeś zostać prezesem?

— Wiesz, prawdę powiedziawszy, musiała zajść jakaś omyłka. Zwrócono się do mnie zapytaniem, czy zgodziłbym się, żeby wybrano Thompsona na moje miejsce.

— Rozumiem. — Pani Bantry zdjęła rękawiczkę i rzuciła ją niedbale do kosza na śmieci. Mąż chciał ją wyjąć, ale pani Bantry powstrzymała go.

— Zostaw! Nie cierpię rękawiczek!

Pułkownik spojrzał na nią z niejakim lękiem.

Zapytała surowo:

— Czy byłeś we czwartek na obiedzie u Duffów?

— Co? Nie, odwołali go. Zachorowała im kucharka.

— Głupcy! — Pani Bantry indagowała dalej: — Czy byłeś wczoraj u Naylorów?

— Telefonowałem do nich i przeprosiłem ich, że się niezbyt dobrze czuję. Zrozumieli to od razu.

— Doprawdy, zrozumieli? — zawołała pani Bantry gniewnie.

Usiadła przy biurku i sięgnęła machinalnie po nożyczki. Poczęła nimi powoli obcinać palce drugiej rękawiczki.

— Dolly, co ty robisz?

— Mam pasję niszczenia wszystkiego! — Wstała. — Gdzie będziemy siedzieć po obiedzie? W bibliotece?

— Hm... myślę, że chyba nie... co? Tu bardzo miło, a może w jadalni...

— Myślę, że pójdziemy do biblioteki — oznajmiła pani Bantry stanowczo.

Jej spokojny wzrok zetknął się z jego oczami. Pułkownik Bantry wyprostował się. Oczy jego zajaśniały blaskiem.

— Masz rację, kochanie. Pójdziemy do biblioteki!

II

Pani Bantry odłożyła słuchawkę i zirytowana westchnęła. Telefonowała dwa razy i dwa razy otrzymała tę samą odpowiedź: panny Marple nie ma w domu.

Będąc z natury osobą niecierpliwą, pani Bantry nie dała za wygraną. Telefonowała po kolei do pastora, a potem do pani Price Ridley, do panny Hartnell, do panny Wetherby i w końcu, jako do ostatniego źródła informacji, do handlarza ryb, który dzięki korzystnemu położeniu geograficznemu swego sklepu przeważnie wiedział, gdzie dany mieszkaniec wioski się znajduje. Handlarz ryb wyraził swoje ubolewanie, że nie może służyć żadaną informacją, ale w ogóle jeszcze nie widział dzisiaj panny Marple.

— Gdzież ona może być? — zastanawiała się głośno zniecierpliwiona pani Bantry.

Za nią rozległo się dyskretne chrząknięcie. Kamerdyner Lorrimer odezwał się pół-

głosem:

— Pani poszukuje panny Marple? Właśnie nadchodzi, jak widzę przez okno.

Pani Bantry popędziła do drzwi. Rozwarła je gwałtownie i powitała pannę Marple potokiem słów:

— Szukałam cię wszędzie. Gdzie byłaś? — Rozejrzała się, ale Lorrimer zniknął taktownie. — To straszne! Ludzie bojkotują Artura. Postarzał się w okropny sposób. Musimy coś zrobić! Jane, ty musisz coś zrobić!

— Nie martw się — pocieszyła ją panna Marple tonem wielce obiecującym.

Pułkownik stanął w drzwiach gabinetu.

— A, panna Marple. Dzień dobry pani. Cieszę się, że pani przyszła. Moja żona szukała pani telefonicznie jak nieprzytomna!

— Chciałam państwu sama przynieść nowinę — wyjaśniła panna Marple, wchodząc z nimi do gabinetu.

— Jaką nowinę?

— W tej chwili zaarrestowano Bazylego Blake'a pod zarzutem morderstwa na Ruby Keene.

— Bazyli Blake? — krzyknął pułkownik.

— Ale to nie on jest mordercą — zapewniła panna Marple.

Pułkownik nie zważał na nią. Prawdopodobnie w ogóle nie dosłyszał ostatniego zdania.

— Zadusił tę dziewczynę i przywiózł ją do mojej biblioteki!

— Zawiózł ją do biblioteki pana, ale nie zamordował jej.

— Nonsens! Skoro złożył ją u mnie w bibliotece, to ją też zamordował.

— Wcale nie. Zastał ją już nieżywą u siebie w domu.

— To bardzo wiarygodne — pokpiwał pułkownik. — Jeśli już ktoś znajdzie zwłoki, wzywa policję — oczywiście ktoś porządny i uczciwy.

— Naturalnie — odparła panna Marple. — Ale nie wszyscy mamy tak żelazne nerwy jak pan, panie pułkowniku. Pan należy do starej szkoły. Młode pokolenie jest inne.

— Bez kościca — powtórzył pułkownik swój ulubiony frazes.

— Niektórzy z nich przeżyli już dużo — ciągnęła panna Marple dalej. — Wiem niejedno o Bazylim. Nie mając jeszcze osiemnastu lat, zdał już egzamin na bohatera. Wyratował czworo dzieci z płonącego domu, jedno po drugim. Po czym wszedł jeszcze raz, aby ratować psa, choć przestrzegano go przed niebezpieczeństwem. Dom zawalił się nad nim. Odkopano go, ale miał zmiażdżoną klatkę piersiową i leżał prawie rok w gipsie. Potem chorował jeszcze długo. Wtedy zaczął rysować.

— Hm — pułkownik zakaszczał. — Nie wiedziałem, nic o tym nie wiedziałem.

— Nie rozpowiada tego.

— Hm — to ładnie. Bardzo przyzwoicie. Jednak jest w nim coś. Sądziłem zawsze, że

dekował się przed frontem. Ano, trzeba być bardzo ostrożnym w sążeniu bliźnich.

Pułkownik miał zawstydzoną minę.

— Ale mimo to — oburzył się znowu — co mu przyszło do głowy, że chciał morderstwo zrzucić na mnie?

— Wcale tego nie chciał — mitygowała go panna Marple. — Uważał to po prostu za — za dowcip. Był wtedy pod wpływem alkoholu.

— Ach tak, był pijany? — wykrzyknął pułkownik z owym zrozumieniem, jakie ma każdy Anglik dla pijackich wyczynów. — No, naturalnie, nie można sądzić chłopca według tego, co robi po pijanemu. Kiedy byłem jeszcze na uniwersytecie w Cambridge, zabrałem pewien intymny przedmiot — no mniejsza o to, nie mówmy o tym. Wybuchła wtedy piekielna awantura.

Roześmiał się, lecz po chwili spoważniał znowu. Spojrzał na pannę Marple badawczo, a zarazem z podziwem.

— Więc pani nie przypuszcza, żeby on popełnił morderstwo?

— Jestem pewna, że jest niewinny.

— A wie pani, kto jest sprawcą?

Panna Marple skinęła głową.

— Czy ona nie jest nadzwyczajna? — wykrzyknęła pani Bantry patetycznie niczym grecki chór.

— No więc, kto to taki?

Panna Marple odpowiedziała:

— Chciałam pana prosić o pomoc. Gdybyśmy poszli do magistratu, bardzo posunęlibyśmy sprawę naprzód.

Rozdział siedemnasty

I

Sir Henry był bardzo poważny.

— To mi się nie podoba.

— Zdaję sobie z tego sprawę — przyznała panna Marple — że to nie jest zupełnie w porządku. Ale nam przecież tak zależy na upewnieniu się... „jeszcze raz upewnić się w pewności”, jak powiada Szekspir. Myślę, że gdyby się pan Jefferson zgodził...

— A Harper? Czy jego też wtajemniczymy?

— Może byłoby mu przykro, gdyby wiedział za dużo. Ale niech mu pan napomknie o tym, żeby wziął niektóre osoby pod obserwację... w danym czasie... pan rozumie?

Sir Henry zauważył wolno:

— Tak, tak chyba będzie najlepiej...

II

Superintendent Harper spojrział badawczo na Clitheringa.

— Mówmy szczerze: czy za tym coś się kryje?

Sir Henry odparł:

— Powtarzam panu to, co mi mój przyjaciel przed chwilą powiedział — nie zastrzegł sobie tajemnicy — mianowicie, że jedzie jutro do notariusza i zmienia testament.

Krzaczaste brwi Harpera opuściły się na spokojne oczy.

— Czy pan Jefferson oznajmił to zięciowi i synowej?

— Powie im o tym dziś wieczorem.

— Aha! — Superintendent stuknął ołówkiem po biurku. — Aha...! — Potem spojrział przenikliwie na Clitheringa. Zapytał: — A więc oskarżenie Bazylego Blake'a nie zadawała pana?

— A pana?

Wąsy Harpera drgnęły.

— A pannę Marple?

Patrzyli sobie w oczy.

Po chwili odezwał się Harper:

— Może pan polegać na mnie. Pouczę moich ludzi. Przyrzekam panu, że się nic nie stanie.

— Chwileczkę — zatrzymał go sir Henry. — Niech pan to obejrzy!

Rozłożył arkusz papieru na biurku.

Tym razem Harper stracił panowanie nad sobą. Gwizdnął przeciągle.

— Niebawem! Teraz sprawa wygląda całkiem inaczej. Jakim cudem wpadł pan na to?

— Od wieków kobiety interesują się wszystkim, co ma jakikolwiek związek z małżeństwem.

— A zwłaszcza samotne stare panny — uśmiechnął się Harper.

III

Jefferson podniósł oczy, gdy wszedł Clithering.

Jego ponure oblicze rozpogodziło się i uśmiechnął się do przyjaciela.

— No, powiedziałem im. Przyjęli nowinę bardzo dobrze.

— Czym uzasadniłeś zmianę testamentu?

— Powiedziałem, że od chwili śmierci Ruby wydaje mi się, że owe pięćdziesiąt tysięcy funtów, przeznaczonych pierwotnie dla niej, powinno teraz służyć jakiejś sprawie, którą mógłbym uczcić jej pamięć. W Londynie ma powstać schronisko dla zawodowych tancerek. Byłoby oczywistym nonsensem zapisywać podobnej instytucji majątek — dziwię się, że przyjęli to za dobrą monetę. Czy to podobne do mnie, żebym robił takie głupstwa?

Dodał w zamyśleniu:

— Wiesz, zachowałem się w sprawie tej dziewczyny jak błazen. Pewno cierpię już na uwiąd starczy. Dopiero teraz uświadomiłem to sobie. Była miłym dzieckiem. Ale wszystko to, co w niej widziałem, wmówiłem właściwie w nią sam. „Zdawało mi się, że to druga Rosamunda. Podobna była do niej w kolorycie, ale nie miała tego samego serca ani charakteru. Bądź łaskaw podać mi gazetę — jest w niej bardzo ciekawe zadanie brydżowe...

IV

Sir Henry zszedł na dół. Poszukał pługaczego i zadał mu pytanie:

— Pan Gaskell? Przed chwilą wyjechał autem. Do Londynu.

— Aha! A pani Jefferson?

— Pani Jefferson położyła się spać.

Sir Henry zajrzał do holu i na salę dansingową. W holu Hugo McLean rozwiązywał ze zmarszczonym czołem i głębokim pomrukiem krzyżówkę. Na sali dansingowej Josie uśmiechała się dzielnie do spoconego niskiego grubasa, próbując równocześnie zręcznie unikać jego zabójczych dla jej nóg kroków tanecznych. Grubas był najwyraźniej zachwycony swoim sposobem tańczenia tanga. Raymond tańczył zgrabnie i smętnie z bledziutką panienką, której zez i brzydkie włosy harmonizowały doskonale z kosztowną, nieprawdopodobnie niegustowną suknią.

Sir Henry powiedział sobie:

— W porządku — mogę spać spokojnie — i poszedł do siebie.

V

Godzina trzecia nad ranem. Wiatr się uspokoił. Po cichym morzu sunie księżyc.

Cisza panuje w sypialni Jeffersona. Słychać tylko jego ciężki oddech. Śpi wsparty o wysoko ułożone poduszki.

Nie drgnie ani wietrzyk, żeby poruszyć firankami — a mimo to poruszyły się... rozchylają się na mgnienie oka — i jakaś sylwetka odcina się na tle poświaty księżycowej. Potem franki zasuwają się znowu. Panuje zupełna cisza — ktoś jednak jest w pokoju...

Intruz zbliża się coraz bardziej. Idzie w kierunku łóżka. Z poduszek dochodzi niezmiennie głęboki oddech.

Nie słychać absolutnie nic.

Kciuk i palec wskazujący sięgają po przegub dłoni. Prawa ręka trzyma strzykawkę.

I nagle wyłania się z mroków jakaś ręka i chwyta dłoń trzymającą strzykawkę. Jakies ramię obejmuje żelaznym chwytem nieznaną postać.

Spokojny, rzeczowy głos, głos prawa mówi:

— Ani kroku dalej. Proszę oddać igłę!

Błysnęło światło. Conway Jefferson patrzy z wściekłością w twarz mordercy Ruby Keene.

Rozdział osiemnasty

I

Sir Henry poprosił pannę Marple:

— Chciałbym po prostu jako fachowiec poznać metodę pani.

Superintendent Harper zawołał:

— A ja chciałbym dowiedzieć się, jak pani wpadła w ogóle na ten pomysł!

Pułkownik Melchett krzyknął:

— Pani nas wszystkich prześcignęła! Ale teraz chciałbym wszystko od początku usłyszeć.

Panna Marple wygładziła fałdy swojej najlepszej, jedwabnej sukni wieczorowej. Zarumieniła się i uśmiechnęła z zadowoleniem.

— Obawiam się, że panowie uznają moją „metodę”, jak ją sir Henry nazwał, za dyktantyzm. Bo to tak jest na świecie: w większości ludzie — a zatem i panowie z policji — są za łatwowierni. Wierzą w to, co im się powie. Nigdy tego nie robię. Muszę przyznać, że zawsze sama lubię się przekonać o prawdzie.

— Postawa naukowca — wtrącił sir Henry.

— W tym wypadku — ciągnęła panna Marple dalej — przyjęto pewne fakty od początku za prawdę i nie badano ich więcej. Faktami takimi były: że ofiara jest młoda, że obgryzała paznokcie i że miała wystające zęby — co się często zdarza u młodych dziewcząt, jeśli nie reguluje się ich zawczasu za pomocą klamerki (dzieci bywają czasem takie niegrzeczne i wyjmują klamerki, gdy rodzice ich nie obserwują).

Ale odbiegam od tematu. Gdzie to ja stanęłam? Ach, tak. Przyjrzałam się więc tej dziewczynie i żal mi jej było, gdyż to zawsze smutne zjawisko, jeśli ktoś tak młodo kończy życie. Pomyślałam, że ktokolwiek to zrobił, musiał to być człowiek zły. Oczywiście wszystko było bardzo zagmatwane, między innymi i to, że znalazła się w bibliotece pułkownika Bantry'ego. Wszystko to wyglądało na powieść kryminalną, a nie rzeczywistość. Coś się tu nie zgadzało. I to nie z rozmysłu, lecz z przypadku. Bo też pierwotny

plan był taki, aby podrzucić zwłoki biednemu Bazylemu Blake'owi (który musiał być z natury rzeczy o wiele bardziej podejrzany niż nasz pułkownik). Fakt, że Bazyli zaniósł zwłoki do biblioteki pułkownika, pokręcił wszystko i musiał stanowić prawdziwe źródło irytacji dla rzeczywistego mordercy.

Według pierwotnego planu pan Blake byłby w pierwszej linii najbardziej podejrzanym osobnikiem. Zarządzono by śledztwo w Danemouth, wykryto by, że znał tancerkę, że miał stosunki z kimś innym — z tego prosty wniosek, że Ruby przyszła do niego, aby go szantażować, a on zadusił ją w pasji. Byłoby to całkiem zwyczajne, brzydkie morderstwo dansingowe, jak ja to nazywam.

To wszystko się oczywiście nie udało i całe zainteresowanie skupiło się o wiele wcześniej na rodzinie Jeffersonów — ku wielkiemu niezadowoleniu pewnej osoby.

Jak już panom powiedziałam, jestem bardzo nieufna. Mój siostrzeniec Ryszard mówi zawsze (oczywiście żartem i z czułością), że jestem taka nieufna, jak gdybym sama była zbrodniarzem. Twierdzi, że większość ludzi z epoki wiktoriańskiej jest taka. Mogę na to powiedzieć tylko tyle, że widocznie ludzie z epoki wiktoriańskiej znają się bardzo dobrze na naturze ludzkiej.

Ponieważ mamy już takie anormalne — a może właśnie bardzo normalne — usposobienie, spojrzałam na całą sprawę od razu z punktu widzenia finansowego. Dwoje ludzi odniosło korzyść dzięki śmierci tej tancerki — to był fakt niezaprzeczalny. Pięćdziesiąt tysięcy funtów — to duży pieniądz, zwłaszcza gdy ktoś ma kłopoty finansowe, jak właśnie te osoby. Oczywiście wydawali się oboje bardzo mili i sympatyczni — trudno sobie wyobrazić, żeby... ale nigdy nie wiadomo, prawda?

Na przykład pani Jefferson — lubili ją wszyscy. Ale nie ulegało wątpliwości, że tego lata zachowywała się niesfornie i że przejadło się jej bytowanie w całkowitej zależności od teścia. Wiedziała od lekarza, że już niedługo pożyje. To było zatem w porządku — a raczej byłoby w porządku, gdyby nie pojawienie się Ruby Keene. Pani Jefferson gorąco kochała syna. Niektóre kobiety miewają takie dziwaczne wyobrażenie, że zbrodnia popełniona dla dziecka jest zbrodnią niemal dopuszczalną. Spotkałam się z tym w naszej wiosce. „Przecież to wszystko tylko dla Daisy” mówi taka matka, myśląc, że to powiedzenie tłumaczy wszystko. To bardzo wątpliwa moralność.

Mark Gaskell prędeż wzbudzał nieufność. To gracz bez specjalnych zasad. Ale z pewnych przyczyn byłam przekonana, że w to morderstwo jest wmieszana kobieta. Jak już wspomniałam, sprawa pieniężna grała moim zdaniem decydującą rolę. Dlatego nie mogłam się pogodzić z faktem, że obie podejrzane osoby miały alibi na ten czas, w którym według orzeczenia lekarskiego nastąpiła śmierć Ruby Keene.

Ale wkrótce znaleziono wypalony samochód ze zwłokami Pameli Reeves i od razu nasunęło się wytłumaczenie. Alibi było naturalnie bezwartościowe.

Miałam teraz dwie połowy. Każda z nich była przekonująca, a jednak nie mogłam

ich jeszcze dopasować. Musiało istnieć jakieś ogniwo łączące, ale nie mogłam go znaleźć. Jedyne osoba, o której wiedziałam, że na pewno miała coś wspólnego ze zbrodnią, nie miała powodu.

Była to głupota z mojej strony, ale bez żony Bazylego Blake'a nigdy bym nie wpadła na to, co leżało jak na dłoni! Magistrat! Małżeństwo! Chodziło nie tylko o pana Gaskella i panią Jefferson — istniała również możliwość małżeństwa. Jeśli jedno z nich było żonate względnie zamężne — drugi partner był niewątpliwie zamieszany w tę sprawę! Taki Raymond na przykład mógł sądzić, że to najlepsza okazja, ażeby się bogato ożenić. Zawsze bardzo nadskakiwał pani Jefferson. Myślę nawet, że to jego wdzięk obudził ją z przydługiego wdowieństwa. Przedtem zadowolili się rolą córki pana Jeffersona — tak jak Ruth i Noemi, tylko że Noemi starała się usilnie o wynalezienie odpowiedniego małżonka dla Ruth, jak panowie zapewne pamiętają.

Poza Raymondem był jeszcze na widowni pan McLean. Lubiła go i wyglądało na to, że wyjdzie w końcu za niego. Nie był zamożny — i krytycznej nocy przebywał niedaleko Danemouth. Możliwe więc było, że każde z nich mogło być mordercą, prawda?

Ale w duchu ciągle wiedziałam, kto nim był. Ani rusz nie można było pominąć tych obgryzionych paznokci.

Paznokci? — zapytał sir Henry. — Ale przecież złamała paznokciec i dlatego obcięła resztę.

Nonsens! — zawołała panna Marple. — Obgryzione paznokcie i obcięte paznokcie to dwie różne rzeczy! Tu nie może być omyłki dla kogoś, kto się choć trochę zna na dziewczęcych paznokciach. Obgryzione paznokcie są bardzo brzydkie — zawsze to powtarzam moim uczennicom. Paznokcie zwłok były niewątpliwie obgryzione i mogły znaczyć tylko jedno: zwłoki w bibliotece pułkownika nie były zwłokami Ruby Keene.

I ten ślad prowadził prosto do osoby winnej. Josie! Josie rozpoznała zwłoki. Wiedziała, musiała wiedzieć, że to nie Ruby Keene. Powiedziała, że to jest Ruby Keene. Była zupełnie zmieszana faktem, że zastała zwłoki w bibliotece pułkownika. Nie umiała się pogodzić z tym faktem. Dlaczego? Ponieważ wiedziała — nikt tego nie mógł lepiej wiedzieć od niej — gdzie zwłoki powinny były się znaleźć! W willi Bazylego Blake'a. Kto skierował naszą uwagę na Bazylego? Josie, mówiąca do Raymonda, że Ruby poszła z tym filmowcem. A przedtem wsadziła jego fotografie do jej torebki. Kto był tak rozgorączkowany na zmarłą, że nie umiał tego ukryć nawet w obliczu zwłok? Josie! Mądra, praktyczna, zimna i — chciwa Josie! To miałam na myśli, mówiąc przed chwilą o łatwowierności. Nikomu nie przyszło do głowy podać w wątpliwość orzeczenia Josie, że zwłoki są zwłokami Ruby Keene. Po prostu dlatego, że wydawało się wówczas, iż nie ma powodu do kłamstwa. Zawsze powód stwarzał największą trudność. Josie była niewątpliwie zamieszana w tę sprawę. Lecz wydawało się na rozum, że śmierć Ruby jest sprzeczna z jej interesami. Dopiero wzmianka Dinah Lee o magistracie pomogła mi znaleźć

ogniwo łączące.

Małżeństwo! Jeśli Josie i Mark Gaskell pobrali się istotnie, wtedy wyjaśniało się wszystko. Jak wiemy obecnie, Mark i Josie byli po ślubie od roku. Chcieli to trzymać w tajemnicy aż do śmierci pana Jeffersona.

To było naprawdę bardzo ciekawe iść za śladami i obserwować, jak się ten spisek rozwijał. Skomplikowany — a przy tym prosty. Najpierw wybrali tę biedaczkę, Pamelę Reeves. Zwabiono ją projektem filmowym. Próbné zdjęcia — to była za duża pokusa dla dziecka. Zwłaszcza gdy ktoś przedstawił to tak przekonująco, jak to uczynił Mark Gaskell. Przychodzi do hotelu, gdzie on jej oczekuje. Wprowadza bocznym wejściem i przedstawia Josie, figurującej jako ekspertka od makijażu wytwórni filmowej. Biedaczka — słabo mi się robi, gdy o tym pomyślę! Siedziała w łazience Josie, gdzie Josie tleniła jej włosy, malowała twarz i lakierowała paznokcie u rąk i nóg. Przy tym zabiegu podano jej narkotyk — prawdopodobnie w wodzie sodowej. Pamela straciła przytomność. Przypuszczam, że ułożyli ją w jednym z pustych pokoi gościnnych — jak panowie sobie może przypominają, sprzątano te pokoje tylko raz na tydzień.

Po kolacji Mark Gaskell pojechał autem — wzdłuż wybrzeża, jak mówił. W rzeczywistości zawiózł wówczas Pamelę, ubraną w starą suknię Ruby, do willi Bazylego i ułożył ją tam przed kominkiem. Jeszcze była nieprzytomna, ale żyła. Tam zadusił ją jej paskiem... To potworne — ale mam w Bogu nadzieję, że nie czuła nic. Naprawdę, cieszę się po prostu, że go powieszają...

To musiało być tuż po dziesiątej. Wyobrażam sobie, że Josie musiała kuzynkę jakoś przedtem pouczyć. Ruby przywykła robić wszystko, co jej Josie kazała. Miała się przebrać, pójść do pokoju Josie i tam na nią zaczekać. Również ona dostała narkotyk, prawdopodobnie w czarnej kawie po kolacji. Przypominają sobie panowie, że Ruby ziewała, rozmawiając z Bartlettem.

Później Josie poszła na górę, „aby jej poszukać” — ale tylko Josie sama weszła do pokoju. Przy tej sposobności zapewne zabiła Ruby — może za pomocą zastrzyku albo uderzeniem w głowę. Potem zeszła na dół, zatańczyła z Raymondem, rozmawiała z Jeffersonami, gdzie też Ruby może być, i udała się wreszcie do siebie. Wczesnym świtem ubrała zabitą w suknię Pameli, zniosła ją po schodach — Josie jest przecież silna i ma wyrobione mięśnie — wzięła samochód Bartletta, pojechała dwie mile do kamieniołomów, podlała wóz naftą i podpaliła go. Następnie wróciła piechotą do hotelu, urządzając się zapewne tak, że przybyła tam o ósmej albo dziewiątej. Z nadmiaru troskliwości o Ruby wybrała się już tak wcześnie rano!

— Bardzo skomplikowany plan — wtrącił pułkownik Melchett.

— Nie bardziej skomplikowany niż figury tańca — odparła panna Marple.

— Ma pani rację

— Josie była osobą bardzo dokładną — ciągnęła po chwili dalej. — Uwzględniła na-

wet różnicę w paznokciach. Dlatego zależało jej na tym, żeby Ruby zadarła paznokiec o jej szal. Miałoby to być wytłumaczeniem, dlaczego Ruby obcięła wszystkie paznokcie.

— Tak, pamiętała o wszystkim — medytował Harper. — Zatem jedynym punktem wyjścia dla pani były obgryzione paznokcie uczennicy?!

— Nie, miałam więcej wytycznych — uśmiechnęła się panna Marple. — Ludzie zawsze za dużo mówią. Tym razem wygadał się Mark Gaskell. Mówiąc o Ruby Keene, powiedział: „drobne, krzywe, mysie ząbki”, dziewczyna zaś w bibliotece pułkownika Bantreyego miała zęby wystające.

Jefferson zapytał zgryźliwie:

— Czy to pani pomysł z tą dramatyczną sceną końcową?

— Prawdę powiedziawszy, tak — przyznała się panna Marple. — Przecież to tak miło być pewnym swego, prawda?

— Tak, teraz mamy pewność — mruknął Jefferson z goryczą.

— Widzi pan — panna Marple podjęła znowu swoje wywody — z chwilą, kiedy Mark i Josie dowiedzieli się, że pan chce zmienić testament, musieli po prostu coś przedsięwziąć. Dla tej kwoty popełnili już dwa morderstwa. Z równym powodzeniem mogli popełnić trzecie. Mark naturalnie musiał być wolny od podejrzeń. Pojechał więc do Londynu i postarał się o doskonałe alibi, jedząc kolację z przyjaciółmi w restauracji i udając się potem na dancing. Josie musiała wszystko zrobić sama. Oboje myśleli ciągle jeszcze, że Bazyl Blake będzie odpowiedzialny za zamordowanie Ruby Keene, tak jak to sobie ułożyli. Śmierć pana Jeffersona miała być następstwem choroby serca. Jak dowiedziałam się od pana Harpera, strzykawka zawierała digitalis. Żaden lekarz na świecie nie wykluczyłby śmierci na skutek paraliżu serca. Josie obluzowała cegłę nad balkonem pana Jeffersona. Po zastrzyku chciała ją zrzucić. Wstrząs wywołany tym hałasem uważano by za przyczynę śmierci.

Melchett zgrzytnął zębami:

— Przebiegła czarownica!

— A więc to trzecie morderstwo, o którym pani wspomniała, popełniono by na Jeffersonie? — zapytał sir Henry.

— O, nie! Myślałam o Bazylim. Mark i Josie zaprowadziliby go na szubienicę, gdyby im się to udało.

— Albo do więzienia — na dożywocie — wtrącił Melchett.

Conway Jefferson jęknął z cicha.

— Zawsze wiedziałem, że moja Rosamunda wyszła za łajdaka. Tylko nie chciałem się przyznać do tego — nawet, przed sobą kryłem się z tym. Była przecież taka zakochana w nim. Zakochana w mordercy! Cóż, będzie wisiał — tak samo jak jego żona. Dobrze, że jego nerwy zawiodły i że wszystko wyznał.

— Ona od początku była silniejszym charakterem — objaśniała panna Marple — cały plan zrodził się w jej głowie. To doprawdy ironia losu, że to właśnie ona sprowadziła tę małą Ruby — nie przeczuwając, że dziewczyna zdobędzie pana sympatię i w ten sposób zburzy jej własne perspektywy na przyszłość.

— Biedaczka — mruknął Jefferson — biedna mała Ruby...

Weszli Adelajda i McLean. Adelajda była niemal ładna dzisiejszego dnia. Podeszła do teścia, objęła go i oznajmiła trochę zdyszana:

— Jeff, mam ci coś do powiedzenia. Powiem ci od razu: Hugo i ja pobierzemy się.

Jefferson spojrzał na nią, po czym odezwał się szorstko:

— No dobrze, czas najwyższy, żebyś znowu wyszła za męża. Gratuluję wam. Słuchaj, Addie, jutro robię nowy testament.

— Ach, tak, wiem.

— Nie, nie wiesz. Tobie wyznaczyłem dziesięć tysięcy funtów. Resztę dostanie po mojej śmierci Piotr. No, jak ci się to podoba?

— Och, Jeff! — Głos jej drżał. — Jesteś wspaniały!

— Twój synek jest miłym chłopcem. Chciałbym spędzić z nim dużo czasu korzystając z tego, co mi jeszcze zostało.

— Dobrze, będzie tak, jak sobie życzysz.

— Piotr ma talent na detektywa — zapewnił Jefferson. — Posiada nie tylko paznokcie ofiary — w każdym razie jednej z ofiar — lecz udało mu się nawet dopaść skrawka szala Josie. Ma zatem też pamiątkę po morderczyni. Jest uszczęśliwiony z tego powodu!

II

Hugo i Adelajda minęli salę dansingową. Raymond podszedł do nich! Adelajda zawiadomiła go szybko:

— Czy zna pan już najświeższą nowinę? Pobieramy się.

Raymondowi udał się nienaganny uśmiech — dzielny, melancholijny uśmiech.

Zignorował Hugona i zajrzał głęboko w oczy Addie.

— Mam nadzieję, że będzie pani bardzo, bardzo szczęśliwa....

Addie poszła z Hugonem dalej. Raymond przystanął i odprowadził ich wzrokiem.

— Miła kobieta — powiedział do siebie. — Bardzo miła kobieta. I będzie kiedyś bogata. Szkoda, że wyjechałem z tą bajeczką o Starrach z Devonshire... No trudno, nie mam szczęścia. Piękny żigolo, biedny żigolo — płacą, a ty musisz tańczyć!

I Raymond wrócił na dansing

SPIS TREŚCI

Rozdział pierwszy	3
I	3
II	4
III	6
IV	6
V	8
VI	10
VII	11
Rozdział drugi	14
I	14
II	16
Rozdział trzeci	20
I	20
II	22
Rozdział czwarty	29
I	29
II	30
III	31
IV	32
V	35
Rozdział piąty	36
I	36
II	38
III	41
Rozdział szósty	44
I	44
II	44
III	46
Rozdział siódmy	52
I	52
II	53
III	55

IV	58
Rozdział ósmy	61
Rozdział dziewiąty	69
Rozdział dziesiąty	78
I	78
II	80
Rozdział jedenasty	83
Rozdział dwunasty	89
I	89
II	89
III	92
IV	93
Rozdział trzynasty	96
I	96
II	97
III	101
IV	106
Rozdział czternasty	108
I	108
II	111
Rozdział piętnasty	115
I	115
II	116
III	118
Rozdział szesnasty	122
I	122
II	123
Rozdział siedemnasty	126
I	126
II	126
III	127
IV	127
V	128
Rozdział osiemnasty	129
I	129
II	134